MIESIĘCZNIK
Fantastyka
2(89) LUTY 1990 CENA 3900 ZŁ
PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839



GALERIA

SZKOŁA MISTRZÓW

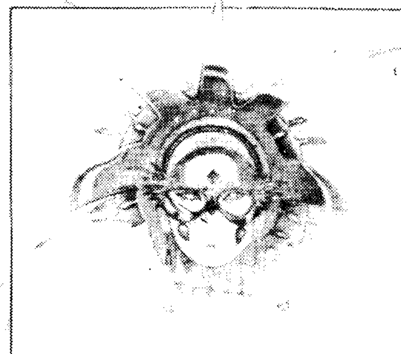
Chris Achilleos

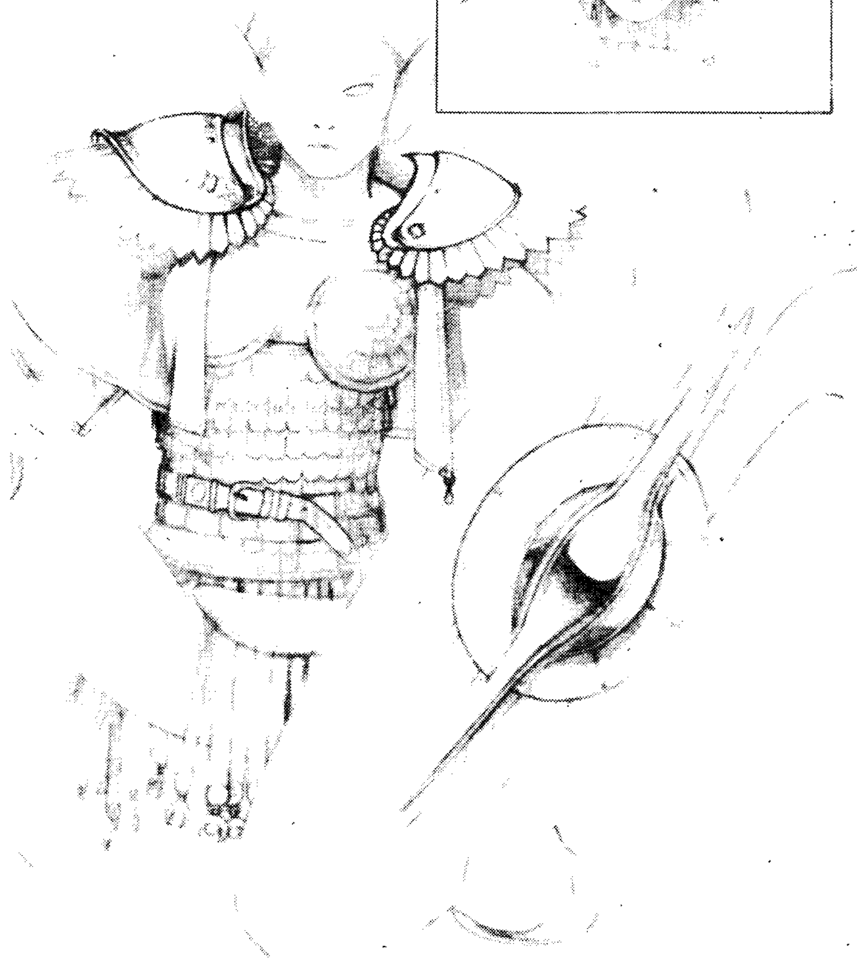
Chris Achilleos
malowanie Amazonki

Słynne ilustracje Achilleosa przedstawiające Amazonki pojawiały się w wielu różnych albumach i książkach. Dla tych, którzy chcieliby sami tak malować, przedstawiamy, krok po kroku, przebieg pracy artysty nad ilustracją, która była zamówiona przez „Paper Tiger" na okładkę książki „Heroic Dreams".

Zanim narysuje się pierwszą kreskę, zawsze należy zastanowić się nad tym, co może nas ograniczać. W tym przypadku ważnym czynnikiem był czas; pracę trzeba było wykonać szybko, prosiło się więc o prosty, śmiały rysunek. Decyzje co do liternictwa, które miało być użyte na okładce, już podjęto i właśnie ono określało miejsce i kształt ilustracji – duży kwadrat na dolnej części strony. Wydawcy zaakceptowali wstępną koncepcję, że będzie to postać Amazonki.

Początkowo Chris rozważał czy nie pokazać jej w pozycji stojącej, jednak czuł, że byłaby to strata powierzchni, ponieważ postać byłaby wtedy zbyt mała, żeby osoba patrząca na książkę skupiła na niej wzrok, co jest podstawową sprawą w przypadku okładki. Wobec tego pierwszy szkic przedstawiał postać klęczącą **(A)**.







Rysunek drugi, wykonany na osobnym kawałku kalki i umieszczony nad pierwszym, a następnie wzbogacony przez dodanie zbroi, butów itd.

Oto powiększony, ostateczny rysunek, każdy szczegół został wykończony, a następnie przeniesiony na karton.

Rysunek głowy, jak to się robi zazwyczaj, został wykonany oddzielnie, obok szkicu całej postaci.

Pierwszy szkic nie wydawał się wystarczająco dynamiczny, została więc dodana długa tarcza **(B)** tworząca dramatyczne V z mieczem dzięki powtórzeniu kąta ugiętej nogi. Ten szkic zaakceptowali wydawcy.

Tarcza i strój były dalej udoskonalane w kolejnych etapach, aż do stanu pokazanego na ilustracji **(C)**. Głowę pozostawiono nadal w zarysie, praca nad nią przebiegała osobno.

ciąg dalszy na stronie 7

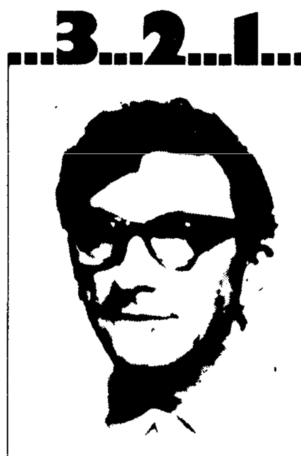

Piotr Pucek

43

Brawurowe połączenie groteski, horroru i mistycyzmu w doskonale napisanym opowiadaniu bardzo młodego autora. Debiut!!!

Jacek Dukaj: „Złota Galera"

...3...2...1...



Wielkie niespodzianki

Właściwie cała literatura fantastyczna głównie dlatego ma tak ciągle jeszcze duże powodzenie, że często i gęsto, częściej niż inne gatunki, żongluje niespodziankami, epatuje nimi nieustannie swego czytelnika. I dzieje się to na ogół w przeciwieństwie do monotonii i powtarzalności codziennych zjawisk życiowych. Fantastyka po prostu gra na tych strunach natury, które sieją niepokój, które podrażnia stabilizacja. Stabilizacja, zwłaszcza w czasach dla człowieka niepomyślnych, takich co to ze świata czynią ule, czy wielkie systemy uli i wszystko interesom tych uli – to znaczy wszystkich i niczyim, wodzom i nikomu innemu – podporządkowują.

Tym razem fantastyczność prawdziwego istnienia przekroczyła jednak wszelkie normy science fiction. Nagle zaczęło się dziać to, co wydawało się w ogóle niemożliwe. Huragan Wiosny Narodów wyrwał z marazmu nie tylko Węgrów i nas, Polaków, ale także przyzwyczajonych do drobiazgowej dyscypliny Niemców i Czechów. Porwani zostali nim również Bułgarzy, Rosjanie oraz narody tworzące ZSRR, a także (z różnym powodzeniem) inne, przede wszystkim wschodnie, lecz nie tylko wschodnie. Może dla Was, przeważnie młodych i najmłodszych, co czytają to pismo, happeningi współczesności nie są aż takim zaskoczeniem jak dla nas, starszych, którzy nie spodziewali się doczekania dni i spraw przez nas obecnie przeżywanych, ale na pewno fantastyczność została bardzo mocno zdystansowana. Toż nurt zajdlowski nie obiecywał nigdy niczego nowego, on jedynie walczył z tym, co zastałe od czasów wojny i nie do zniesienia.

Wielkie niespodzianki polegają nie tylko na ginięciu tyranii wszelkiej maści i ustalaniu się – trudnym i burzliwym – nowych form życia, nie zawsze u nas dobrze znanych a nawet rozumianych, lecz także na wydarzeniach zachodzących na styku różnych narodów. Oto – na przykład – na przełomie października i listopada zeszłego roku (o tym niestety prasa codzienna nie doniosła, nie wiem dlaczego, przecież powinna była gwoli prawdzie) przez jedną z ważniejszych ulic, czy raczej bulwarów lwowskich – Janowską, walił ku cmentarzowi tłum Polaków z biało-czerwonymi fanami (jak po lwowsku nazywa się chorągwie), aby na cmentarzu ukraińskich *strilciw* złożyć je z okazji nagle ogłoszonego Dnia Pojednania. Wkrótce zabłysło tysiąc pięćset świec, dostarczonych przez patriotów z Energopolu, na sławny Cmentarz Obrońców Lwowa, szpetnie przedtem zrujnowany, a w ich migającym blasku Ukraińcy złożyli swoje *błakitnożowte* fany na grobach tych, co z ich przodkami walczyli. Następnie Polacy wraz z Ukraińcami odśpiewali, z okazji Pojednania: „Hej strzelcy wraz, nad nami Orzeł Biały", słynną pieśń żołnierską. Po polsku. Inny przykład – jak gdyby zapominając czy też pragnąc odwrócić przeszłość, pomagaliśmy Niemcom ze Wschodu w ich wędrówce na Zachód, zanim i tam zwyciężyła pierestrojka, czy raczej zaczęła zwyciężać. Inna sprawa, że rewanżu z tamtej strony nie było, bo celnicy wschodnioniemieccy zatrzymywali, jak doniosła prasa, pociągi z polskim tranzytem na Zachód i nie przepuścili ich przez swą granicę. Jak widać nie wszyscy – jak to zresztą bywa – dojrzeli w pełni do tych naszych niezwykłych czasów, ale dzisiaj można już być zupełnie przekonanym, że jednak dojrzeją. Nawet ci najzatwardzialsi.

Nikomu bowiem nie uda się zamknąć oczu i przespać tego, co się w Europie i na świecie dzieje, bez względu na to, czego naprawdę pożąda. Niespodzianki mają jednak to do siebie, że trafiają na słabo na nie przygotowanych lub wręcz niegotowych, poza tym jedna niespodzianka w takiej mało przygotowanej sytuacji prowadzi natychmiast do następnych – lawina pędzi na nas owego niewiadomego i rośnie. A wśród niej jakże trudno przede wszystkim uporać się z własną przeszłością, rozsądzać winy, karać i przebaczać, rozumieć postępowanie dawnych i niedawnych przodków. Własne też. Jak wyglądają z dzisiejszej perspektywy np. nasi luminarze literatury; ci – a było ich sporo – którzy nawet płakali za Stalinem, czy mieliśmy w ich przypadku do czynienia z zauroczeniem, czy ze zwyczajnym oportunizmem? Jak tamto wszystko pojąć, jak przyjąć, jak ustosunkować się do ich twórczości? Co mówić i pisać o „Popiele i diamencie", o „Pokoleniu". Jak rozgraniczać dorobek naszego narodu w niedawnej przeszłości od narodowych strat, jak uczyć młodych odróżniania „brata od kata", jak skończyć ze straszliwym, barbarzyńskim wprost wandalizmem, z tym co wyprawia wielu młodych nawet i w kamienicach, które zamieszkują. Kiedy, jak w innych krajach, będziemy mogli siadać na nie rozwalonych ławkach w parkach? Jak zwykle wielkie miesza się tu z małym w tych kwestiach, ale wszystkie one razem zazębiają się, ich rozwiązanie – tych wielkich, ale także i tych niby małych – będzie służyć normalizacji naszej egzystencji, innej niż poprzednia, ale jakiej?

Dokładnie tego nikt jeszcze nie wie. Z nieobliczalnych działań tysięcy, milionów jednostek wykształcą się wektory naszej bliskiej i dalekiej przyszłości. Czy fantastyka jako literatura potrafi teraz, jak i do poprzedniej rzeczywistości dołożyć swą cegiełkę, a raczej wysłać rekonesans w to nieznane bliskie jutro, spróbować je przewidzieć i sprawdzić – oto jest pytanie!

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACK.
Fantastyka
Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., literatury polskiej), 25-59-48 (z-cy red. nacz., dział krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, (z-ca kier. działu zagr.), Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Hanna Sosińska-Balcer, Krzysztof Szolginia (sekr. red.,), Darosław J. Toruń, (z-ca kier. działu zagr.), Rafał A. Ziemkiewicz (kier. działu publicystyki).
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel.: 29-83-28, 28-86-41; fax: 28-61-36; telex: 814461, 814462, 814463, 814464 (redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń). Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Nakład 160 000 egz. Zam. z. 3960/89

NR INDEKSU 35839 | PL ISSN 0209-1631 | | Oddano do składu 6 grudnia 1989 r.

Lądowanie LXXXIV

Musimy się z tym liczyć, że w miarę starzenia się naszego pisma zmieniać się będzie profil Czytelników, że do starych, wytrwałych, powiedziałbym zatwardziałych miłośników „Fantastyki” doszlusowywać będzie nowa kadra. Przede wszystkim młodzi, ci co to z fantastyką jako gatunkiem literackim dopiero się zetknęli i porwała ich pełna niewiadomego tematyka. O idących w tym kierunku przemianach informują nas coroczne sondaże.

Gorsze jest jednak co innego, nie to, że nowe twarze się pojawiają, bo to świadczy o zmianie pokoleń i ewolucji naszego pisma, gorsze jest mianowicie zjawisko inflacji. Potwór, który może pochłonąć i pożreć wielu najmilszych Czytelników, bo im po prostu zabraknie pieniędzy na wykupienie coraz to droższych numerów „Fantastyki”. Ale na tego potwora rady żadnej nie mamy, na razie trzeba się z jego istnieniem liczyć jako ze złem koniecznym i czekać lepszej koniunktury. Papier drożeje kilkakrotnie. Nawet ten parszywy, gazetowy, który zadrukowujemy naszymi treściami. Z każdym dniem gorzej z nabyciem kredy na okładki i nie wiem co zrobimy jutro czy pojutrze. Boję się, że trzeba będzie drukować okładki na znacznie gorszym, matowym papierze. Przynajmniej dla części nakładu. Wtedy jednak byłaby możliwa pewna obniżka ceny dla tych, co by się zdecydowali na kupienie nakładu z gorszymi okładkami.

Czy pisma są u nas rzeczywiście drogie, jeśli kosztują tyle co bochenek chleba, a mniej niż kostka masła? O tej relacji można mówić, że zarówno gazety, jak i książki w naszym kraju nawet potaniały, ale skurczyła się kieszeń obywatela. W tym wąskim korytarzu ograniczeń finansowych i wyrzeczeń, przez jaki musimy się przepchać, coraz trudniej o wypchane pieniędzmi kieszenie. Bądźmy więc pełni nadziei, ale spośród masy pism i czasopism produkowanych w Polsce trzeba będzie dokonywać ostrej selekcji.

To oczywiście zobowiązuje naszą redakcję do trzymania poziomu. Obiecujemy solennie naszym Czytelnikom, że postaramy się temu wymogowi sprostać, jakkolwiek o teksty zagraniczne, zachodnie, za złotówki coraz trudniej. Te zaś dolary, które moglibyśmy na przykład w kantorach otrzymać za nasze złote, absolutnie także nie są w stanie zadowolić zagranicznych autorów. Należałoby też pamiętać o skromniejszych zarobkach i naszych rodzimych twórców. Są w takiej samej sytuacji jak reszta społeczeństwa. I to byłoby wszystko w tym wstępie-felietonie od Redaktora.

Mało napięcia *w tych nowelach, które drukujecie, fantastyka była związana zawsze z opowiadaniem czy powieścią detektywistyczną. W ten sposób wciągała czytelnika w krąg rzeczy niespodziewanych i dziwnych. A teraz, pozując na wielką sztukę, pełno w niej docinków politycznych i ambicji twórczych, ale od tego wszystkiego wieje nudą. Ambitne może być ciekawe. Wiedzieli o tym wielcy twórcy, tacy jak w SF Lem czy wcześniej Verne. Pan Hollanek wywodzi polską fantastykę od Jerzego Żuławskiego „Na srebrnym globie”, które jest nudnawe i mętne. Szczególnie w drugiej i trzeciej części.*

Jan Gadomski *z Warszawy*

Dlaczego zniknęła *zupełnie rubryka „komu – komu”? A była tak bardzo potrzebna i ciągle jest potrzebna nam wszystkim. Przecież pragniemy w tych trudnych czasach zamieniać książki i wymieniać czasopisma. Chcemy też pohandlować nieraz między sobą. A tu nikt nam nie pomaga. Czy z „komu – komu” musimy przenosić się do innego magazynu? Może nam poradzicie do którego. Jesteśmy bardzo ciekawi co nam poradzicie. Nie rozumiemy jak można lekceważyć interes własny. Toż ci co chcą się w dziedzinie SF wymieniać czy handlować, muszą kupować Wasze pismo. Jest wielu takich, co je kupowało jedynie dlatego, że istniała ta rubryka. A wy ją zlikwidowaliście. I co dalej?*

J.B.Z.S.N.K
studenci polonistyki z Krakowa

Oglądałem film „Mechaniczna pomarańcza”. Mnie się on wydał całkiem inny niż ta powieść, którą drukujecie, opowiadana przez bandziora. Moim zdaniem film był ciekawszy. Ale to dobrze, że takie powieści drukujecie. Chociaż trudniejsze, ale dające do myślenia. Strasznie musiał się namęczyć ten znany tłumacz, który tę „Mechaniczną pomarańczę” na nasz język przełożył. Nasz? Toż to cała gwara bandziorska, skąd on ją tak dobrze zna? Niech mu pan redaktor przekaże wyrazy uznania. Dopiero czytając tę powieść uświadomiłem sobie jaki to trud być tłumaczem, ile trzeba pracy włożyć w to co inni napisali, żeby swoim przekazać.

Janusz Spęda z Poznania

Strasznie drogie *stały się teraz nie same tylko książki, lecz także i spotkania, jeśli udział w takim Polconie kosztował kilkadziesiąt tysięcy!!! Okropne to, że się nie można znacznie taniej spotkać, a przecież co osobiste spotkanie, to nie przez gazetę, czy telefon. Takie to ważne, żeby się spotykać i drożyzna nie pozwala. Właściwie to przez te ceny żadna porządna impreza odbyć się nie może. Kina stoją puste, teatry świecą pustymi fotelami, nie mówiąc o filharmonii czy salach innych koncertów, chyba że przyjedzie z zagranicy jakaś gwiazda. Na taką wizytę lecą ci, co mają najwięcej pieniędzy. Bo są w kraju ludzie, dla których nie ma drogo, ale większości, zwłaszcza młodych, na nic nie stać. Niech pan to wydrukuje, niech organizacje młodzieżowe pomyślą jakby tanio organizować imprezy i spotkania.*

J.S.

Do następnego orbitowania.

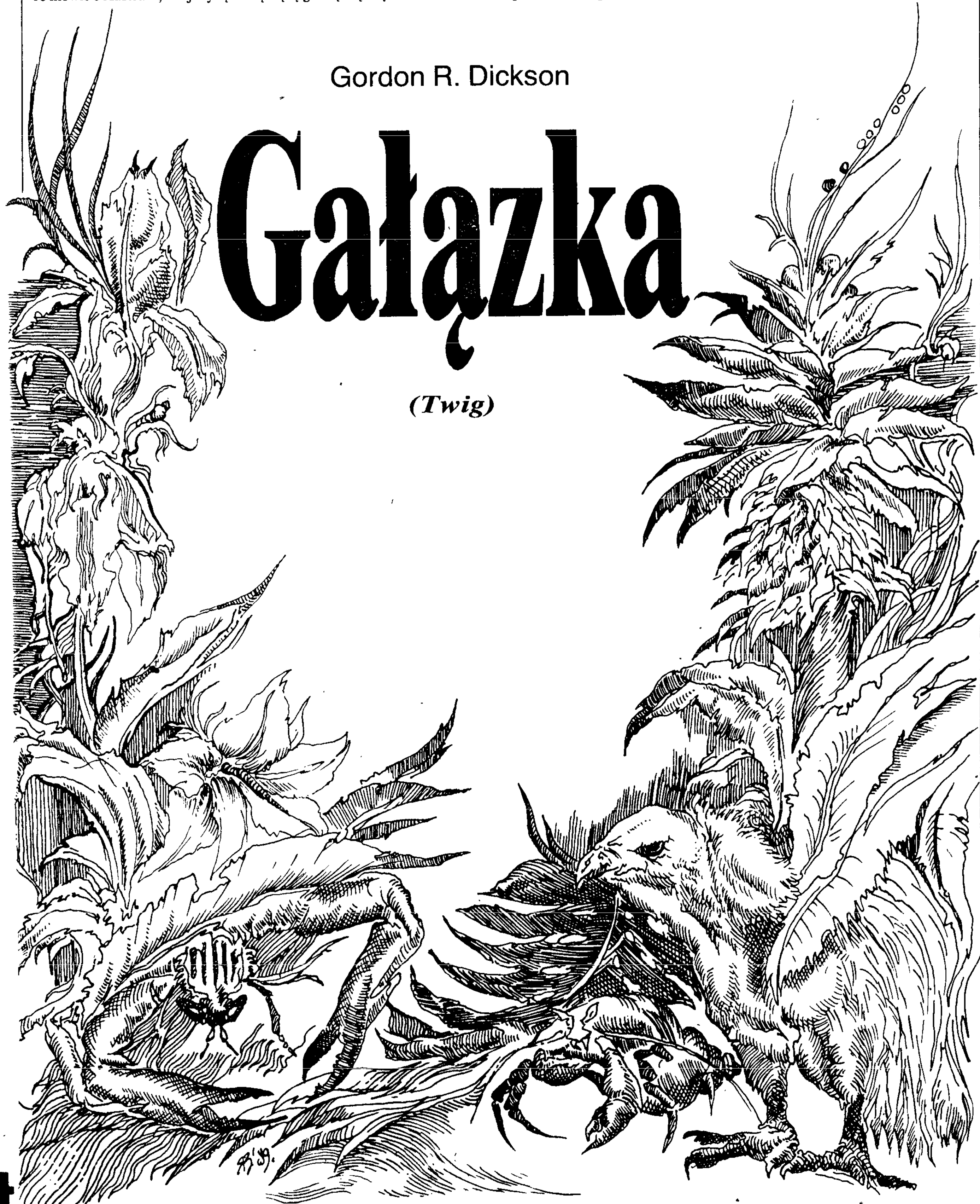
Redaktor

Od czterech godzin Gałązka zbierała w sobie odwagę, żeby zbliżyć się do punktu zaopatrzeniowego. Teraz, oświetlona popołudniowym blaskiem wielkiego, żółtopomarańczowego słońca, stała przy jednej z umocnionych ziemią ścian. Niecałe dwa metry od niej znajdowały się lekko uchylone drzwi; z czarnej szczeliny dochodził ochrypły śpiew podpitego, niemłodego tenora, którego głos załamywał się od czasu do czasu na chropowatościach mającego już swoje lata gardła.

...Dzielny jak Ned Kelly, kiedyś tak mawiali,
Jak Ned Kelly dzielny, często powtarzali...

Nawet dałoby się tego słuchać, gdyby akcent śpiewaka był choć w połowie tak australijski jak ta ballada o starym wyrzutku z krainy kangurów, który chadzał z bronią własnego pomysłu i wreszcie został zabity przez policję. Niestety, Hacker Illions nigdy nie widział na oczy Ziemi, a cóż dopiero mówić o Australii, zaś jedyną nić łączącą go z tą częścią Sol III stanowili rodzice, obydwoje od dwudziestu lat nieżyjący i pochowani tutaj, na Planecie Jinsona. Nawet Gałązka wiedziała o tym, że Hacker tak niewiele miał wspólnego z Nedem Kelly'ym i Australią. Mimo to godziła się, żeby udawał Australijczyka, podobnie jak godziła się z jego głupotą, kiedy był pijany, odwagą, kiedy był trzeźwy oraz z co prawda chwiejnym, ale nieustającym oddaniem Pradziadkowi.

Hacker pił już co najmniej od czterech godzin, czyli od chwili, kiedy Gałązka pojawiła się w pobliżu punktu zaopatrzeniowego. Znowu nie sposób będzie się z nim dogadać. Cicha jak cień, lekka niczym promień słońca, przycisnęła się do nierównej ściany, nasłuchując dochodzących z wnętrza odgłosów i próbując znaleźć w sobie dość odwagi, żeby wejść do tej ciemnej, hałaśliwej, przypominającej klatkę pułapki, nazywanej przez jej pobratymców budynkiem. Oprócz Hackera będą tam z pewnością inni, chociażby dzierżawiący to miejsce Agent. Może ich być więcej, równie pijanych, jak Hacker, ale znacznie od niego gorszych; mężczyźni, którzy będą próbowali złapać ją i przytrzymać swoimi rękami. Jej ciałem wstrząsnął



Ryszard Bojarski

dreszcz. Nie tylko dlatego, że wyobraziła sobie ich wielkie, stwardniałe dłonie, ale także dlatego, iż wiedziała, że jeśli ją złapią, to ona wyrządzi im jakąś krzywdę. Nic na to nie poradzi: będzie musiała ich skrzywdzić, żeby pozwolili jej odejść.

Pogrążona w bezgłośnej rozpaczy przykucnęła na piętach, kiwając się w przód i w tył. Gdyby Hacker wyszedł, nie musiałaby tam wchodzić. Ale on już od czterech godzin nawet na moment nie opuścił budynku. W środku z pewnością znajdowało się miejsce, gdzie mógł załatwiać swoje potrzeby, a to oznaczało, że będzie tam siedział tak długo, dokąd starczy mu pieniędzy, albo dopóki go nie wyrzucą. Tymczasem oddział przybędzie tu nie później niż za godzinę.

– Hacker! – zawołała. – Wychodź!

Ale jej wołanie było zaledwie szeptem. Nawet kiedy była sama z Hackerem, nigdy nie udało jej się przemówić donośniejszym głosem. Przedtem nie miało to żadnego znaczenia. Zanim spotkała Hackera, kiedy mogła rozmawiać jedynie z Pradziadkiem, w ogóle nie potrzebowała wydawać jakichkolwiek dźwięków. Gdyby jednak teraz udało się jej krzyknąć, choć ten jeden, jedyny raz krzyknąć jak inni ludzie, do których przecież należała...

Jednak z jej obolałego gardła wydobył się tylko świst powietrza. Wszelkie fizyczne urządzenia niezbędne do wydania krzyku znajdowały się na miejscu, ale jej umysł, po tylu latach spędzonych wyłącznie w towarzystwie Pradziadka, nie potrafił ich uruchomić. Nie miała już ani czasu, ani możliwości żadnego wyboru. Ściągnęła mocniej rzemyki, które przytrzymywały na jej ciele okrycie z kory. Hacker zawsze chciał, żeby nosiła ludzkie ubrania; mówił, że zapewnią jej lepszą ochronę przed ludźmi. Ale przecież człowiek mógł ją złapać jedynie w ciasnym pudełku, takim jak ten budynek, zaś ona nie była w stanie znieść martwego dotyku materiałów, którymi ludzie okrywali swoje ciała. Odetchnęła głęboko i dała nura przez uchylone drzwi.

Poruszała się tak szybko i zwinnie, że nim ktokolwiek zdążył ją zauważyć, była już u boku Hackera. Nikt nie zauważył chwili jej wejścia. Hacker stał oparty łokciem o półkę zwaną barem. Był to długi bar, biegnący wzdłuż całej ściany budynku, za nim urzędował Agent, który podawał szklanki i butelki. Teraz stał niemal dokładnie naprzeciw Hackera. Po tej samej stronie baru co Hacker stał mężczyzna równy mu wzrostem, ale znacznie cięższy, o twarzy porośniętej długą, czarną brodą.

On właśnie pierwszy ją zauważył, kiedy podkradła się do Hackera i pociągnęła go za połę marynarki.

– Hej! – ryknął brodacz dudniącym basem. – Hacker, spójrz! Nie mów mi, że to nie to dzikie dziecko, które wychowały rośliny! Jasne, że to ona! Niech mnie diabli! Gdzieś ją ukrywał przez tyle czasu?

I tak, jak się tego spodziewała, wyciągnął do niej grubą łapę. Schowała się za Hackera.

– Zostaw ją! – wybełkotał Hacker. – Gał... Gałązka, zmykaj stąd. Zaczekaj na zewnątrz.

– Ejże, zaczekaj chwilę! – Brodacz próbował obejść go, żeby się do niej dostać. Przy pasie kołysała mu się kabura z górniczym, jonowym świdrem. Hacker, bez żadnej broni, zastąpił mu drogę. – Odsuń się, Hacker! Muszę się jej przyjrzeć.

– Zostaw ją, Berg – powtórzył Hacker. – Mówię serio.

– Ty? – parsknął pogardliwie Berg. – A kim ty jesteś? Próżniakiem, który całe popołudnie chla za moje pieniądze!

– Hacker, chodź! – szepnęła mu do ucha Gałązka.

– W porządku. W porządku – powiedział Hacker z pijacką godnością. – Skoro tak uważasz, Berg... Gałązko, idziemy stąd.

Odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi. Berg zatrzymał go, chwyciwszy za fałdy skórzanej kurtki. Agent, tłusty mężczyzna o jasnej skórze, oparł się z uśmiechem o bar, nic nie mówiąc ani nic nie robiąc.

– O, nie – wyszczerzył zęby Berg. – Nigdzie nie idziesz, Hack. Ani ona, nawet jeśli będę musiał was razem związać. Będziesz miał odwiedziny.

– Odwiedziny? – Hacker patrzył na brodacza, mrugając bezmyślnie powiekami.

– Jasne. Wczoraj upłynęła twoja kadencja kongresmana, Hacker. Nie przysługuje ci już żaden immunitet.

Serce skurczyło się jej ostrzegawczo. Sprawy wyglądały jeszcze gorzej, niż się spodziewała. To, że Hacker był pijany już samo w sobie stanowiło problem, ale fakt, że ktoś trzymał go tu specjalnie cały czas, wlewając w niego alkohol i czekając na przybycie oddziału, oznaczało śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Hacker! – wyszeptała mu rozpaczliwie do ucha. – Uciekaj!

Śmignęła pod zaciśniętą na jego kurtce ręką Berga i znalazła się twarzą w twarz z brodaczem. Potężny mężczyzna zagapił się na nią tępo, a w chwilę potem jej dłoń, o palcach niczym giętkie witki i paznokciach jak brzytwy, przejechała po jego twarzy.

– Co jest? – ryknął z rozbawieniem Berg, bowiem paznokcie były tak ostre, że w pierwszej chwili nawet nie poczuł żadnych na nim ran. – Chcesz się bawić, czy...

Dopiero teraz krew zalała mu oczy. Wrzasnął na cały głos, puszczając Hackera i zatoczył się do tyłu, przyciskając ręce do twarzy.

– Co ty, chcesz mnie oślepić? – Opuścił dłonie, spojrzał na nie i zobaczył, że są całe we krwi. Ryknął ponownie, tym razem z wściekłości i bólu.

– Uciekaj, Hacker! – krzyknęła rozpaczliwie Gałązka. Uchyliła się przed ciosem Berga, wyszarpnęła jego świder z kabury i wetknęła go za pas Hackera. – Uciekaj!

Bergowi chodziło już tylko o nią, ale nawet gdyby nie zalewająca mu oczy krew, i tak przypominałby goniącego za kolibrem niedźwiedzia. Gałązka skakała bezustannie wokół niego, to zbliżając się, to znów oddalając, a on, jak szaleniec z czerwono-czarną głową, próbował ją za wszelką cenę złapać.

Hacker, który wreszcie zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa i trochę otrzeźwiał, trzymając w dłoniach świder Berga wycofywał się w kierunku drzwi, mierząc to w niego, to w Agenta.

– Zostaw go, Gałązko! – zawołał głosem, który na ostatnim słowie zamienił w cienki dyszkant. – Chodź tu!

Gałązka wykonała jeszcze jeden unik przed wyciągniętymi rękami Berga i stanęła obok niego w drzwiach.

– Cofnij się, Berg! – Hacker skierował w niego świder. – Podziurawię cię, jeśli zrobisz jeszcze krok!

Berg stanął, chwiejąc się na nogach. W szkarłatno-czarnej masce, jaką stanowiła jego twarz, błyszczały wyszczerzone zęby.

– Zabiję was... – wychrypiał. – Zabiję oboje...

– Lepiej nie próbuj – poradził mu Hacker. – Chyba, że chcesz sam umrzeć. A teraz zostań na miejscu, i ty też, grubasie. Nie próbujcie iść za nami! Gałązka!

Razem wymknęli się przez drzwi i pobiegli w kierunku lasu.

Gałązka dotknęła dłonią pierwszego drzewa, do którego dotarli i wszystkie zagradzające im drogę pnie i gałęzie rozsunęły się na boki, by zaraz po ich przejściu powrócić na swoje miejsce. Przebiegli jeszcze kilka kilometrów, aż wreszcie oddech Hackera stał się ciężki, a on sam zwolnił tempo do marszu. Gałązka, która mogłaby biec nawet przez cały dzień, uczyniła to samo. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, starając się złapać trochę tchu w piersi.

– Co się stało? – zapytał wreszcie zatrzymując się, żeby dosłyszeć szeptaną odpowiedź Gałązki.

– Oddział, tak to nazywają. Dziesięciu mężczyzn i trzy kobiety, wszyscy ze świdrami lub laserami. Mówią, że zorganizują sąd obywatelski i cię powieszą.

– Naprawdę? – chrząknął Hacker. Czuć było od niego alkohol i strach, ale znajdował się już na dobrej drodze do całkowitego otrzeźwienia, zaś Gałązka, która kochała go chyba nawet bardziej niż Pradziadka, dawno już przywykła do jego zapachów. Usiadł ciężko na ziemi, opierając się o pień drzewa i skinął na nią, żeby zrobiła to samo.

– Usiądźmy i pomyślmy – powiedział. – Bezmyślna ucieczka nic nam nie pomoże. Gdzie oni teraz są?

Gałązka, która zdążyła już przykucnąć na piętach, wstała i podeszła do drzewa, o które się opierał. Objęła pień rozłożonymi najszerzej jak tylko mogła dłońmi, przytuliła policzek do kochanej, szorstkiej kory, zamknęła oczy i sięgnęła myślami do wnętrza drzewa. Jej umysł wtopił się w wielokilometrową sieć korzeni, żeby za pośrednictwem niezliczonych dzieci Pradziadka dotrzeć nawet do najmniejszych braci, o których ludzie mówili, że przypominają rosnącą na Ziemi roślinę zwaną „trawą". Mniej niż czterdzieści minut marszu od miejsca, w którym teraz się znajdowali, wielu spośród tych najmniejszych braci czuło na sobie ciężkie, metalowe gąsienice ludzkich pojazdów, rozrywające je na strzępy i wgniatające głęboko w glebę.

– Cicho, braciszkowie, cicho... – próbowała ulżyć ich cierpieniu. Oni nie czuli bólu takiego, jaki znały niezliczone ziemskie zwierzęta i ludzie, w tym także Gałązka; w nieco inny sposób uświadamiali sobie potworną niewłaściwość tego, co unicestwiało ich w kompletnie bezsensowny, bezużyteczny sposób. Ci, którzy ginęli, rozpaczali nad tym, że zostali stworzeni tylko po to, by tak właśnie przestać istnieć, a głęboko pod powierzchnią Planety Jinsona na swój sposób wtórował im w tej rozpaczy Pradziadek. Bolało go to zniszczenie, zadawane przez obcych mężczyzn, kobiety i zwierzęta.

– Cicho, Pradziadku, cicho... – Ale Pradziadek milczał. Odsunęła się od drzewa, otworzyła oczy i wróciła do Hackera.

– Jadą transporterami – poinformowała go. Dzięki pośrednictwu trawy i spoglądających z wysokości drzew mogła opisać odkryte, poruszające się na gąsienicach pojazdy i siedzących w nich ludzi tak dokładnie, jakby widziała wszystko na własne oczy. – Kiedy wyruszali, było ich tylko ośmioro i szli na piechotę. Teraz dołączyło do nich jeszcze pięciu, którzy jechali transporterami. Mogą do nas dotrzeć za pół godziny, jeżeli tu zostaniemy. Przedtem ich maszyny zabiją wiele drzew i innych dzieci Pradziadka.

– W takim razie skieruję się do Wysokich Skał – powiedział Hacker. Na jego kościstej, nie ogolonej twarzy pojawiła się głęboka, biegnąca pionowo

przez czoło zmarszczka. – Będą musieli zostawić swoje pojazdy i ścigać mnie na piechotę; wtedy nie zdołają dokonać zbyt wielkich zniszczeń. Poza tym, mogą szukać mnie tydzień, albo i miesiąc, i nigdy nie znajdą. W rzeczywistości zależy im na tobie, żebyś powiedziała im, gdzie jest Pradziadek, ale nie odważą się nic zrobić, dopóki ja jestem przy życiu. Na szczęście obowiązuje tu jeszcze jakieś prawo, a oprócz tego jest przecież prawo międzyplanetarne. O, właśnie... – Sięgnął dwoma palcami do kieszeni koszuli i wyciągnął skrawek zapisanego papieru, który wręczył Gałązce. – Kiedy byłem w Stolicy, poprosiłem Gubernatora Generalnego, żeby zwrócił się do Rządu Międzyplanetarnego o przysłanie eksperta w dziedzinie ekologii o jak najrozleglejszych prawnych pełnomocnictwach. Oto jego nazwisko.

Gałązka przykucnęła ponownie i rozłożyła zwinięty ciasno świstek. Była bardzo dumna ze swojej umiejętności czytania i jeszcze innych zdolności nabytych dzięki Hackerowi, który przywiózł aż tutaj jedną z maszyn edukacyjnych, ale te litery napisano kiedyś niebieskim długopisem, zaś pot Hackera uczynił je później niemal niewidzialnymi.

– John... Stone – przeczytała wreszcie na głos.

– To właśnie on. Zorganizowałem wszystko tak, żeby nikt o tym nie wiedział. Miał wylądować już dwa dni temu i teraz powinien zmierzać w te strony, żeby się ze mną spotkać. Nie sądzę, żeby był dalej niż dzień drogi na południe stąd. Wie o tobie. Znajdź go, pokaż mu ten papier i opowiedz o wszystkim, co się tutaj dzieje. Ja tymczasem poprowadzę tę sforę dokoła Wysokich Skał, a potem do Czerwonych Źródeł. Spotkamy się tam jutro późnym popołudniem i razem zaczekamy na nich.

– Ale nawet wtedy będzie was tylko dwóch! – zaprotestowała Gałązka.

– Nie bój się. – Hacker poklepał ją po okrywającej jej ramiona korze i podniósł się na nogi. – To człowiek pracujący dla Rządu Międzyplanetarnego, jakby rodzaj policjanta. Nie odważą się na nic w jego obecności. Kiedy dowiedzą się, że tu jest, żaden nie ośmieli się wypalać lasu, żeby zdobyć kawałek pola.

– Ale kiedy on odejdzie... – Gałązka również podniosła się z miejsca.

– Do tego czasu zdąży sformułować nowe prawa, które na zawsze powstrzymają ten proceder. Idź na południe, Gałązko i zostań z nim, kiedy go znajdziesz. Ci, którzy mnie ścigają równie chętnie dostaliby i ciebie w swoje ręce, gdyby tylko mogli cię odnaleźć.

Poklepał ją ponownie po ramieniu, a następnie odwrócił się i zniknął wśród drzew, maszerując krokiem bardzo szybkim dla każdego, kto nie był Gałązką.

Spoglądała w ślad za nim, niczego nie pragnąc tak bardzo, jak pozostać przy nim. Ale Hacker miał oczywiście rację. Jeżeli teraz najpotrzebniejszy był ten John Stone z innej planety, to za wszelką cenę musi go odnaleźć. Mimo to powszechne uczucie nieszczęścia, które wyczuwała dokoła, a także we wszystkich, których kochała, było przygniatające. Kiedy Hacker odszedł, padła na ziemię, tuląc do niej twarz i próbując ją objąć rozłożonymi szeroko ramionami.

– Pradziadku! – zawołała bezgłośnie; kiedy wzywała samego Pradziadka, nie musiała kontaktować się z żadnym z jego dzieci. Nie otrzymała jednak odpowiedzi. – Pradziadku, dlaczego milczysz? – Powoli zaczął ogarniać ją strach. – Co się stało? Gdzie jesteś?

– Uspokój się, biegająca siostrzyczko – dotarła do niej ociężała, powolna myśl Pradziadka. – Jestem tutaj, nigdzie nie odszedłem.

– Przestraszyłam się, że ludzie znaleźli cię tam, pod ziemią i skrzywdzili, albo nawet zabili...

– Już cicho, cicho, biegająca siostrzyczko. Jestem już bardzo zmęczony tymi ludźmi i być może niebawem zasnę. Nie wiem czy kiedykolwiek się obudzę, nie wiem. Ale nie wierz w to, że można mnie zabić. Nie jestem pewien czy w ogóle cokolwiek można zabić – najwyżej zmienić na jakiś czas, uciszyć, aż wreszcie wszechświat sobie o tym przypomni i obudzi, by znowu przemówiło. Ja nie jestem taki jak ludzie, którzy mogą mieć tylko jedną postać. Nie sprawia mi żadnej różnicy, czy jestem korzeniem, gałęzią, czy kwiatem. Zawsze czekam na ciebie, mała biegaczko, bez względu na to, czy odpowiadam na twoje wołanie, czy nie.

Z oczu Gałązki pociekły łzy, spływając po jej nosie, by wsiąknąć w ziemię, do której była przytulona.

– Nic nie rozumiesz! – załkała. – M o ż e s z umrzeć. M o g ą cię zabić. Nie rozumiesz! Myślisz, że to tak, jakby zasnąć.

– Wszystko rozumiem – odparł Pradziadek. – Rozumiem dużo więcej od małej biegaczki, która przeżyła dopiero kilka chwil, podczas gdy ja za mego życia widziałem, jak piętrzą się i rozsypują łańcuchy górskie. Jak mogę umrzeć, jeśli jestem czymś więcej, niż tylko plątaniną korzeni, którą ludzie znajdą i zniszczą? Nawet, jeżeli to zrobią, ja pozostanę częścią każdej rośliny żyjącej na tej planecie, a także mojej małej biegaczki. Gdyby zaś i to wszystko miało kiedyś zginąć, pozostanę częścią ziemi i skał, tworzących tę planetę, częścią innych planet, wreszcie częścią całego świata. Tutaj nauczyłem się rozmawiać ze wszystkimi roślinami, od najmniejszych do największych. W tym samym czasie na planecie tak odległej, że nawet ja nie jestem w stanie jej dojrzeć, ludzie uczyli się rozmawiać ze sobą. Teraz rozmawiamy my dwoje. Czy sądzisz, że byłoby to możliwe, gdybyśmy nie stanowili jedności?

– Ale dla mnie będziesz po prostu martwy! – szlochała Gałązka. – A ja tego ne przeżyję! Nie przeżyję i już!

– Cóż mogę ci powiedzieć, biegająca siostrzyczko? Jeżeli uwierzysz, że jestem martwy, wtedy naprawdę umrę. Jeśli jednak uwierzysz w to, że tak naprawdę nikt nie może umrzeć, będę żył. Będziesz mnie zawsze czuła przy sobie, pod warunkiem jednak, że nie pogrążysz się w pustce rozpaczy.

– Dlaczego nie chcesz sobie pomóc? Przecież mógłbyś zrobić wszystko co chcesz. Zaopiekowałeś się mną, kiedy byłam mała. Byłeś tylko ty. Nie znałam ani matki, ani ojca, nie pamiętam nawet, jak wyglądali. Ocaliłeś mi życie, wychowałeś mnie i opiekowałeś się mną. Teraz chcesz odejść i zabraniasz mi martwić się o ciebie. Wcale nie musisz się tak łatwo poddawać. Mógłbyś otworzyć pod nimi ziemię i wypuścić gorącą lawę. Mógłbyś wysuszyć rzeki, z których czerpią wodę. Mógłbyś zasypać ich trującymi nasionami, ale ty nic nie robisz, tylko leżysz i czekasz aż przyjdą, żeby cię zabić!

– To wszystko, o czym mówisz, nic by nie dało – odparł Pradziadek. – Niełatwo to wytłumaczyć małej biegaczce, która przeżyła dopiero kilka chwil, ale wszechświat nie rozwija się w ten sposób. Droga, którą wytycza gwałt i przemoc prowadzi jedynie do zniszczenia i nicości. To samo stałoby się ze mną. Chyba nie chciałabyś, żebym był chory i nie mógł już rosnąć, prawda, maleńka biegaczko?

– Lepsze to niż śmierć.

– Znowu myśl, która nie jest myślą. Nie mogę sprawić, żebyś się rozpogodziła, jeśli postanowiłaś być smutna. Kiedy dorastałaś, z dala od swoich pobratymców, wykorzystywałem wiele naszych braci i sióstr, od tych najmniejszych do największych, żeby troszczyli się o ciebie i opiekowali się tobą, chciałem bowiem, żebyś była szczęśliwa i mogła biegać po tym świecie. Ty jednak nie jesteś szczęśliwa, ja zaś, który wiem o tyle więcej od ciebie, muszę się jednocześnie jeszcze wiele nauczyć, bowiem nie mam pojęcia, jak mógłbym temu zaradzić. Jeżeli musisz, pozostań ze swoim smutkiem. Ja zawsze będę z tobą, nawet, jeśli w to nie uwierzysz.

Gałązka poczuła, że Pradziadek zwrócił swą uwagę na coś innego. Łkając leżała jeszcze przez chwilę, dzieląc się z ziemią swoją samotnością, ale po pewnym czasie jej łzy obeschły i przypomniała sobie o zadaniu, jakie zlecił jej Hacker. Powoli podniosła się na nogi i ruszyła biegiem na południe; wiatr ścierał z jej twarzy ostatnie ślady łez.

Nie stało się to od razu, lecz stopniowo poezja ruchu zaczęła rozgrzewać lodowaty, tkwiący w niej węzeł bólu i strachu. Jeżeli Hacker nie mylił się co do możliwości człowieka nazwiskiem John Stone, to wszystko może się jeszcze dobrze ułożyć. Nagle przypomniała sobie, że dobrze by było sprawdzić, co dzieje się z pościgiem i zmieniła raptownie kierunek, skręcając w stronę punktu zaopatrzeniowego. Dotarła do skraju lasu otaczającego polanę, na której stał budynek; były tam już zarówno pojazdy, jak i ludzie. Przyglądała im się bez obawy, bowiem niemal wszyscy słyszeli i widzieli znacznie gorzej od niej, a poza tym krzewy i zarośla nachyliły się nad nią, tworząc bezpieczną zasłonę.

Znajdowała się wystarczająco blisko, żeby słyszeć, o czym rozmawiają. Najwyraźniej jeden z pojazdów miał pękniętą gąsienicę i wymagał naprawy. Kilku mężczyzn już się krzątało koło niej, rozciągnąwszy ją uprzednio na ziemi niczym metalową bransoletę, pozostali zaś dyskutowali zawzięcie, stojąc w promieniach schylającego się już ku zachodowi, popołudniowego słońca.

– ...suka! – zaklął Berg. Mówił o niej. Rany na jego twarzy przestały krwawić już jakiś czas temu, ale na czole i wokół oczu było wyraźnie widać czerwone pręgi. – Jak ich dopadniemy, najpierw powieszę ją, a dopiero potem Hackera!

– Nic takiego nie zrobisz – odparła jedna z kobiet. Była wysoka, w średnim wieku, koścista, ubrana w krótką, brązową kurtkę i skórzane spodnie; do pasa miała przytroczoną czarną kaburę z laserem. – Najpierw musi nam to i owo powiedzieć. Przede wszystkim trzeba zabić tego cholernego Pradziadka, a ją odda się do jakiegoś odpowiedniego domu.

– Też coś! – wrzasnął Berg. Wykrzykiwałby jeszcze dłużej, gdyby nie przerwała mu inna kobieta – niższa i potężniej zbudowana, w niegdyś białym, sięgającym do kolan płaszczu, grubych butach i sukience. Nie miała przy sobie żadnej widocznej broni, ale jej głos był jeszcze bardziej ostry i wojowniczy.

– Zamknij się, Berg, zanim powiesz coś, czego będziesz potem żałował! Porządne, farmerskie rodziny mają co do tej dziewczyny swoje plany, bo chociaż do tej pory żyła dziko, to jest przecież człowiekiem i po odpowiednim wychowaniu będzie jeszcze kobietą o moralnych zasadach. I nie wyobrażaj sobie, że dostaniesz ją w swoje łapy. To my, kobiety, wydobędziemy z niej, gdzie ukrywa się ten diabelski Pradziadek!

– Jeśli wam się uda... – warknął Berg.

Kobieta roześmiała się takim głosem, że ciałem Gałązki wstrząsnął dreszcz.

ciąg dalszy z II strony okładki

Chris Achilleos



Szczegół, na który warto zwrócić uwagę, to ozdoby na ostrzu miecza. Chris, właściwie dość z nich zadowolony, nie bardzo był pewien wzoru, trochę z powodu swojej awersji do barokowej broni. Podobne kłopoty były z tarczą. Jej nieco asymetryczny kształt wydawał się odpowiedni, ale problemem znowu był wzór. Decyzja w obu przypadkach została przesunięta na późniejszy etap pracy.

Głowa pokazana osobno jest tych samych rozmiarów, jak na oryginale.



– Przecież wiesz, że nawet ciebie potrafilibyśmy zmusić do mówienia – odparła. – A skoro tak, to sądzisz, że nie damy sobie rady z jakimś dzieciakiem?

Gałązka zaczęła się powoli wycofywać, aż wreszcie pojazdy i ludzie zniknęli jej zupełnie z oczu. Dowiedziała się już wszystkiego, co chciała wiedzieć. Pościg chwilowo zatrzymał się, nie istniało więc niebezpieczeństwo, że dogonią Hackera zanim uda mu się dotrzeć do Wysokich Skał, gdzie kamienne rumowiska i wielkie głazy uniemożliwią korzystanie z pojazdów. Niebezpieczeństwo to było mało prawdopodobne już wcześniej, ale teraz przynajmniej miała całkowitą pewność.

Odwróciła się i ponownie ruszyła biegiem na południe w poszukiwaniu Johna Stone'a, a słońce skryło się w gałęziach drzew i poczęło zsuwać się ku horyzontowi.

Także tym razem ciepło będące następstwem biegu zaczęło rozpuszczać lodowe sople, które pojawiły się po podsłuchanej rozmowie. Teraz, kiedy biegnie, nikt nie może jej złapać, a tym bardziej robić jej żadnych strasznych rzeczy, żeby zmusić ją do ujawnienia miejsca, w którym znajduje się podziemne ciało Pradziadka.

Słońce zaszło i na niebie pojawił się duży, biały księżyc Planety Jinsona. Znajdował się w pełni i Gałązce wydawało się, że świeci niemal równie mocno, jak zachodzące słońce, tyle tylko, że magicznym, biało-szarym światłem, pozbawiającym wszystkie przedmioty ich naturalnej barwy. W jego blasku drzewa i krzewy rozchylały się na boki, robiąc jej drogę, a najmniejsi braciszkowie rozpinali najszerzej, jak tylko mogli swoje listki, tworząc pod jej stopami miękki, szary dywan. Biegła przez utworzony z księżycowego światła i cienia korytarz tak lekko, jakby w ogóle nie dotykała stopami ziemi.

Nie kosztowało ją to żadnego wysiłku. Przyśpieszyła nieco i ziemia, krzewy, drzewa i blask księżyca zaczęły przesuwać się koło niej z jeszcze większą prędkością. Wspólnie tworzyli wspaniałą, milczącą muzykę, która porywała ją ze sobą. Nic więcej nie istniało, tylko jej bieg, las i księżyc. Na chwilę stała się znowu małą biegaczką, zapominając o Pradziadku, Hackerze i ścigających ją ludziach. Zupełnie, jakby nikt z nich nigdy nie istniał. Pląsała wraz z otaczającym ją światem w czarno-białym tańcu nieskończonego biegu, jakby już zawsze mieli istnieć tylko oni: ona, jej świat i nikt więcej.

Biegła tak długo, że księżyc zdążył wspiąć się wysoko na niebo, stając się nagle znacznie mniejszy na tle wygwieżdżonej czapy, którą wdziewał świat po zachodzie słońca. Jej umysł, dostrojony do braci i sióstr, którzy ustępowali jej z drogi, zaczął odbierać sygnały świadczące o tym, że człowiek, którego miała odszukać, jest coraz bliżej. Utworzony z drzew i krzewów korytarz skręcił nieco, prowadząc ją prosto do niego. Wkrótce oprócz białego blasku księżyca dostrzegła inne światło, żółte i mrugające, w powietrzu zaś wyczuła zapach człowieka, zwierzęcia i płonących, martwych gałęzi.

A więc odnalazła go. Rozbił obóz na niewielkiej polanie, przez którą płynął strumyk tak wąski, że Gałązka bez trudu by go przeskoczyła. Strumyk okrążał wielki, omszały głaz, po czym znowu krył się między drzewami. Nad jego brzegiem płonęło niewielkie ognisko, przy którym siedział bez najmniejszego ruchu wpatrzony w płomienie człowiek; był tak ogromny, że w swym ciemnym ubraniu i z ogoloną gładko twarzą przypominał drugi blok skalny. Nieco dalej stało wielkie, podkute zwierzę, które ludzie nazywali koniem. Ono właśnie usłyszało ją lub zwęszyło, bowiem zwróciło się w jej kierunku i parsknęło głośno.

Człowiek uniósł głowę, spojrzał na konia, a potem w stronę Gałązki.

– Witaj – powiedział. – Przyjdź tu i usiądź ze mną.

Patrzył prosto na nią, ale nie zwiodło jej to. Nie mógł jej widzieć. Znajdowała się wśród drzew, co najmniej cztery metry od niego, a jego oczy musiały być oślepione blaskiem ognia. Po prostu opierał się na tym, co powiedziało mu jego zwierzę.

– Czy ty jesteś John Stone? – zapytała zapominając, że tylko Hacker mógł usłyszeć z takiej odległości jej szept.

– Tak – odpowiedział jednak ku jej zdumieniu mężczyzna. – A ty jesteś Gałązka?

Zdziwiona, weszła w krąg światła.

– Skąd wiesz? – spytała.

Roześmiał się. Miał głęboki, donośny głos, ale ten śmiech był śmiechem przyjaciela.

– Tylko dwoje ludzi może tutaj wiedzieć, jak się nazywam – powiedział. – Jednym z nich jest mężczyzna nazwiskiem Hacker Illions, drugim dziewczynka zwana Gałązką. Wyglądasz mi bardziej na nią, niż na niego.

Podeszła aż nad sam brzeg strumienia, stanęła nie dalej niż krok od niego i przyjrzała się jego dużej, przystojnej twarzy. Włosy miał niezbyt długie, ale gęste, a oczy błękitne niczym jeziora, w których odbija się bezchmurne niebo. Przez cały czas nie poruszył się ani razu. Stojący za nim koń parsknął ponownie i zastukał kopytami.

– Dlaczego tak siedzisz? – zapytała Gałązka. – Chowasz coś przede mną?

Potrząsnął głową.

– Nie chciałem cię przestraszyć – powiedział. – Hacker Illions ostrzegł mnie, żebym ne wykonywał gwałtownych ruchów i nie próbował cię dotknąć. Czy nie będziesz się bała, jeżeli wstanę?

– Oczywiście, że nie.

Omyliła się jednak. Podniósł się, a ona instynktownie cofnęła się o krok. Był największym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziała, a nawet większym, niż sądziła, że jest to w ogóle możliwe. I potężniejszym. Górował dosłownie nad wszystkim: nad nią, nad ogniskiem, głazem, a nawet nad koniem, który jeszcze przed chwilą wydawał jej się taki ogromny. Serce zaczęło jej bić tak szybko, jakby ciągle jeszcze biegła, ale wtedy zobaczyła, że on po prostu stoi i czeka. Nie wyczuwała w nim ani zła, ani nienawiści, które emanowały z Berga, barmana, kobiet biorących udział w pościgu i innych, podobnych do nich ludzi. Serce uspokoiło się. Zawstydzona, przeskoczyła strumień i stanęła tuż przed nim.

– Wcale się nie boję – oświadczyła. – Możesz znowu usiąść.

Sama usiadła naprzeciw niego ze skrzyżowanymi nogami, a on osunął się na ziemię niczym zsuwająca się do morza góra. Nawet teraz wciąż jeszcze nad nią dominował, ale była to przyjazna dominacja; czuła się tak, jakby siedziała w cieniu jednego z wysokich, rozłożystych braci.

– Czy nie przeszkadza ci mój koń? – zapytał John Stone.

Spojrzała na wielkie zwierzę i wciągnęła badawczo powietrze.

– Ma metal na nogach, jak te maszyny, żeby gnieść i ścinać małe stworzonka – powiedziała.

– To prawda – skinął głową Stone – ale to nie on o tym decydował. A poza tym, polubił cię.

Była to prawda. Zwierzę nachyliło w jej stronę swoją olbrzymią głowę i kiwało nią, jakby chciało jej dosięgnąć. Gałązka nieco złagodniała. Wyciągnęła do niego rękę, myśląc o różnych dobrych rzeczach i zwierzę uspokoiło się.

– Gdzie jest Hacker Illions? – zapytał Stone.

W jednej chwili powrócił cały strach.

– Przy Wysokich Skałach – powiedziała. – Ścigają go.

Opowiedziała mu o wszystkim, starając się mówić w taki sposób, żeby wszystko zrozumiał. Najczęściej, kiedy rozmawiała z kimś innym niż Hacker, rozumiano tylko jej słowa, a nie ich znaczenie. John Stone sprawiał jednak wrażenie rzeczywiście zatroskanego i przejętego.

– Jak daleko są te Czerwone Źródła? – spytał, kiedy skończyła swoją opowieść. – Jak szybko uda nam się tam dotrzeć?

– Człowiek potrzebuje sześciu godzin marszu.

– Jeżeli więc wyruszymy tuż przed wschodem słońca, powinniśmy znaleźć się tam jednocześnie z Hackerem?

– Tak – potwierdziła jego słowa – ale będzie lepiej, jeśli ruszymy od razu i zaczekamy tam na niego.

Stone spojrzał na księżyc i otaczający ich las.

– W ciemności będę musiał jechać bardzo wolno – powiedział. – Hacker powiedział mi, że ty nie lubisz takiego podróżowania. Poza tym musisz mnie jeszcze poinformować o wielu sprawach, a mnie będzie znacznie łatwiej słuchać siedząc przy ognisku, niż w siodle. Nie bój się. Na pewno będziemy tam na czas.

Ostatnie słowa wypowiedział spokojnym, pewnym tonem, przypominającym jej sposób mówienia Pradziadka. Usiadła z powrotem, nieco uspokojona, chociaż nie do końca przekonana.

– Jadłaś już? – zapytał – Czy może nie lubisz tego, co jemy?

Uśmiechnął się lekko i przez chwilę Gałązka podejrzewała, że sobie z niej pokpiwa.

– Oczywiście, że jem ludzką żywność – odparła. – Hacker i ja często jadamy razem. Mogę się bez niej obejść, ale wcale mi nie przeszkadza.

Skinął poważnie głową. Przyszła jej do głowy niepokojąca myśl, czy przypadkiem nie słyszy również tego, czego ona nie mówi na głos. Prawda wyglądała w ten sposób, że mimo swej ogromnej mądrości Pradziadek nie był w stanie pojąć, co ludzie rozumieją pod pojęciem „smaku". Owoce, orzechy i różne zielone rzeczy, którymi karmił ją, kiedy była dzieckiem, były zarówno wtedy, jak i teraz zupełnie w porządku, ale ludzka żywność, z którą zapoznał ją Hacker, pozostawiała znacznie ciekawsze wrażenia na języku.

John zaczął otwierać różne małe pakunki i przygotowywać posiłek, cały czas zadając pytania. Starała się odpowiadać najlepiej, jak potrafiła, ale nawet dla kogoś tak niezwykłego jak on zrozumienie jej przeżyć musiało stanowić nie lada problem.

Nie pamiętała jak wyglądali jej rodzice. Wiedziała, ponieważ powiedział jej to Pradziadek, że obydwoje zmarli w swojej chacie na jakąś chorobę, kiedy ona sama nie potrafiła jeszcze zbyt dobrze chodzić. Udało jej się jakoś wydostać z chaty i wtedy jej umysł zetknął się z umysłem Pradziadka, a ponieważ była bardzo młoda i nic nie było niemożliwe, usłyszała go, zrozumiała i obdarzyła zaufaniem.

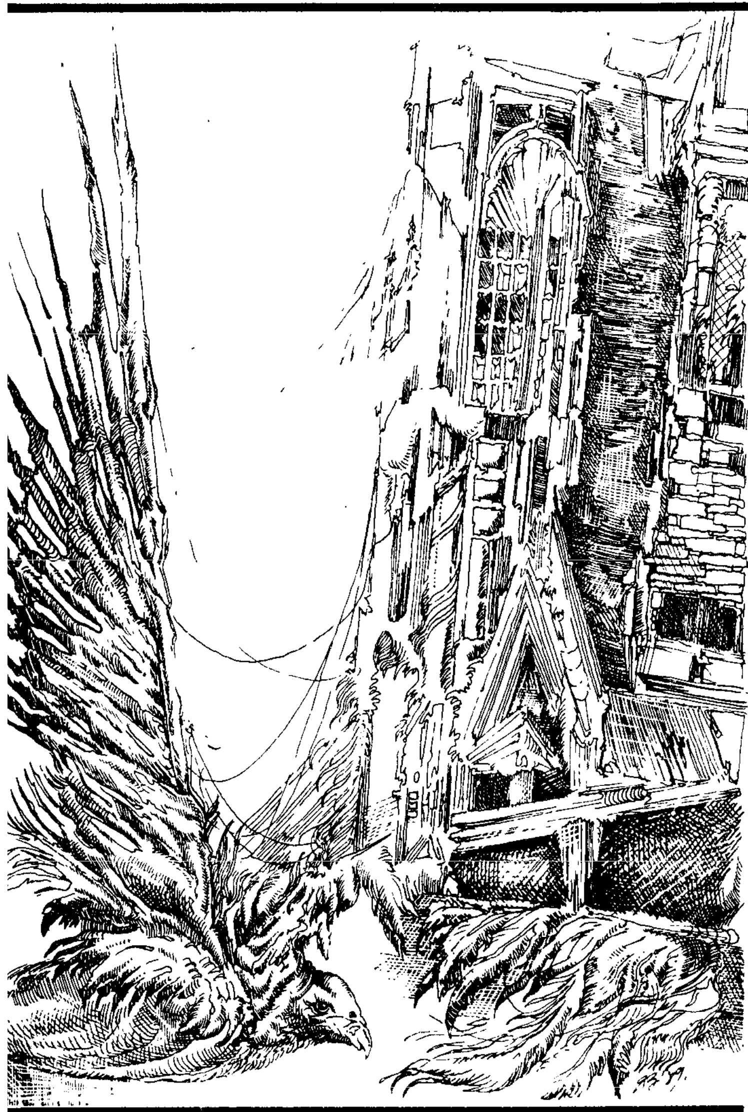
Zaprowadził ją w las, daleko od chaty i wypalonych połaci lasu, które jej rodzice mieli zamiar zamienić w pola uprawne; drzewa i gałęzie utworzyły tam dla niej schronienie przed deszczem i wiatrem, i zawsze mogła znaleźć w zasięgu ręki coś nadającego się do jedzenia. Przez długi czas trzymał ją z daleka od chaty. Kiedy wreszcie do niej wróciła, zobaczyła jedynie bielejące na łóżkach kości, okryte zielonym całunem roślin; Pradzia-

dek doradził jej, żeby pozostawiła je w spokoju. Nie odczuwała żadnego związku z nimi i od tamtej pory nigdy już nie zajrzała do chaty.

Z Hackerem sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Kiedy go spotkała przed trzema laty, była już małą biegaczką, jak nazwał ją Pradziadek. Hacker był wówczas zbieraczem, tak jak ci, którzy teraz go ścigali. Zbieracz – w przeciwieństwie do farmera, który regularnie nawoził, orał i pielęgnował wydartą naturze ziemię – był kimś, kto utrzymywał się również z rolnictwa, ale nigdy nie pozostawał w jednym miejscu dłużej niż dwa lata.

Większość dobrej, uprawnej ziemi na jedynym kontynencie Planety Jinsona została zajęta przez pierwszą falę osadników. Ci, którzy przybyli później przekonali się, że cienka warstwa gleby porośniętej dziećmi Pradziadka (którego istnienia nawet nie podejrzewali), kryje pod sobą skałę i jest niezbyt żyzna – chyba że się ją wypali. Popiół dostarczał jej brakujących składników, lecz po dwukrotnych zbiorach znikały one bez śladu, wraz z zebranymi i wywiezionymi plonami. Dla zbieracza nie miało to żadnego znaczenia; przenosił się w inne miejsce i tam wypalał kolejny kawał lasu.

Trzy lata temu, tuż przed porą wiosennych deszczów, Hacker pojawił się na terenie, gdzie mieszkała Gałązka. Był to idealny czas na wypalanie, bowiem deszcz wypłukiwał z popiołów odżywcze składniki, pozwalając im wsiąknąć w ziemię. Mijał jednak dzień za dniem, a Hacker nic nie robił. Wreszcie nadeszło lato i było już za późno na cokolwiek. Gałązka, która wielokrotnie mu się przypatrywała, zbliżała się coraz bardziej do jego obozowiska, zaintrygowana zbieraczem, który nim wcale nie był. Korzystał z owoców i orzechów, które Pradziadek przygotowywał dla Gałązki i nie brał z lasu nic poza tym. Nie mogła tego zrozumieć.



Ryszard Bojarski

Dopiero później jej to się udało. Hacker był pijakiem. Może by się nie różnił od innych zbieraczy, gdyby nie to, że kiedyś, po sprzedaniu całorocznych zbiorów zasiadł do gry w karty i wygrał masę pieniędzy, a następnie, w jedynym trzeźwym odruchu, który miał później błogosławić całe życie, posłuchał rady pewnego bankiera i zainwestował całą sumę, zabierając ze sobą tylko tyle, ile było mu trzeba, żeby wyruszyć ponownie w góry i przygotować kolejne pole pod uprawę.

Kiedy dotarł na miejsce, miał ze sobą olbrzymi zapas wszelkiego rodzaju napitków. Rozbił obóz, lecz zamiast wziąć się natychmiast do pracy, rozkoszował się spokojem i zawartością butelek.

Tutaj, w środku lasu, nie musiał wlewać w siebie tyle, co w ramionach cywilizacji. Wystarczyło pociągnąć od czasu do czasu, żeby otoczenie przyjemnie zamgliło się i zafalowało. Poza tym, nawet gdyby w tym roku nie zarobił ani grosza, w banku czekała przecież na niego masa pieniędzy.

I rzeczywiście, tak właśnie się stało.

Stopniowo zaczął się zmieniać. Otoczony naturą potrzebował coraz mniej alkoholu, bowiem nie było tutaj niewzruszonych, twardych praw, które ugniatały go bezlitośnie, skłaniając do buntu. Nie był specjalnie spostrzegawczy, ale pomału zaczął dostrzegać, jak zmieniają się pory roku i jak każdego dnia las na tysiąc sposobów reaguje na te zmiany. Zaczął odróżniać poszczególne składniki zielonej gęstwiny, a wreszcie, kiedy po dwóch latach znalazł się w takiej sytuacji, że po prostu musiał wziąć się do pracy, nie był w stanie zmusić się do tego, żeby spalić miejsce, w którym żył i czuł się szczęśliwy. Wyciosał na drzewach znaki, by odpędzić innych zbieraczy, po czym przeniósł się gdzie indziej.

Jednak następne miejsce, które wybrał, także niebawem uczyniło go cząstką siebie i uświadomił sobie, że również nie będzie w stanie go spalić. Przeprowadził się ponownie, tym razem na terytorium Gałązki i tam nieświadomie przyciągnął jej uwagę swoją odmiennością.

Pewnego dnia wmaszerowała śmiało do jego obozu i zatrzymała się kilka kroków przed nim, zdążywszy podczas wielu miesięcy ciągłych obserwacji pozbyć się wszelkich obaw i niepewności.

– Kim jesteś? – wyszeptała.

Wytrzeszczył na nią oczy.

– Dobry Boże, dzieciaku! – wykrztusił wreszcie. – Nikt ci nie powiedział, że nie powinnaś latać tak bez ubrania?

Była to zaledwie pierwsza z wielu kwestii, co do których musieli uzgodnić swoje stanowiska. Gałązka wiedziała, co to jest ubranie i zdawała sobie sprawę z tego, że noszą je inni ludzie, ale po prostu nie lubiła czuć go na swoim ciele. W ogóle, to wiedziała o wielu sprawach. Pradziadek zatroszczył się o to, żeby miała tyle wiadomości na temat swojego gatunku, ile tylko była w stanie wchłonąć. Pilnował także, żeby miała okazję obserwować ludzi podczas pracy i słuchać ich rozmów. Postanowił nawet, że musi ćwiczyć na głos tak często, jak to tylko możliwe i Gałązka, ślepo posłuszna jego słowom, posłuchała go także i tym razem.

Jednocześnie z tymi typowo ludzkimi umiejętnościami, przyswajanymi dzięki inicjatywie Pradziadka, pozyskiwała także wiele innych, niemożliwych do ujęcia w słowa mądrości, związanych bardziej z jego, niż jej środowiskiem. Jednocześnie wszystko to, co ludzkie docierało do niej w nieco zmienionej formie, jako że Pradziadek przecież ani nie był człowiekiem, ani jak człowiek nie myślał.

Między innymi tak właśnie miała się rzecz z ubraniami; wiedział o tym, że ludzie ich używają, ale sama idea była dla niego zupełnie obca, zaś zmuszanie kogoś do czegokolwiek nie leżało w jego naturze. Kiedy Gałązka zdecydowanie odmówiła noszenia odzieży nauczył ją, jak ma regulować zależnie od okoliczności temperaturę ciała i na tym zakończył temat. Również pod wieloma innymi względami pozwalał jej pozostać sobą, a więc odmienną od jej pobratymców.

Tak więc, kiedy wreszcie doszło do spotkania Gałązki z Hackerem, przypominało ono zetknięcie przedstawicieli dwóch różnych ras, których łączył jedynie język i nieznaczna ilość wspólnych doświadczeń. I jego, i ją zafascynowały dzielące ich różnice; już od tego pierwszego spotkania nawiązały się między nimi silne więzy.

– Teraz nosisz już ubranie – zauważył John Stone, spoglądając na okrywające jej ciało płaty miękkiej kory.

– To pomysł Hackera. Bardzo dobry pomysł. Kora mi nie przeszkadza. Kiedyś przecież była żywa i prawdziwa. Z początku trochę mnie ocierała, ale potem nauczyłam moją skórę, żeby nie była taka wrażliwa.

Stone skinął głową, a jego faliste, jasne włosy błysnęły w świetle ogniska.

– A jednak Hackerowi udało się dostać do rządu planetarnego i wezwać mnie tutaj? I dlaczego jego właśnie wyborcy chcą teraz zamordować?

– Zdobył maszynę edukacyjną i nauczył mnie wielu rzeczy – odparła Gałązka – ale sam też sporo się nauczył. Na przykład o Pradziadku i w ogóle o wszystkim. Nie potrafi z nim rozmawiać, ale wie doskonale o tym, że on tu jest.

– Ludzie w mieście uważają twego Pradziadka za zwykły przesąd – zauważył Stone.

– On nigdy nie zwracał na nich większej uwagi. Ale inni zbieracze również o nim wiedzą. Właśnie dlatego chcą go znaleźć i zabić, tak jak Hackera.

– Dlaczego? – powtórzył cierpliwie Stone.

– Dwa lata temu Hacker postanowił ubiegać się o miejsce w Rządzie – powiedziała Gałązka. – Z początku inni zbieracze uważali to za świetny pomysł, żeby jeden z nich tam się znalazł, wszyscy więc na niego głosowali. Ale on, kiedy znalazł się w Parlamencie, zaczął mówić o Pradziadku i o tym, że powinno się zakazać wypalania lasów. Wtedy zbieracze znienawidzili go, bo ludzie z miasta zaczęli się z nich śmiać, a oni nie mieli najmniejszego zamiaru zrezygnować z wypalania. Dopóki był delegatem,



Chris Achilleos

Oto komentarz Chrisa do poszczególnych etapów malowania ilustracji:



A *Obraz przeniesiony na karton za pomocą ołówka.*



B *Obszar, który ma być malowany aerografem z grubsza maskuję niepotrzebnymi kawałkami kalki technicznej, następnie zakrywam dokładnie folią samoprzylepną wyciętą zgodnie z kształtami rysunku.*



C *Maluję zbroję. Na łuskach zakrywających brzuch i ramiona kładę podkład. Sprawdzam po zdjęciu maskowania.*



D *Ponownie nakładam maskowanie. Maskująca folia samoprzylepna jest wycięta wokół ramion i opończy na ramionach.*



E *Od tego momentu maskowanie jest nakładane i zdejmowane przy każdym kolejnym etapie. Wymyślam wzór na ostrze miecza.*



F *Na obrzeżu tarczy maluję wzór celtycki, co zmniejsza trochę powierzchnię niewiadomą.*

chroniło go prawo, ale właśnie wczoraj skończyła się jego dwuletnia kadencja i teraz myślą, że już nikt się za nim nie ujmie.

– Uspokój się – powiedział John, bowiem dziewczynka zaczęła drżeć z przerażenia i zdenerwowania. – Na innych planetach są ludzie, którzy się za nim ujmą, za nim i za twoim Pradziadkiem. Na przykład ja. Nie stanie im się nic złego, obiecuję ci.

Ale Gałązka kołysała się na piętach nie chcąc się uspokoić, bowiem miała przeczucie, że w jakiś sposób stałoby się to przyczyną nieszczęścia.

Wstali jeszcze przed świtem, przespawszy jakieś cztery godziny. John spakował swoje rzeczy, dosiadł konia i wyruszyli do Czerwonych Źródeł.

Brzask dogonił ich, kiedy minęli już połowę drogi. Przyśpieszyli, bowiem w blasku słońca koń widział, gdzie ma postawić swoje wielkie kopyta. Gałązka jednak nawet nie zwróciła na to uwagi – chociaż początkowo zżymała się na wolne tempo, w jakim się poruszali – gdyż znajdowała się całkowicie pod urokiem Stone'a. Był nie tylko wielki ciałem, ale i duchem – tak wielki, że nie mogła ogarnąć go swymi pytaniami, chociaż zadawała je bez przerwy, a on bardzo chętnie na nie odpowiadał.

– Kim jesteś?

– Ekologiem.

– Tak, ale kto to jest?

– Ktoś w rodzaju doradcy – odparł. – Doradca rządów władających nowymi planetami.

– Hacker powiedział, że jesteś kimś w rodzaju policjanta.

– W pewnym sensie miał rację.

– Ale ja ciągle nie wiem, kim jesteś!

– A ty? Kim ty jesteś?

Zaskoczyło ją to pytanie.

– Jestem Gałązka – odpowiedziała. – Mała biegaczka. Jestem człowiekiem... – dodała po chwili zastanowienia. – Dziewczynką... – Zamilkła.

– Widzisz? Nikt nie jest tylko jedną osobą czy rzeczą. Właśnie dlatego musimy z taką ostrożnością poruszać się po wszechświecie, starając się nic nie zmieniać, dopóki nie mamy pewności, jak te zmiany wpłyną na jego wygląd, a ostatecznie na nas samych.

– Mówisz jak Pradziadek – stwierdziła Gałązka. – Tylko że on nie chce walczyć, kiedy krzywdzą jego albo jego dzieci, na przykład tymi pożarami lasów.

– Być może jest bardzo mądry.

– Jasne, że jest mądry! Ale nie ma racji.

Stone spojrzał z siodła na nią, biegnącą koło jego konia. Cały czas miał lekko przechyloną głowę, by lepiej usłyszeć jej delikatny szept.

– Jesteś pewna? – zapytał.

Otworzyła usta i po chwili zamknęła je. Biegła przed siebie, patrząc prosto naprzód i nie odzywając się ani słowem.

– Wszystko, co nie umiera, rośnie – powiedział John. – Wszystko co rośnie, zmienia się. Pradziadek rośnie i zmienia się, i ty także, Gałązko.

Próbowała nie dopuścić do siebie jego słów, powtarzając sobie, że nie ma w nich nic, co potrzebowałaby usłyszeć.

Dotarli do Czerwonych Źródeł tuż przed południem. Miejsce to wzięło swą nazwę od niewielkiego wodospadu, wypływającego ze stromej, skalnej ściany mniej więcej w trzech czwartych jej wysokości i wpadającego do rozległego, płytkiego basenu o dnie pokrytym rdzawym nalotem. Woda miała wyraźny smak żelaza. Kiedy znaleźli się na miejscu, zobaczyli Hackera siedzącego na kamieniu przy brzegu strumienia.

– W samą porę – powitał ich, kiedy zbliżyli się do niego. – Jeszcze parę minut i musiałbym iść dalej. Słyszycie?

Skinął głową w kierunku rosnącego po drugiej stronie zbiornika lasu. Gałązka nie musiała nawet korzystać z pomocy żadnego z dzieci Pradziadka, bowiem równie wyraźnie, jak dwaj mężczyźni, a raczej nawet wyraźniej od nich usłyszała trzask i szelest poszycia, deptanego przez zmierzającą w ich stronę grupę ludzi.

– Uciekaj, Hacker! – wyszeptała.

– Nie.

– Nie – zawtórował mu ze swego konia Stone. – Zaczekamy tu na nich i trochę sobie porozmawiamy.

Gordon R. DICKSON

Najbardziej znany jako autor cyklu powieści o kosmicznych najemnikach z planety Dorsai, gościł na naszych łamach w numerze 4/85 i 6/86. Nowelka o dziewczynce imieniem Gałązka – dość dla niego nietypowa – ma wymowę ekologiczną i bardziej przypomina tonacją antymęskie utwory późnej Le Guin („The Eye of Heron") niż twarde powieści Dicksona.

L.J.

Stali w milczeniu, podczas gdy hałas przybierał na sile, aż wreszcie z lasu wyłonił się oddział złożony z dziesięciu mężczyzn i trzech kobiet. Ujrzawszy Hackera, Gałązkę i siedzącego cały czas na swoim koniu Stone'a, stanęli jak wryci.

– Szukacie kogoś? – zapytał z przekąsem Hacker.

– Dobrze wiesz, że tak – odparł Berg. Wyciągnął zza pasa jonowy świder i ruszył w jego stronę. – Zajmiemy się tobą, Hacker. Tobą, tym dzieciakiem i twoim kumplem, kimkolwiek jest.

Pozostali ruszyli za nim, zbliżając się do stojącej bez ruchu trójki.

– Nie – odezwał się John Stone. Jego potężny głos sprawił, że wszyscy spojrzeli na niego. – Nie! – powtórzył, bez specjalnego pośpiechu zsiadając z konia. Wydawało się, że nic nie może go powstrzymać, kiedy powoli uniósł się w strzemionach, a potem przełożył swoją długą nogę nad zadem zwierzęcia i wreszcie stanął na ziemi. Oddział ponownie zatrzymał się, a on przemówił:

– Jestem ekologiem Rządu Międzyplanetarnego – powiedział. – Zostałem skierowany na tę planetę w celu zbadania ewentualności niebezpiecznego nadużycia jej zasobów naturalnych. Dysponuję szerokimi uprawnieniami, w tym także prawem wezwania każdego obywatela tej planety na przesłuchanie w interesującej mnie sprawie.

Uniósł do ust lewą dłoń; promienie słońca odbiły się w czymś metalowym, co znajdowało się na jego przegubie.

– Hacker Illions, wzywam cię do stawienia się w charakterze świadka na przesłuchanie – powiedział do miniaturowego urządzenia. – O jego terminie zostaniesz powiadomiony we właściwym czasie. Gałązko, wzywam cię do stawienia się w charakterze świadka na przesłuchanie. O jego terminie zostaniesz powiadomiona we właściwym czasie. Wszelkie związane z tym wydatki zostaną wam zwrócone, zaś nałożony niniejszym na was obowiązek ma pierwszeństwo przed wszelkimi innymi obowiązkami lub nakazami, nałożonymi na was przez jakiekolwiek inne prawo lub jednostkę.

Położył dłoń na karku konia, który nagle wydał się nie większy od dużego, przyjacielskiego psa.

– Tym świadkom nie wolno sprawiać żadnych trudności – oświadczył. – Rozumiecie?

– Rozumiemy, rozumiemy – odburknęła tęga, ubrana w biały płaszcz kobieta.

– Rozumiemy? Co to znaczy, „rozumiemy"? – ryknął z wściekłością Berg. – Przecież ten cały ekolog nie ma broni. I jest sam! Mamy pozwolić, żeby nas powstrzymał?

Ruszył w kierunku Johna, który nawet nie drgnął. Im jednak bliżej Berg podchodził, tym mniejszy się stawał, aż wreszcie, kiedy od Stone'a dzieliło go zaledwie kilka kroków, stało się jasne, że nie sięgnie mu głową nawet do ramienia; przypominał małego chłopca, stojącego twarzą w twarz z dorosłym mężczyzną. Zatrzymał się i obejrzał, tylko po to, żeby się przekonać, że nikt nie poszedł za nim.

Kobieta w białym płaszczu wybuchnęła szyderczym śmiechem.

– Ech, Berg! – zawołała. – Zawsze myślałeś bicepsami!

Minęła go, odsuwając łokciem na bok i stanęła przed Stone'em, wpatrując się z zawziętością w jego twarz.

– Nie przestraszy mnie pan, panie ekologu! – powiedziała. – Całe życie patrzę na ludzi z dołu. Nie boję się pana, nie boję się pańskiego międzyplanetarnego rządu, nie boję się niczego. Chce pan wiedzieć, dlaczego nie powiesimy teraz tego Hackera i nie zabierzemy dziecka, żeby oddać je na wychowanie jakiejś porządnej rodzinie? Wcale nie dzięki panu, tylko dlatego, że po prostu nie potrzebujemy tego robić. Hacker nie jest jedynym, który ma znajomości w stolicy. Już dwie godziny temu wiedzieliśmy o tym, że pan tu jest.

John skinął głową.

– Wcale nie jestem zaskoczony – odparł. – Ale to nic nie zmienia.

– Czyżby? – W głosie kobiety pojawiła się wysoka, triumfalna nuta. – Hacker i dziewczyna byli nam potrzebni tylko do tego, żeby wskazać kryjówkę tego cholernego, roślinnego tworu. On ściągnął tu ciebie, a my ściągnęliśmy sprzęt, który nam pomoże go odkryć. Dwa dni temu załadowaliśmy go do samolotu, który wziął się za sporządzenie dokładnej mapy systemu korzeniowego na tym terenie. Domyśliliśmy się, że to musi być gdzieś w tej okolicy, bo właśnie tu wychowywał dziewczynę i...

– To nie ma z tym nic wspólnego! – krzyknęła Gałązka najgłośniejszym ze swoich szeptów. – Pradziadek jest wszędzie. Na całym kontynencie. Na całej planecie!

Ale kobieta nie usłyszała jej, a nawet gdyby usłyszała, to i tak z pewnością nie zwróciłaby żadnej uwagi.

– Wczoraj znaleźliśmy go. Może pan sobie chronić dziewczynę i Hackera, panie ekologu. ale w jaki sposób chce pan zabronić nam kopania w naszej własnej ziemi i spalenia tego, co tam znajdziemy?

– Celowe zniszczenie inteligentnej formy życia... – zaczął John, ale nie dała mu dokończyć.

– Jakiego życia? Skąd może pan wiedzieć, że jest inteligentne, dopóki pan go nie znajdzie? A co wtedy? Wezwie pan na przesłuchanie kupę korzeni? – Roześmiała się ponownie.

– Ejże! – wychrypiał Berg, zwracając się do niej. Kobieta ani na mo-

ment nie przestała się śmiać. – Co to wszystko ma znaczyć? Dlaczego mi o tym nie powiedzieliście?

– Tobie? – Nachyliła się w jego stronę, jakby chciała napluć mu w czarną brodę. – Mielibyśmy tobie zaufać?

– Mam takie samo prawo, jak...

Ona jednak wróciła do reszty ludzi, pozostawiając go z jego niedokończonym protestem.

– Idziemy stąd – powiedziała. – Tym dwojgiem zajmiemy się po przesłuchaniu. I tak nie mają gdzie się przed nami schować.

Oddział poruszył się, niczym budzące się ze snu zwierzę i skierował się za nią, wokół zbiornika i tuż koło trójki uciekinierów. Kobieta przeszła tak blisko Gałązki, że wyciągnęła rękę i poklepała ją po ramieniu, czy też raczej po okrywającej to ramię korze. Ciałem dziewczynki wstrząsnął dreszcz, ale Lucy Arodet tylko uśmiechnęła się do niej i zniknęła wraz ze swymi ludźmi w lesie, kierując się w stronę, z której nadeszli Stone i Gałązka. Nie minęło wiele czasu, a odgłosy ich marszu ucichły w oddali.

– To prawda? – przerwał ciszę Hacker. – Czy istnieją urządzenia zdolne odkryć większą masę korzeni, taką jak Pradziadek?

Stone zmarszczył brwi.

– Tak – odparł. – To przede wszystkim czujniki podczerwieni, reagujące nawet na minimalne zmiany temperatury spowodowane przepływem cieczy przez system korzeniowy. Nie sądziłem, że ktokolwiek tutaj będzie o tym wiedział, a co dopiero... – przerwał na chwilę. – Nie sądziłem, żeby tego typu sprzęt mógł znaleźć się tutaj bez mojej wiedzy. Cóż, kiedy wchodzą w grę pieniądze, zawsze znajdzie się ktoś, kto spróbuje zaryzykować.

– Aresztuj ich! – szepnęła Gałązka. – Nie pozwól, żeby go używali!

John potrząsnął głową.

– Nie ma jednoznacznych dowodów na to, że Pradziadek jest naprawdę myślącą istotą. Dopóki nie zdobędę takich dowodów, nie mogę go bronić.

– Nie wierzysz nam? – zapytał Hacker z wykrzywioną nieprzyjemnym grymasem twarzą.

– Ja osobiście wierzę – odparł Stone. – Jeszcze zanim człowiek opuścił planetę, na której się narodził, odkryto, że przed ścięciem lub spaleniem rośliny czułe urządzenia wychwytują jej wyraźne reakcje. Skoro rzecz tak się ma z pojedynczymi egzemplarzami, to następnym, logicznym krokiem



Ryszard Bojarski

jest powstanie zbiorowej świadomości. Muszę jednak sam się z nią skontaktować, lub otrzymać jakiś inny, niezbity dowód jej istnienia.

– Jeżeli to, co mówiła Lucy Arodet jest prawdą, to za dzień lub dwa możesz już nie mieć z kim się skontaktować – zauważył Hacker.

– Słusznie – potwierdził Stone. – Czy wiesz, gdzie naprawdę jest Pradziadek? – zapytał, zwracając się do Gałązki.

– Wszędzie – odpowiedziała.

– Przecież wiesz, że jemu nie o to chodzi – zwrócił jej uwagę Hacker.

Gałązka spojrzała na górującego nad nią mężczyznę.

– Musisz mi powiedzieć – nalegał Stone. – Im szybciej dotrę do niego, tym wcześniej będę mógł zacząć go bronić.

– Nie! – wyszeptała.

– Kochanie, bądź rozsądna! – nie ustępował Hacker. – Słyszałaś, jak Lucy Arodet mówiła, że oni już go znaleźli. Jeżeli tak jest naprawdę, to dlaczego trzymać to w tajemnicy przed Johnem?

– Nie wierzę jej! Ona kłamała!

– Nawet jeśli tak było, to czepiasz się bardzo kruchej szansy – ostrzegł ją Stone. – Jeżeli uda im się dokopać do Pradziadka, zanim ja do niego dotrę, stracisz to, co tak bardzo chciałaś ocalić.

– Żadne z dzieci Pradziadka nie powiedziałoby, gdzie można go znaleźć, nawet gdyby mogło mówić – wyszeptała Gałązka. – Ja też tego nie zrobię.

– Więc nie mów – zgodził się John – tylko mnie po prostu do niego zaprowadź.

Pokręciła głową.

– Gałązko – powiedział delikatnym głosem Hacker. Spojrzała na niego. – Gałązko, posłuchaj: musisz zrobić to, co mówi Stone.

Jeszcze raz pokręciła głową.

– W takim razie zapytaj samego Pradziadka – podsunął jej Hacker. – Niech on zadecyduje.

Chciała już po raz trzeci powtórzyć ten sam gest, ale zamiast tego podeszła do najbliższego drzewa i objęła je ramionami – nie dlatego, że było to jej niezbędnie potrzebne, ale po to, żeby żaden z nich nie mógł dostrzec jej twarzy.

– Pradziadku! – pomyślała. – Pradziadku, czy słyszałeś to wszystko? Co powinnam zrobić?

Nie było odpowiedzi.

– P r a d z i a d k u! – zawołała bezgłośnie.

Cisza. Na moment wpadła w panikę, bowiem wydawało jej się, że w ogóle nie czuje jego obecności, że albo go zabito, albo zasnął na zawsze. Sięgnęła jeszcze dalej i wyczuła go, ale on nie słyszał jej wołania.

– Pradziadku!

Bez rezultatu. Zupełnie, jakby swoim ograniczonym do szeptu głosem chciała zwrócić na siebie uwagę kogoś, kto znajdował się na szczycie wysokiej góry. Pradziadek był pogrążony w swoich własnych myślach. Nie mogła do niego dotrzeć. Usiłowała zwalczyć ogarniające ją uczucie strachu i niepewności. Kiedyś Pradziadek był zawsze przy niej i dopiero ostatnio, kiedy nasiliło się wypalanie lasów przez zbieraczy, zaczął coraz bardziej zamykać się w sobie i mówić o pogrążeniu się we śnie.

Powoli odsunęła się od drzewa i zwróciła się w stronę czekających na nią mężczyzn.

– Nie odpowiada – szepnęła.

Na kilka chwil zapadła cisza.

– Więc sama musisz zadecydować, prawda? – spytał delikatnie Hacker.

Skinęła głową, czując się zupełnie rozdarta wewnętrznie. W tym momencie zaświtał jej pewien pomysł.

– Nie zaprowadzę cię tam – powiedziała, spoglądając Johnowi prosto w twarz – ale sama do niego pójdę i zobaczę, czy to prawda, czy zbieracze rzeczywiście go znaleźli. Ty zaczekasz tutaj.

– Nie – odparł Stone. – Przybyłem tu głównie po to, żeby dokonać lustracji wypalonych terenów, więc zrobię to teraz, skoro będę miał trochę czasu. Jeżeli sprawa ma znaleźć się przed sądem, będzie potrzeba jak najwięcej dowodów.

– Zaprowadzę cię – zaproponował Hacker.

– Nie – potrząsnął głową Stone. – Pójdziesz prosto na południe, do najbliższego osiedla i zgłosisz władzom, że zostałeś wezwany przeze mnie na przesłuchanie. Dzięki temu wszyscy będą wiedzieli, że znajdujesz się pod opieką prawa. Uda ci się tam dotrzeć, nie wpadając w łapy tej bandy?

Hacker prychnął pogardliwie.

– W porządku. Zapytałem tylko dla pewności. Gdzie w takim razie będziesz?

– W Fireville, jakieś dwanaście kilometrów na południowy zachód stąd.

– Fireville. Spotkamy się tam, kiedy obejrzę kilka wypalonych miejsc. Mam mapę, na której są zaznaczone. Ty, Gałązko, sprawdzisz, co dzieje się z Pradziadkiem i czy są jakieś oznaki świadczące o tym, że rzeczywiście go odkryto. Potem wracaj jak najszybciej do mnie. Myślisz, że ci się uda?

– Oczywiście – wydęła pogardliwie wargi. – Siostry i bracia powiedzą mi, gdzie mogę cię znaleźć.

Jednak zamiast odwrócić się i odejść spojrzała na Hackera, czując, jak w jej serce wbijają się ostre zęby strachu.

– Tylko nie pij – ostrzegła go – bo wtedy mogą ci coś zrobić.

– Ani kropli, daję słowo – odparł Hacker.

Mimo to jeszcze się wahała, aż wreszcie zrozumiała, że jeśli zostanie tu jeszcze chwilę dłużej, wtedy w ogóle nie wyruszy, odwróciła się więc i pobiegła. Las otworzył się przed nią, a obydwaj mężczyźni wkrótce zniknęli za gęstwiną drzew.

Biegła bardzo szybko. Tym razem nie mogła rozkoszować się pędem, czuła bowiem, że wraz z nią biegnie jej strach. Od czasu do czasu wołała w myślach Pradziadka, ale on nie odpowiadał, dała więc temu spokój, koncentrując się na tym, żeby jak najprędzej dotrzeć do jego kryjówki.

Żyjąc w zmieniającym się z dnia na dzień lesie nie miała właściwie do tej pory okazji przekonać się, jak szybko potrafi biec, gdy znajduje się w prawdziwej potrzebie. Mimo wszystko była tylko człowiekiem, więc chyba nie szybciej niż zwycięzcy maratonów w czasach, kiedy człowiek dopiero rozpoczynał podbój kosmosu, jeszcze zanim umarła Ziemia. Różnica polegała na tym, że ona, jeśli tylko chciała, mogła utrzymać tę szybkość nawet przez cały dzień. Teraz nie wiedziała, jak szybko biegnie, ale było to bardzo szybko; jej nogi migały na przemian w słońcu i cieniu, kiedy pędziła przed siebie utworzonym przez drzewa i krzewy korytarzem.

Było już sporo po południu, kiedy dotarła wreszcie do miejsca, w którym na głębokości od piętnastu do czterdziestu metrów pod powierzchnią gruntu spoczywała wielka, splątana masa korzeni. Po drodze żadne z sióstr i braci nie doniosło jej, żeby w pobliżu znajdowali się jacyś ludzie, ale o tym, co było wcześniej mogła dowiedzieć się tylko dotykając pnia któregoś z nich. Teraz, znalazłszy się wreszcie na miejscu, objęła mocno jedną z sióstr i zmusiła powolnie myślące liście do przypomnienia sobie światła i ciemności, ciemności i światła, następujących po sobie przez ostatni tydzień.

Liście pamiętały tylko wiatr i ciszę. W pobliżu nie pojawił się żaden człowiek ani nie rozległ się żaden odgłos wydawany przez maszynę. Po niebie oprócz słońca, księżyca i gwiazd wędrowały jedynie chmury i strugi przelotnego deszczu.

Lucy Arodet kłamała. Zbieracze albo nie mieli specjalnego wyposażenia, albo zastosowali je w jakimś innym miejscu, gdzie nie mogli znaleźć Pradziadka. Gałązka odetchnęła z ulgą i osunęła się na ziemię, wtulając w nią twarz i starając się objąć ją całą ramionami.

Pradziadek był bezpieczny – jeszcze bezpieczny. Zamknęła oczy, dając na chwilę ponieść się fali ulgi i wytchnienia. Niespodziewanie zmorzył ją sen, bowiem ostatnie godziny były wypełnione wyłącznie biegiem i niepokojem.

Kiedy się obudziła, była już noc. Księżyc zdążył wspiąć się wysoko na niebo, a Pradziadek myślał – nie do niej, a raczej o niej, jakby sądził, że nie może go usłyszeć.

– ...nigdy nie sięgnąłem poza atmosferę otaczającą tę samotną planetę. Ale teraz moja mała biegaczka dotrze aż do krańca wszechświata. Dalej są już tylko gwiazdy, a dalej znowu gwiazdy, zaś jeszcze dalej też gwiazdy... i tak aż do nieskończoności, w której ogromne galaktyki pływają niczym obłoki lub tłoczą się jak gromady małych biegaczek, przepychając się na trasie wyścigu do granicy czasu i przestrzeni. Wszędzie tam żyje mnóstwo istnień. Moja mała biegaczka pozna ich początek i koniec, i wszystko to, co mieści się między nimi. Będzie świadkiem narodzin i życia, dowie się, czy drogę przez czas i przestrzeń wyznacza ślepy los, czy celowe działanie. W ten sposób ze zniszczenia powstaje kreacja, po śnie następuje przebudzenie, a po porażce zwycięstwo, tak jak nawet na biegunach tej planety ostra zima ustępuje co roku miejsca ciepłemu latu. Ich starania, żeby mnie zniszczyć zaowocują przemianą mojej małej biegaczki w Wielką Biegaczkę, mknącą wśród gwiazd...

– Pradziadku! – wykrzyknęła Gałązka i opływający ją strumień myśli nagle zniknął.

– Już nie śpisz, mała siostrzyczko? – zapytał Pradziadek. – Jeżeli nie, to musisz iść.

– Dokąd? – zapytała, wciąż jeszcze nie do końca przytomna. – Dlaczego? Po co?

– Twój stary przyjaciel Hacker właśnie umiera, a twój nowy przyjaciel, John Stone, jedzie do niego – odpowiedziały jej myśli Pradziadka. – Ci, którzy chcieli jego i mojej zguby wpędzili go w śmiertelną pułapkę i wkrótce zjawią się tutaj, żeby zabić i mnie. Musisz już iść.

W jednej chwili Gałązka zerwała się na nogi, strząsając z siebie resztki snu.

– Co się stało? Gdzie jest Hacker?

– W wąwozie na północ od Fireville, do którego zepchnięto go, by zginął tak, żeby wyglądało na to, że wpadł tam po pijanemu. Ci, którzy są naszymi wrogami upili go, a następnie wrzucili do wąwozu.

– Dlaczego nie obudziłeś mnie wcześniej?! – załkała rozpaczliwie Gałązka.

– To by nic nie dało – odparł Pradziadek. – Nie można było zapobiec

jego śmierci, tak samo jak nie można powstrzymać tych, którzy zbliżają się tutaj, żeby mnie zabić.

– Jak to? – wykrzyknęła Gałązka. – Zbliżają się? Przecież nie wiedzą, gdzie jesteś!

– Teraz już wiedzą. Biegnąc do mnie miałaś przyczepione do kory na ramieniu coś, co umieściła tam kobieta o nazwisku Lucy Arodet. Maleńki przedmiot krzyczący głośno w języku, który rozumieją jedynie specjalne urządzenia. Dzięki temu wiedzieli dokładnie, gdzie jesteś. Kiedy dotarłaś do mnie i zatrzymałaś się, wiedzieli od razu, że mnie znalazłaś i poznali miejsce mojej kryjówki.

Gałązka sięgnęła pośpiesznie do swego ramienia. Jej palce napotkały coś małego, okrągłego i twardego; odczepiła to od kory i zbliżyła do oczu. W świetle księżyca przedmiot przypominał ciemną perłę o ostrych haczykach, którymi trzymała się jej ubrania.

– Zabiorę to stąd! – zawołała. – Zaniosę gdzie indziej...

– To także nic nie da – przerwał jej Pradziadek. – Nie rozpaczaj. Zanim tu dotrą, ja będę już spał snem, z którego nie ma przebudzenia. Zniszczą tylko plątaninę korzeni, nic więcej.

– Nie! Zaczekaj, nie rób tego! Pobiegnę do Stone'a. Zdąży tu przed nimi i wtedy nie będziesz musiał zasnąć...

– Moja mała, maleńka biegaczko. Nawet gdyby twój John Stone zdołał mnie dzisiaj ocalić, to tylko odsunęłoby nieco coś, czego nie da się uniknąć. Od chwili, kiedy ludzie postawili stopę na tej planecie, stało się jasne, że prędzej czy później będę musiał zapaść w mój wieczny sen. Nie rozpaczałabyś tak bardzo, gdybyś zrozumiała, że nie robię tego z niechęcią. To, co we mnie wartościowego, będzie dalej żyło w tobie i dotrze tam, gdzie ja bym nie zdołał, głębiej i dalej, niż sięga nawet wyobraźnia.

– Nie! – krzyknęła Gałązka. – Nie pozwolę ci umrzeć. Pobiegnę tam, gdzie leży Hacker i sprowadzę Stone'a. On cię uratuje. Zaczekaj na mnie, Pradziadku, zaczekaj!

Jeszcze nie skończyła z nim rozmawiać, a już odwróciła się na pięcie i ruszyła biegiem w kierunku Fireville. Bracia i siostry prowadzili ją szerokim korytarzem rozchylając się na boki. Ona jednak nawet tego nie dostrzegła. Myślała tylko o tym, że Pradziadek nie może umrzeć... nie może... nie może...

Biegła szybciej niż kiedykolwiek do tej pory. Mimo to, kiedy dotarła do znajdującego się w pobliżu miasteczka wąwozu, na niebie pojawiły się już pierwsze oznaki nadchodzącego świtu. Po drugiej stronie przepaści, czarna na tle jaśniejącego nieba, odznaczała się potężna sylwetka mężczyzny siedzącego na ogromnym koniu. W dole, w zalegającej jeszcze w wąwozie ciemności bielało coś, co kiedyś było Hackerem. Na ten widok Gałązka zapomniała nawet o Pradziadku i puściła się pędem w dół zbocza. Ktokolwiek inny potknąłby się co najmniej tuzin razy i przewrócił, ale ona wyczuwała wszelkie nierówności gruntu i zręcznie omijała wszystkie zdradliwe pułapki. Dotarła do ciała Hackera i padła przy nim na kolana.

– Hacker! – wyszeptała z twarzą zalaną łzami.

Rozległ się odgłos łamanych gałęzi i ciężkich kroków, po czym po drugiej stronie pojawiła się potężna postać Stone'a. Przyklęknął, by delikatnie dotknąć palcami szyi Hackera.

– On umarł, Gałązko – powiedział, podnosząc na nią wzrok.

Rozpacz wybuchła w niej niczym eksplodujący wszechświat. Wzięła głowę Hackera w objęcia i kołysała ją, pochlipując cichutko.

– Ostrzegałam cię, żebyś nie pił! – wykrztusiła. – Obiecałeś mi! Obiecałeś, że ani kropelki...

Zdała sobie sprawę, że John Stone znalazł się tuż koło niej. W mroku górował nad nią niczym olbrzymie wzniesienie. Położył jej na ramieniu swoją dłoń, a była ona tak ogromna, że otaczała ją niczym sklepiony wysoko łuk.

– To musiało się zdarzyć, Gałązko – powiedział swoim głębokim głosem, który zadudnił jej w uszach niczym grom. – Są rzeczy, którym nie sposób zapobiec.

Te słowa przypomniały jej o Pradziadku. Uniosła głowę, nasłuchując, ale odpowiedziała jej tylko cisza.

– Pradziadku! – krzyknęła i po raz pierwszy w jej życiu nie był to szept, ale prawdziwy krzyk, niosący się wysoko, aż do jaśniejącego nieba.

Bez odpowiedzi. Nie odezwało się nawet echo, żeby powiedzieć jej, że Pradziadek jest, ale nie słucha. Jego niezliczone dzieci wciąż były ze sobą połączone i czekały, nasłuchując, na odpowiedź, która mogła nadejść z najdalszych zakątków planety. Ale odpowiedzi nie było. Głos planety umilkł.

– On nie żyje!

Słowa rozbiegły się po liściach, gałęziach i źdźbłach trawy, docierając na najdalsze niziny i do najodleglejszych gór. N i e ż y j e...

Osunęła się na ziemię tam, gdzie siedziała, zapominając nawet o tym, że wciąż trzyma na kolanach głowę Hackera.

– Pradziadek?... – zapytał Stone. Skinęła z rozpaczą głową.

– To koniec – powiedziała głośno. Jej nowy głos był głuchy i zgaszony. – Umarł. Wszystko skończone. Już na zawsze.

– Nie – zaprzeczył zdecydowanie John Stone. – To się nigdy nie kończy.

Wstał, spoglądając na nią z wyżyn swojego wzrostu.

– Gałązko – powtórzył delikatnym, ale wyrazistym tonem. – To się naprawdę nigdy nie kończy.

– Nieprawda. Posłuchaj... – Zapomniała, że on, podobnie jak inni ludzie, nigdy nie był w stanie usłyszeć Pradziadka. – Ten świat jest martwy. Nikogo już tu nie ma.

– Właśnie, że jest. Ty. A dla ciebie istnieje wszystko, nie tylko na tej planecie, ale także na wielu innych, o których nawet Pradziadek nigdy nie słyszał. Są tam, w górze i czekają, żebyś do nich przemówiła.

– Nie mogę – odparła, kuląc się przy ciele Hackera. – Mówię ci, wszystko skończone. Wszystko.

John wziął ją za ramiona i podniósł z ziemi, po czym wspiął się na przeciwległą ścianę wąwozu i dosiadł swego konia. Przez chwilę próbowała się bronić, ale wkrótce zrezygnowała; nie miała z nim żadnych szans.

– Czas biegnie naprzód – powiedział. Gałązka przytuliła twarz do jego szerokiej piersi; słyszała, jak jego głos dudni za ścianą kości i ciała. – Wszystko się zmienia i nie sposób tego powstrzymać. Nawet gdyby Hacker i Pradziadek nie umarli, nawet gdyby Planeta Jinsona pozostała taką, jaką była, to przecież ty rosłabyś i zmieniała się każdego dnia. To, co nie umiera, musi rosnąć. To, co rośnie, zmienia się. Niezależnie od tego, czy chcemy, czy nie, podejmowane przez nas decyzje stają się coraz poważniejsze, zadania większe, aż wreszcie jedyny wybór, jaki nam pozostaje to czy kochać wszystkich, czy nie kochać nikogo. Na innych planetach są z pewnością inni Hackerowie, a być może gdzieś w kosmosie jest także inna Planeta Jinsona, ale nigdy i nigdzie do tej pory nie udało nam się natrafić na drugiego Pradziadka ani na drugą Gałązkę. Oznacza to, że musisz pokochać wszystkie planety i rosnące na nich istoty tak, jak uczyniłby to Pradziadek, gdyby mógł do nich polecieć tak, jak ty to uczynisz. Na tym polega twoje zadanie.

Nie odezwała się ani nie poruszyła.

– Spróbuj. Jesteś jedyną spadkobierczynią Pradziadka. Podejmij obowiązek, który ci przekazał. Przemów do wszystkich istot rosnących na tej planecie i powiedz im, że utrata Pradziadka nie oznacza wcale końca.

Potrząsnęła głową, przytuloną ciągle do jego piersi.

– Nie mogę – wyszeptała. – To nic nie da, po prostu nie mogę.

– Przemów do nich. Nie zostawiaj ich samych. Powiedz im, że teraz mają ciebie. Czy nie tego właśnie chciał Pradziadek?

Ponownie pokręciła głową.

– Nie mogę... – wychlipała. – Jeżeli to zrobię, to wtedy jego już naprawdę nie będzie, nigdy! Nie potrafię tego zrobić. Nie potrafię!

– W takim razie wszystko, na co liczył, przepadło – powiedział John Stone. – Cały wysiłek Hackera poszedł na marne. Nie obchodzi cię to?

Pomyślała o Hackerze, o tym, co z niego zostało, a od czego oddalali się z każdą chwilą. On także odchodził w nicość i niepamięć.

– Nie mogę! – wykrzyknęła w myśli do wspomnień o nim.

– Naprawdę? – zapytał, po czym uniósł jedną brew i zaśpiewał:

...Dzielny jak Ned Kelly, kiedyś tak mawiali.
Jak Ned Kelly dzielny, często powtarzali...

Chrapliwy głos i znajome słowa uderzyły w nią niczym ostry jak stal promień światła, rozdzierając ciężką, czarną zasłonę żalu. Nagle przypomniała sobie o kwiatach, które pozostały teraz zupełnie same, otoczone milczącą ciemnością i poczuła ostre ukłucie wstydu.

– Już dobrze! – zawołała jednocześnie głosem i myślą. – Nie bójcie się, jestem z wami! To ja, Gałązka. Obiecuję wam, że już nigdy ne będziecie sami. Nawet jeśli znajdę się gdzieś daleko, zawsze będziecie czuli moją obecność!

Jej słowa pobiegły po dolinach, nizinach i górach, przekazywane radośnie przez najmniejszych z braci i największe z sióstr, by dotrzeć do krańców planety.

Zamknęła oczy i oparła się wygodnie o szeroką pierś Stone'a. Nie wiedziała, dokąd ją zabierze. Na pewno bardzo daleko stąd. Ale teraz wiedziała, że żaden świat nie był dla niej zbyt odległy i że tam, daleko, dalej niż w marzeniach Pradziadka są inni bracia i siostry czekający na dźwięk jej głosu, czekający na nią.

Pradziadek odszedł już na zawsze, tak samo jak Hacker, ale może mimo wszystko nie był to jeszcze koniec? Może to dopiero początek? Może... Teraz ci, którzy żyli z Pradziadkiem i poprzez niego, wiedzieli, że nie są sami. Pocieszona nieco tą świadomością pozwoliła ukołysać się do snu miarowym poruszeniem grzbietu idącego stępa konia.

Przełożył **Arkadiusz Nakoniecznik**

Chris Achilleos



G *Na ciało wystające spod zbroi napylam kolor aerografem. Cieniowanie wykonuję ręcznie za pomocą małego pędzelka z sobolowego włosia.*



H *Dochodzi coraz więcej szczegółów, są one domalowywane ręcznie. Nie została podjęta decyzja tylko co do tarczy i nakrycia głowy.*



I *Na rysunek nakładam, zaakceptowany przez wydawcę, szkic na kalce technicznej. Upraszczam kształt tarczy. Decyduję się na użycie żywych kolorów.*



J *Po namalowaniu tarczy od razu zdałem sobie sprawę, że zbyt odciąga uwagę od twarzy.*



K *Próbowałem zmniejszyć to wrażenie zaciemniając obszary pomalowane na żółto, ale było to niewystarczające.*



L *Zakryłem tarczę czarną folią, żeby sprawdzić, jaki to by dało efekt i osiągnąłem zadowalający rezultat. Kończę malowanie tarczy. Ostateczna wersja nakrycia głowy.*

George Alec Effinger

Jeszcze jeden martwy dziadek

(Another Dead Grandfather)

Johnny Carancino nie wierzył ani w fantasy, ani w science fiction. Był realistą. Kiedy pewna dziewczyna powiedziała mu, że nie chce go widzieć na oczy, pokiwał tylko głową i odparł: „Wiedziałem, że to tak się skończy". Zachowywał się tak, jakby życie kryło w sobie niewiele tajemnic i żadnych niespodzianek, na które nie byłby przygotowany. Kiedy otrzymał wezwanie z Urzędu Podatkowego, wzruszył ramionami i powiedział: „Zgadza się". Kiedy musiał dać sobie wyciąć woreczek żółciowy, westchnął tylko: „Już takie mam szczęście". Kiedy nawaliło ogrzewanie w jego mieszkaniu i starał się zyskać trochę ciepła zostawiając otwarty piekarnik, jego kot imieniem Zdrajca wskoczył do środka, w wyniku czego spłonął. Carancino pogrążył się w smutku, ale wiedział, że tego typu rzeczy zdarzają się bez przerwy. Rzadko dawał się unieść podnieceniu, ponieważ zdawał sobie sprawę, że jego życie jest takie samo, jak wszystkich dookoła. Dobre i złe rzeczy, których doświadczał, nie stanowiły ani kary, ani nagrody.

Kiedy więc z niespójnego, erotycznego snu obudził go intensywny, pomarańczowy blask, miał pewne kłopoty ze spojrzeniem na to zdarzenie z odpowiedniej perspektywy. Oparłszy głowę na poduszce przyglądał się rosnącej z każdą chwilą ognistej kuli. Płynne barwy wirowały w migotliwym blasku, jemu zaś wydawało się, że słyszy cichy pomruk wielu głosów i odległą muzykę, jakby przyciszoną do minimum ścieżkę dźwiękową starej, biblijnej epopei Metro Goldwyn Mayer. Jaskrawe światło lizało płomienistymi językami ściany sypialni, kąpiąc zwykłe, stare meble w złocistej poświacie. Ostra woń, którą poczuł, przypominała zapach, jaki w letni, gorący dzień otacza rafinerię ropy naftowej. Pomarańczowa kula urosła kilkakrotnie do rozmiarów piłki plażowej i stała teraz tuż przy jego łóżku, migotliwa i mrugająca, dotykając niemal metalowych ramion zwisającego z sufitu żyrandola.

Być może jest to jakiś rzadko spotykany, niemniej jednak notowany w naukowych annałach fenomen, pomyślał Carancino. Coś w rodzaju ogni świętego Elma czy tańca świętego Wita. Może to tylko niezwykłe zjawisko refrakcji, albo światła samochodu, które odbiły się od czegoś i wpadły w zmienionej postaci do mojego pokoju. Mógłbym też uznać to za dowód, że przypadkowe ustawienie mebli wytworzyło pole działania naturalnych sił, na przykład magnetyzmu lub grawitacji, o natężeniu znacznie większym, niż to się zwykle spotyka poza laboratoriami. Albo że moja szafka na bieliznę pilnie potrzebuje rozmagnetyzowania. Skądkolwiek pochodziła ta wirująca, brzęcząca kula światła, Carancino wcale jej się nie bał. Jej istnienie z pewnością można było wyjaśnić w bardzo prosty sposób, właściwie więc równie dobrze mógłby z powrotem położyć się spać.

Nie uczynił tego jednak, bowiem pulsująca kula nagle zamarła w bezruchu; buczenie także ustało, zaś chemiczny zapach zaczął tracić na intensywności. Pomarańczowe płomienie opadły i przygasły, aż wreszcie kula zamieniła się w delikatny, perlisty cień, unoszący się w powietrzu między łóżkiem a komodą.

Potężne skupiska energii zaczynają się wzajemnie pożerać, zauważył Carancino. Wkrótce, tak jak się dzieje z konającym słońcem, po dawnej świetności pozostanie tylko ponura, zimna poświata, a potem tylko pustka.

Obserwował z pewnym żalem, jak sprawdzają się jego przypuszczenia. Jednak zanim blask przygasł zupełnie, powróciła niska, przybierająca z każdą chwilą na sile wibracja. W tym dźwięku było coś groźnego. Carancino rozglądał się po sypialni w poszukiwaniu jego źródła, ale niczego nie znalazł. A potem, całkiem nagle, w miejscu gdzie do tej pory była pomarańczowa kula, pojawiło się coś innego.



Teresa Cieńska

Mężczyzna, który jeszcze nie powiedział ani słowa, ani nawet nie zmienił wyrazu twarzy, był ubrany dokładnie tak samo.

– Nazywam się Eldrê s – powiedziała.

– Miło mi poznać. Jestem Johnny Carancino.

– Wiemy – odparła Eldrê s delikatnym, kojącym głosem. Mówiła z dziwnym, zaokrąglającym samogłoski akcentem, jakby uczyła się angielskiego w jakimś kraju, w którym trudno było o nauczyciela posługującego się tym językiem od urodzenia.

– Jak się tu dostaliście? – zapytał Carancino, kuląc się pod kołdrą w swojej bladozielonej, flanelowej piżamie.

– Po prostu... wycelowaliśmy – wyjaśniła mu Eldrê s. Wydawało się, że jej towarzysz postanowił pozostawić jej cały trud prowadzenia konwersacji.

– Aha – powiedział Carancino. – A skąd jesteście?

Po raz pierwszy na twarzy Eldrê s pojawiło się zniecierpliwienie.

– Znowu ta obowiązkowa gadanina – poskarżyła się głośno. – Byłabym ci wdzięczna, gdybyś oswoił się z tym najszybciej, jak tylko potrafisz. Otóż przybywamy tutaj z przyszłości.

– Podróżnicy w czasie! – wykrzyknął Carancino, otwierając szeroko oczy. A więc jednak istniało racjonalne wyjaśnienie!

– Jasne, że w czasie. Chwytasz? Pochodzę z epoki setki lat w górę czasu. Twój świat jest dla mnie tym, czym dla ciebie średniowiecze. Jestem tu jakby na wakacjach. Nie powiem ci nic o przyszłości, a w każdym razie nic takiego, z czego mógłbyś skorzystać. Nie rozwiążę też żadnych twoich problemów, osobistych czy jakichkolwiek innych. Nie ofiaruję ci też żadnego podarunku, stanowiącego przykład naszej wysoko zaawansowanej technologii. Nic z tych rzeczy, rozumiesz? Zjawiłam się tu dlatego, że potrzebowałam wypoczynku; ja jestem na wakacjach, a ty masz mnie zabawiać.

– Co przez to rozumiesz?

Podeszła krok bliżej i oparła się o krawędź łóżka, gładząc od niechcenia dłońmi powierzchnię kołdry, jakby nigdy w życiu nie zdarzyło jej się czegoś takiego dotykać.

Mężczyzna i kobieta. Kobieta roześmiała się, widząc malujące się na twarzy Carancino zdumienie.

– Wróciliśmy! – zawołała wesoło.

– Kim jesteście? – zapytał Carancino drżącym głosem. Wiedział, że musi istnieć jakieś racjonalne wyjaśnienie.

Kobieta i mężczyzna spojrzeli na siebie ze zdumieniem, po czym na twarzy kobiety pojawił się zakłopotany uśmiech.

– Tak dobrze się jutro bawiliśmy, że po prostu zapomnieliśmy.

– Kim jesteście? – powtórzył głośniej Carancino. Nawet fakt, że istniało jakieś racjonalne wyjaśnienie tego wszystkiego nie mógł zmienić faktu, że powoli zaczynał się bać.

Kobieta przestała się uśmiechać. Wyprostowała się, gładząc dłonią swoje długie, gładkie, białe włosy. Miała na sobie czarny, jednoczęściowy kostium, białe buty i takie same rękawiczki. Nad jej lewą piersią widniał emblemat w kształcie rombu.

– Bądź gościnny, John. Pomyśl o sobie jako o przeciętnym obywatelu, reprezentancie waszej kultury. Co byś zrobił, gdybyś spotkał na ulicy jakiegoś nieszczęsnego cudzoziemca, nie znającego zbyt dobrze ani waszego języka, ani zwyczajów? Przypuszczam, że spróbowałbyś mu pomóc. Niektórzy by tego nie zrobili, ale nie sądzę, żebyś chciał nas wyrzucić i zmusić do tego, żebyśmy spróbowali z kimś innym. Im wcześniej się włączysz i dasz nam to, czego oczekujemy, tym szybciej się wszyscy zabawimy, a potem znikniemy.

Carancino zmrużył oczy, ssąc z namysłem górną wargę.

– Powiedzieliście, że jutro świetnie się bawiliśmy. Co to znaczy?

Eldrê s wzruszyła ramionami.

– To znaczy, że nie spotykamy się po raz pierwszy. Pierwszy raz dla ciebie, ale nie dla mnie i Jimmy'ego. – Wskazała na milczącego, młodego człowieka. – Przenieśliśmy się do two-

Chris Achilleos



Oto mamy końcowy produkt okładki „Heroic Dreams". Wewnątrz podstawowej, śmiałej geometrycznej struktury znalazło się miejsce dla wielu subtelnych detali, które przyciągają oko, ale mimo to uwaga zawsze wraca do twarzy.

Warto także zauważyć jak męska w zasadzie prostota kostiumu Amazonki została złagodzona dzięki starannie pomyślanym kontrastom – na przykład w nakryciu głowy, czy w przypadku butów, gdzie z agresywnym czubkiem kontrastuje pompon dyndający na ostrodze. Podobnie mordercze ostrze miecza równoważone jest chwastem na rękojeści.

Jak widać, żaden szczegół nie jest nie przemyślany. Na przykład złoty łańcuch zapętlony wokół nadgarstka dziewczyny wprowadzono, żeby wzmocnić wąski nadgarstek i złagodzić kąt prosty pomiędzy ramieniem a mieczem.

Komentarz pod rysunkami pokazującymi kolejny etap pracy zajmował się głównie techniką malowania; być może należałoby powiedzieć trochę więcej o projektowaniu.

Najpierw rysunek. Kiedy Chris ma w głowie obraz tego, co chciałby narysować, wykonuje pierwszy odręczny szkic na kalce, która ma kilka zalet w porównaniu ze zwykłym papierem. Przede wszystkim można rysować na obu jej stronach, zmieniając poszczególne elementy i nie potrzebując za każdym razem powtarzać całości. Ponadto, kiedy patrzymy na rysunek z drugiej strony, często jego defekty stają się lepiej widoczne.

Kiedy dochodzi do etapu roboczego rysunku, zostaje on przeniesiony na karton ołówkiem o twardości 7H. Ten obraz należy z kolei ożywić stosując ołówki różnej miękkości (w zależności od rodzaju kartonu) oraz przy użyciu innych metod, które nam przyjdą do głowy. Oznacza to, że zanim zaczniemy malować, rysunek jest wykonywany co najmniej trzy razy. To pracochłonny proces, ale Chris uważa, że jest on podstawą, która przy stosowanych przez niego materiałach pozwala zbliżyć się do doskonałości.

Do tej i wielu innych prac Chris używał farb typu Chromacolour, normalnie stosowanych przez animatorów. Są one jaskrawe, nie blakną i nadają się zarówno do aerografów, jak i do zwykłego malowania pędzlem.

Na karton przed malowaniem należy nałożyć podkład z akwareli, co nadaje jego powierzchni lepsze właściwości. **(dm)**

jego czasu, zjawiając się w nim jutro wieczorem. Wyszliśmy we trójkę na miasto i świetnie się bawiliśmy. Powiedziałeś, że rano musisz wcześnie wstać, więc wróciliśmy do domu i zjawiliśmy się ponownie dzisiaj, dzień przed naszym jutrzejszym spotkaniem.

– Dlaczego? Dlaczego dzień wcześniej?

– A dlaczego niby nie? – zniecierpliwiła się ponownie Eldrê s. – Bo taką mieliśmy fantazję, oto, dlaczego! Jesteśmy z przyszłości, złotko, i nie potrzebujemy twojej zgody!

Carancino był zaskoczony jej porywczością.

– W porządku – powiedział. – Cokolwiek tylko chcecie.

– Żebyś wiedział – odparła Eldrê s. – A teraz uważaj: postanowiliśmy zabrać cię z sobą. Cofamy się jeszcze bardziej w czasie i możemy złożyć wizytę każdemu, kogo tylko miałbyś ochotę odwiedzić. Co ty na to, żeby wpaść na chwilę do Kleopatry albo do Napoleona? Dziś jesteś naszym gościem. Możesz wybierać z całej historii ludzkości, co tylko chcesz. Jeśli masz chęć rozwiązać jakąś frapującą zagadkę przeszłości, albo zobaczyć Helenę Trojańską bez ubrania, wystarczy, żebyś tylko powiedział.

– Do licha, to brzmi nie najgorzej – zauważył Carancino. – Gdzie jest haczyk?

– Haczyk? – Eldrê s spojrzała na milczącego w dalszym ciągu Jimmy'ego.

– Dlaczego akurat ja? Do czego mnie potrzebujecie? Ile to mnie będzie kosztowało?

Eldrê s ponownie dała upust swemu zniecierpliwieniu.

– My cię potrzebujemy? Skąd, u diabła, przyszło ci to do głowy? Po prostu staramy się być OK. Oddajemy przysługę. Jutro wieczorem zorganizowałeś nam tak wspaniałą zabawę, iż uznaliśmy, że dzisiaj to my powinniśmy cię ugościć. Do licha, ależ durnie pętają się po tym stuleciu! Jeżeli coś ci się nie podoba, to nie ma problemu: Jimmy i ja zaraz znikniemy, a ty możesz iść spać. Przepraszam, jeśli sprawiliśmy ci kłopot, ty egoistyczny cymbale. Myślę, że teraz zmaterializujemy się w sypialni prezydenta Kennedy'ego i powiemy mu, co go czeka. Może posłucha i zrezygnuje z przejazdu przez Dealey Plaza.

– Przecież to niemożliwe! – zaprotestował Carancino. Wciąż jeszcze miał bardzo naiwne wyobrażenie o podróżach w czasie. – Nie możecie go ostrzec! A w każdym razie, nawet gdybyście go ostrzegli, to nic się nie zmieni. Prezydent Kennedy został zastrzelony i kropka. Nic nie da się zrobić. – Przeniósł spojrzenie z Eldrê s na Jimmy'ego. – Prawda?

Eldrê s posłała mu rozbawiony uśmiech.

Carancino wylazł z łóżka. Czuł się jak głupiec, stojąc przed istotami z przyszłości we flanelowej piżamie.

– Nie możecie zmienić przeszłości, prawda? – zapytał.

– Proszę bardzo: dwudziestowieczny sceptyk zaczyna interesować się taką możliwością. Jimmy, jesteś świadkiem epokowego wydarzenia na powolnej drodze ludzkości od barbarzyństwa ku cywilizacji. John, chyba słyszałeś o Paradoksie Dziadka?

Skrzywił się, jakby to miało wspomóc jego procesy myślowe.

– Nie – odparł. – Chyba nie słyszałem. Czy to coś w rodzaju tego zadania, żeby pomalować mapę tylko czterema kolorami?

Eldrê s westchnęła głośno.

– Tylko częściowo. Paradoks Dziadka był jednym z pierwszych problemów, jakie trzeba było rozwiązać, kiedy zapoczątkowywano podróże w czasie. Przypuśćmy, że ktoś cofnął się w przeszłość i zamordował swego dziadka, zanim ten zdołał spłodzić rodziców mordercy. Skąd w takim razie wziął się morderca? Skoro nie istnieje, to jak mógł popełnić zbrodnię? Jeżeli morderstwo jednak nie miało miejsca, to dlaczego morderca ma nie istnieć?

– Poddaję się – powiedział Carancino.

– Jimmy, daj mu kombinezon.

Milczący mężczyzna wręczył Johnowi czarny strój, uzupełniony białymi butami i rękawiczkami.

– Teraz wyglądasz jak jeden z nas – powiedziała Eldrê s, kiedy John założył kombinezon. – Nie jesteś jednym z nas, ale tak wyglądasz. W gruncie rzeczy tylko o to chodzi. Najważniejsze jest pierwsze wrażenie; pamiętasz, w jaki sposób się tu zjawiliśmy.

– To było coś – zgodził się Carancino. – Ognista kula i w ogóle.

– Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy wślizgnąć się cichutko jak myszy. Te efekty specjalne były wyłącznie dla ciebie. Co prawda sporo kosztują, ale w końcu jak często ma się takie wakacje? Ogień, dym i tajemnicze dźwięki wybrałam z katalogu, wszystko po to, żeby zwrócić twoją uwagę.

– Podziałało. Tylko obawiam się, że wypaliliście mi dziury w dywanie.

– Do diabła z twoim dywanem. John, to najważniejsze wydarzenie w twoim siermiężnym życiu. Chcę, żebyś otrząsnął się z odrętwienia i otworzył na nowe idee, nowe możliwości. Nie będzie z tobą żadnej zabawy, jeżeli nie odrzucisz całego tego dwudziestowiecznego zramolenia. No, i co ty na to?

Carancino przyglądał się swemu odbiciu w lustrze; musiał przyznać, że w czarno-białym kostiumie prezentował się wręcz znakomicie. Zmrużył nieco oczy i wysunął naprzód szczękę: Johnny Carancino, Pożeracz Czasu.

– Co ty na to, John? – powtórzyła pytanie Eldrê s.

– Hę? Mówiłaś coś do mnie?

Spojrzała na Jimmy'ego, zamknęła oczy i westchnęła z rezygnacją.

– Ubierasz go w strój, na widok którego każdy członek paramilitarnej organizacji momentalnie dostałby świra, pozwalasz mu chwycić czas za włosy, a on nie raczy wysłuchać, co masz do powiedzenia. Potrzebujesz jakiejś specjalnej zachęty, John? Prochy? Elektrowstrząsy? A może zagrożenie zdrowia i życia?

– Jestem gotów – oznajmił Carancino. – Dokąd ruszamy?

Eldrê s obdarzyła go szerokim, całkowicie nieszczerym uśmiechem z rodzaju tych, jakimi nagradza się kompletnego idiotę, który właśnie odkrył coś najbardziej oczywistego.

– To *ty* decydujesz, John. Wybierasz miejsce i wszyscy tam się przenosimy. Powiedz tylko, gdzie i kiedy chciałbyś się znaleźć.

– Czy mogę przenieść się w przyszłość i zobaczyć, jak wygląda wasz świat?

– Nie, nikt nie może zobaczyć swojej przyszłości. Problemy techniczne, zbyt nudne, żeby się teraz w nie zagłębiać. Jestem pewna, że to rozumiesz. Ale masz przecież miliony łatwo dostępnych lat, z których możesz wybierać, w tym sporo bardzo znanych i nadzwyczaj atrakcyjnych. Nie przejmuj się kosztami, dzisiaj ja stawiam. Wymień tylko rok.

Carancino potrząsnął głową.

– Przepraszam, ale czy nie wydaje wam się, że my sami tworzymy teraz paradoks? Chodzi mi o to, że...

– Oczywiście, że tworzymy cholerny paradoks! – wrzasnęła na niego Eldrê s. – Właśnie na tym to wszystko polega! Paradoksy, podróże w czasie, spotykanie samego siebie! Do cholery, John!

– Już dobrze, tylko się nie denerwuj. Chcę przenieść się do roku 1876 i spotkać z generałem Custerem*.

Eldrê s spojrzała na niego z zażenowaniem i wzruszyła ramionami.

– W skali pomysłowości na pograniczu stanów niskich i średnich. Zdaje się, że będziemy musieli pokazać ci, jak się naprawdę odprężyć i popuścić wodze fantazji. Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz?

– Chyba tak. Jak to zrobimy? Macie jakąś maszynę?

– Coś w tym rodzaju. Musimy wziąć się za ręce.

– Za ręce? – skrzywił się Carancino. – Jak podczas seansu spirytystycznego? Spodziewałem się szkła, aluminium i migających światełek.

– Już to widziałeś, ale przecież powiedziałam ci, że to niepotrzebne.

– Więc jak właściwie cofniemy się w czasie?

– Weźmiemy się za ręce, jak podczas seansu – odparła. –

** George Armstrong Custer (1839-1876) – generał armii USA. Dowodził wojskami Stanów Zjednoczonych podczas przegranej bitwy z Indianami z plemienia Siuksów nad rzeką Little Big Horn (przyp. tłum).*

Słuchaj teraz uważnie, bo przekażę ci pewną mądrość z przyszłości: Każda odpowiednio zaawansowana technologia staje się niemożliwa do odróżnienia od kuglarstwa. Jesteś gotów?

– Gotów – odpowiedział Carancino.

Eldrê s popatrzyła na Jimmy'ego, który skinął głową. Carancino nie wiedział, czego właściwie ma oczekiwać. Zobaczył, jak Eldrê s kilka razy głęboko oddycha, zamyka oczy, a następnie dotyka palcem widniejącego na jej piersi emblematu. Wszyscy troje podali sobie ręce.

– Czwarty wymiar, John – szepnęła. – Cuda, tajemnice, niemożliwości. Czujesz?

– Nie – wyznał. – Jeszcze nie.

Samo przeniesienie nie było wcale takie ekscytujące. Carancino najpierw zobaczył w prawym górnym rogu swojego pola widzenia jakieś migające, białe pierścienie, tak jak w kinie, kiedy kończy się szpula, a potem znalazł się pod pokrytym chmurami nocnym niebem na trawiastej równinie, rozciągającej się w pobliżu jakiejś płynącej wartko wody. W odległości jakichś pięćdziesięciu jardów stały namioty; nad wejściem do największego wisiała latarnia, a w jej żółtym, migotliwym świetle stało półkolem pół tuzina umundurowanych mężczyzn.

– Słuchaj! – szepnęła Eldrê s.

Z tyłu dobiegały głosy ludzi oraz parskania koni i mułów: odgłosy dużego obozowiska, szykującego się do wieczornego posiłku. Gdzieś niedaleko pluskał obojętnie strumień Rosebud. Jakiś brudny, siwy mężczyzna o potarganej brodzie dotknął ramienia Carancino.

– Bierz – powiedział.

– Co mam wziąć?

– Dwie koszule, z tego jedna czysta. Jutro już nie będę ich potrzebował. Mogę też ci dać trochę tytoniu.

– Dziękuję, ale nie palę – powiedział Carancino, odsuwając się o krok od starego człowieka.

– Ja też nie będę. Od jutra.

Żołnierz odszedł w ciemność. Carancino popatrzył za nim i zadrżał.

– Słuchaj – szepnęła ponownie Eldrê s.

Oficerowie stojący przed dużym namiotem zaczęli śpiewać generałowi Custerowi:

– Chwała bądź Bogu, co nam błogosławi! Chwała Synowi, Ojcu i Duchowi! Wielbią Go ludzie głosami swoimi, a także wszystkie stworzenia na Ziemi! – śpiewali ci, na których zapadł już wyrok śmierci.

Kiedy zamilkli, Custer poruszył się niespokojnie na swoim płóciennym fotelu i skinął na nich. Rozpoczęli następną pieśń, „Annie Laurie". Eldrê s, Jimmy i Carancino słuchali, ukryci w cieniu, aż wreszcie oficerowie skończyli, zasalutowali i rozeszli się do swoich kwater. Custer wstał, wyciągając ręce ku niebu, a jego ordynans wniósł do namiotu fotel, opuścił zasłony, zasalutował i także odszedł. W chwilę potem generał znikł we wnętrzu namiotu.

– Teraz możesz wejść i porozmawiać sobie z tym draniem – powiedziała Eldrê s.

Carancino poczuł, że zrobiło mu się nagle bardzo zimno. Nie chciał rozmawiać z Custerem. Nie miał mu nic do powiedzenia. Nie zdążył przyzwyczaić się do myśli, że to wszystko jest naprawdę możliwe. Nie miał odwagi.

– Chyba wystarczy mi to, co widziałem – powiedział drżącym głosem.

Eldrê s wydęła pogardliwie wargi.

– Jutro był z ciebie taki jajarz, a dzisiaj psujesz nam całą zabawę. Otrząśnij się, John, albo cię tutaj zostawimy i twój szkielet stanie się frapującą zagadką dla waszych historyków.

Carancino spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami.

– Nawet nie żartuj na ten temat – powiedział. Wcale nie był pewien, czy to był naprawdę żart, ale wolał tak właśnie zinterpretować jej słowa. – Dajcie mi minutkę. Wślizgnę się do namiotu i może Custer weźmie mnie za jednego ze swoich adiutantów, czy kogoś takiego. Chciałbym się dowiedzieć, jakie ma plany. Było strasznie dużo dyskusji o tym, dlaczego zrobił akurat to, co zrobił.

Eldrê s poklepała go po plecach.

– O to właśnie chodzi, John; musisz przestać być taki nieśmiały i niezdecydowany. Nikt ci nie powiedział, że kiedy przebywasz w innym czasie nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo? Kto może cię złapać? Możesz robić wszystko, na co tylko masz ochotę. Jeżeli kiedykolwiek miałeś jakieś okropne, ukryte pragnienia, masz teraz szansę je zrealizować. Ten strój oznacza w o l n o ś ć, John!

– To niebezpieczne – zauważył cicho.

– Oczywiście – uśmiechnęła się Eldrê s – ale niebezpieczne dla innych, nie dla nas. Obiecuję ci, że pod koniec tego wieczoru nie będziesz już się niczego bał. A teraz idź i pogadaj z George'em.

Carancino wszedł do namiotu Custera. Generał stał odwrócony twarzą do małego, rozkładanego stoliczka, trzymając w dłoni oprawną w ozdobne, srebrne ramki fotografię. Miał na sobie długą kurtkę z koźlej skóry, ale zdążył już zdjąć wykonane z tego samego materiału spodnie i buty. W namiocie było bardzo cicho. Carancino poczuł ostry zapach cynamonu stanowiącego składnik pomady, którą nasmarowane były kręcone, jasne włosy Custera. Generał nucił pod nosem „Garry Owena", hymn Siódmej Brygady Kawalerii. Carancino chrząknął delikatnie.

– Przepraszam, generale...

Custer odwrócił się powoli i spojrzał na niego z zaciśniętymi w wąską kreskę ustami. Odstawił fotografię na stolik.

– Moja najdroższa żona, Libbie – powiedział ze smutkiem w głosie. – Obawiam się, że już nigdy jej nie zobaczę.

Carancino postąpił krok naprzód.

– Nie mogę wyjaśnić, kim jestem, ani skąd przybywam, ale...

Custer przerwał mu, unosząc ze znużeniem rękę.

– Jest pan z przyszłości. Przez ostatnie dwanaście godzin, kiedy tylko mam chwilę czasu dla siebie, od razu ktoś z was wsadza głowę do namiotu. Czy dacie mi wreszcie odpocząć? Kiedy przestaniecie mnie nachodzić?

– Byli już inni?

– Tak, tak. Z przyszłości, jak pan. – Custer splunął w kąt namiotu.

– Ubrani tak samo, jak ja?

– Coś w tym rodzaju.

Było zdumiewające, jak łatwo dziewiętnastowieczny żołnierz zaakceptował ideę podróży w czasie. Bez wątpienia przyszło mu to łatwiej, niż Carancino.

– W takim razie z pewnością już ktoś panu powiedział, że...

– ...wszyscy moi ludzie zostaną jutro zmasakrowani. Że Siedzący Byk, Szalony Koń i Gall czekają na drugim brzegu Little Big Horn i że siły Indian są wielokrotnie liczniejsze niż wynikało to z ustaleń moich zwiadowców. Tak, słyszałem już o tym.

– Wygląda na to, że przyjął pan te wiadomości ze spokojem – zauważył cokolwiek zdziwiony Carancino.

Custer uśmiechnął się chłodno.

– Kończyłem West Point, a następnie uzupełniałem swoją wiedzę nad Bull Run pod Gettysburgiem. Nauczyłem się tam jednego, młody człowieku: Jeżeli stajesz wobec niepodważalnych faktów, nie trać czasu na sprawdzanie ich wiarygodności.

– I mimo to wejdzie pan jutro w tę dolinę?

Generał wybuchnął donośnym, twardym śmiechem.

– Ciekawe, co według was, ludzi z przyszłości, mamy zamiast mózgów? Nie jestem szaleńcem, synu, w każdym razie nie według oceny armii. To prawda, miałem zamiar zaatakować tę wioskę, bo myślałem, że to mały obóz Siuksów Oglala,

głównie kobiety i dzieci, czekające na powrót mężczyzn z polowania. Sądziłem, że nie będę miał żadnych kłopotów z jej zajęciem. Teraz jednak, kiedy dysponuję nowymi informacjami, dokonałem pewnych zmian w moich planach; podporządkuję się rozkazom i zaczekam, aż dołączą do mnie posiłki Gibbona i Crooka.

A więc bitwa, do której dojdzie będzie miała zupełnie inny przebieg, zaś Custer może w jej wyniku zostać opromienionym sławą bohaterem, bowiem dzięki interwencji z przyszłości zrezygnował z szaleńczego, fatalnego w skutkach ataku.

– Czy jest pan zadowolony, młody człowieku? – zapytał Custer. – Jest już dosyć późno, a ja cały dzień spędziłem w siodle.

– Oczywiście, sir. Przepraszam. – Carancino zaczął wycofywać się z namiotu. – Jeszcze tylko jedno, jeśli można...

Na twarzy Custera pojawił się grymas zniecierpliwienia.

– Tak?

– W moich czasach była popularna teoria, że zaatakował pan Indian przed przybyciem Gibbona i Crooka, ponieważ miał pan nadzieję, że dzięki spektakularnemu zwycięstwu otrzyma pan nominację na urząd prezydenta z ramienia Partii Demokratycznej. Czy to prawda? Czy był pan gotów złożyć swoich ludzi na ołtarzu pańskich ambicji politycznych?

– Powiem panu to samo, co innym – odparł Custer przymykając jedno oko i kiwając głową. – Prawdziwy powód jest taki, że jutro mamy 25 czerwca, a czwartego lipca w Filadelfii odbędą się obchody stulecia naszego kraju. Po prostu ja i kilku moich oficerów chcieliśmy zdążyć na ich rozpoczęcie.

Carancino patrzył na niego w milczeniu, nie wiedząc, czy ma w to uwierzyć, czy nie. Czy to możliwe, żeby cała Siódma Kawaleryjska została wycięta w pień z tak błahego powodu? Nim jednak zdołał cokolwiek powiedzieć, został odepchnięty na bok przez Eldrê s, która chwyciła oprawione w srebro zdjęcie żony Custera i cisnęła nim o ziemię. Szkło pękło z głośnym trzaskiem.

– Ty sukinsynu! – wrzasnęła Eldrê s. – Ty cholerny, psychopatyczny sukinsynu!

Custer rzucił się na kolana i zaczął zbierać rozsypane szczątki. Po chwili podniósł głowę, spojrzał na Eldrê s i podniósł się z tak potwornym grymasem gniewu na twarzy, iż wyglądało na to, że mógłby zabić ją na miejscu.

– Burkman! – ryknął. – Burkman, natychmiast do mnie!

– Musimy stąd uciekać – powiedział Carancino, chwytając Eldrê s za ramię.

– Dlaczego? Ja się nie boję – odparła, uwalniając rękę z uścisku. – Generale Custer, jeśli chce pan popełnić samobójstwo, proszę bardzo, ale nie może pan zmuszać do tego dwustu młodych ludzi. I tak nie zostanie pan uznany za męczennika. Jest pan przedstawicielem najgorszego gatunku ograniczonych umysłowo poszukiwaczy sławy, których nie interesuje, ilu ludzi musi zginąć, żeby oni uzyskali to, czego chcą. Przez jakiś czas był pan uważany za bohatera, potem za szaleńca lub głupca, lecz w czasach, z których pochodzę jest pan najzwyklejszym przestępcą!

Do namiotu wpadł ordynans i stanął jak wryty, wytrzeszczając oczy na trójkę przybyszów.

– Skąd...

– Wyprowadź ich stąd, Burkman – powiedział Custer napiętym, doskonale opanowanym głosem. – Weź oddział strzelców, jeśli uznasz to za stosowne, odprowadź ich za obóz i zatroszcz się, żeby nie mogli wrócić. Niech sami radzą sobie z Siuksami.

– Tak jest, sir! – Burkman wyprężył się i spojrzał kolejno na Carancino, Eldrê s i Jimmy'ego, który przez cały czas nie poruszył się ani nie odezwał nawet jednym słowem.

– Rzeczywiście, pójdziemy stąd! – odparła Eldrê s, wciąż jeszcze wrząc gniewem. Jedną ręką chwyciła mocno dłoń Carancino, a drugą wyciągnęła do Jimmy'ego. Wystąpiły te same zaburzenia pola widzenia, a w chwilę potem Carancino zobaczył, że nie znajduje się już w namiocie generała i że noc ustąpiła miejsca dniu. Stali we trójkę na brukowanej ulicy. Z pobliskiego drzewa rozległ się świergot ptaków, a niebo miało kolor jasnego błękitu.

– Witamy w Wiedniu – powiedziała Eldrê s.

Carancino rozejrzał się po ulicy, ale nikogo nie dostrzegł. Miał trochę kłopotów z przyzwyczajeniem się do nagłych zniknięć i pojawień w różnych miejscach i czasach. Wciąż jeszcze było to dla niego zbyt niezwykłe.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– W Wiedniu.

– To wiem, już mi powiedziałaś. Chodzi mi o to, w którym roku.

– W tysiąc osiemset dwudziestym. Stoimy przed domem Schuberta.

Carancino uniósł w górę brwi.

– Niezły przeskok, w porównaniu do Custera. Słuchajcie, ja nie mówię po austriacku. Macie jakiegoś uniwersalnego tłumacza, czy coś w tym rodzaju?

– Nie – odparła Eldrê s – ale ja trochę znam niemiecki. Z przyjemnością przekażę Herr Schubertowi wszystko, co tylko zechcesz. Możemy już? – wskazała na dom, a Carancino skinął głową. Zapukali do drzwi, które otworzyła im młoda kobieta. Eldrê s porozmawiała z nią przez chwilę najwyraźniej osiągając zamierzony skutek, bowiem zaprowadzono ich do gabinetu Schuberta.

– Wciąż jeszcze nawet nie mogę myśleć o tym, jak zaatakowałaś Custera – powiedział Carancino, nachylając się do Eldrê s.

– Czekałam, kiedy ty to zrobisz. Przecież to tobie zależało na tym, żeby się z nim zobaczyć. Nie przypuszczałam, że będę zdana na własne siły. Obawiam się, John, że pojemnik, w którym przechowujesz swoją moralną odwagę jest prawie pusty.

– Przecież to był George Armstrong Custer! Co miałem zrobić, zacząć się z nim boksować?

Eldrê s machnęła ze zniecierpliwieniem ręką.

– Za bardzo przejmujesz się tymi ważniakami z przeszłości. Większość z nich to kompletne zera, John. Custer miał szczęście przez jakiś czas, to wszystko. Nigdy nie przyczynił się w jakiś istotny sposób do rozwoju cywilizacji. Taki Schubert, na przykład, miał talent. To zupełnie inny rodzaj człowieka, ale mimo to nie chcę, żebyś się przed nim płaszczył i powtarzał mu bez końca, jak bardzo ci się podoba jego muzyka. Jeśli to zrobisz, to przysięgam, że już nigdy cię nie zabiorę.

– Postaram się – odparł Carancino. – A teraz powiedz mi, jak to właściwie jest; zdradziliśmy przecież Custerowi, co wydarzy się nad Little Big Horn. Czy nie zmieniliśmy w ten sposób biegu historii?

Eldrê s rozejrzała się, czy przypadkiem nie zbliża się Franz Schubert, ale oprócz trójki podróżników w gabinecie nie było nikogo.

– Nie mam czasu, żeby wprowadzać cię w podstawy teorii podróży w czasie – powiedziała – ale chyba wiesz, w jaki sposób w przestrzeni pojawia sę subatomowa cząsteczka, dzięki mechanicznemu przepychowi energii kwantowej? Dzięki równaniom Heisenberga może na chwilę „pożyczyć" trochę życia, żeby zaraz potem zniknąć. W naszej epoce nauczyliśmy się w ten sam sposób manipulować jednostkami czasu. To tak samo, jak z nawlekaniem koralików na nitkę; po prostu przesuwamy niektóre z nich z przeszłości w teraźniejszość, żeby po krótkim czasie je oddać. Rozumiesz?

– Nie.

Eldrê s wzruszyła ramionami.

– Ostrzegałam cię, że nie sposób tego odróżnić od kuglarstwa.

– Więc jeśli zmienia się przeszłość...

– ...zmienia się tylko jeden czy drugi koralik, ale cała reszta pozostaje nienaruszona. W przyszłości zawsze będziesz czytał

o Ostatnim Posterunku Custera, nawet gdybyś dostarczył mu kilku głowic nuklearnych.

– *Guten Morgen* – przywitał ich Franz Schubert. Wszedł do gabinetu, zlizując z palców resztki śniadania i poprosił, żeby usiedli.

Eldrê s uśmiechnęła się i rozejrzała po pokoju. Kompozytor nie opływał w bogactwa i jego dom nie był specjalnie luksusowy, ale na pewno wygodny i przyjemny. Przedstawiła się, a Schubert odpowiedział jej ukłonem. Następnie wskazała na Jimmy'ego, który skinął głową i na Carancino, który uniósł się z krzesła z wyciągniętą ręką, ale pod wpływem jej spojrzenia usiadł natychmiast z powrotem. Powiedziała coś, na co Schubert potrząsnął skromnie głową, ale ona nalegała. Wreszcie kompozytor wzruszył ramionami, wstał i podszedł do stojącego po drugiej stronie pokoju fortepianu. Pogrzebał w leżącej na nim stercie papierów i wydobył jakiś manuskrypt; Carancino zorientował się, że spotka go przywilej wysłuchania na żywo jednego z najwspanialszych muzyków wszechczasów. Kiedy Schubert zaczął śpiewać, Carancino błyskawicznie doszedł do wniosku, że wielki Austriak powinien jednak ograniczyć się wyłącznie do komponowania; jego głos, delikatnie mówiąc, pozostawiał sporo do życzenia zarówno pod względem skali, jak i brzmienia.

Schubert skończył pieśń i zwrócił się do swoich gości. Carancino zaczął bić brawo, ale ponownie został przywołany do porządku ostrym spojrzeniem Eldrê s. Kobieta z przyszłości wstała i zbliżyła się do fortepianu. Wyszeptała coś Schubertowi do ucha, lecz nie zadała sobie trudu, żeby przetłumaczyć to Jimmy'emu i Carancino. Schubert, z wyrazem zaskoczenia na twarzy, zaczął grać kolejną melodię. Tym razem śpiewała Eldrê s. Radziła sobie całkiem nieźle, nadając pieśni tęskne, żałosne brzmienie, odpowiadające chyba intencjom kompozytora. Kiedy skończyła, Jimmy ziewnął rozdzierająco, zaś Carancino o mało znowu nie zaczął klaskać. Schubert zapytał o coś ze zdziwieniem w głosie.

– Jest trochę zaskoczony – wyjaśniła Eldrê s – ponieważ skomponował tę pieśń wczoraj wieczorem. Chciałby wiedzieć, skąd ją znam.

Położyła dłoń na ramieniu słynnego kompozytora, zerknęła na Carancino, jakby chcąc się upewnić, że na pewno patrzy, po czym uderzyła Schuberta na odlew drugą dłonią. Carancino wydał zdumiony okrzyk, a ona biła dalej miarowymi uderzeniami, na przemian wewnętrzną i zewnętrzną stroną dłoni. Schubert protestował, usiłując się cofnąć, ale Eldrê s tylko się roześmiała i wbiła dwa wyprostowane palce prawej dłoni w jego żołądek, tuż poniżej mostka; kompozytor zwinął się w pół, usiłując na próżno złapać oddech.

– Ty cholerny, zasyfiały sukinsynu! – warknęła Eldrê s, z całej siły uderzając go kolanem w twarz, w wyniku czego runął na podłogę.

– Eldrê s! – ryknął Carancino. Jimmy chwycił go za ramię, uniemożliwiając pośpieszenie na pomoc Schubertowi.

– Chłoptaś uważa się za nie wiadomo kogo – wysapała. Pomogła mu się podnieść, po czym natychmiast uderzyła go kantem dłoni w kark. Rozległ się obrzydliwy trzask łamanych kości i Schubert osunął się na dywan. Eldrê s kopnęła go najpierw w żołądek, a potem w głowę.

– Tak zawsze z nimi jest, skurczysynami!

– Co ty robisz, do diabła? – domagał się wyjaśnień Carancino, zwisając bezradnie w niedźwiedzim uścisku ramion Jimmy'ego.

– A jak myślisz? – zapytała, uśmiechając się drapieżnie. – Robię z tej nieśmiertelnej sławy krwawą kaszankę i powiem ci, że bardzo to mi się podoba. – Kopnęła jeszcze raz, Schubert zwinął się w kłębek, ale wciąż jeszcze zachował wrażliwość na ciosy.

– Dosyć tego! – zażądał zdegustowany Carancino. – Czy tym właśnie zajmujecie się w przeszłości? Podniecacie się, upokarzając słynnych ludzi?

– Coś w tym rodzaju – zgodziła się Eldrê s. – Uwielbiam też niszczyć bezcenne zabytki. Masz coś przeciwko temu?

– Chcę już wracać do domu.

Eldrê s pokręciła głową.

– Jeszcze nie. – Skinęła na Jimmy'ego. – Chyba już to zrobimy – powiedziała.

– Co zrobicie? – zapytał Carancino.

Jimmy uwolnił go z uścisku, pozwalając odejść o kilka kroków, po czym wyciągnął z kieszeni mały, niklowany, automatyczny pistolet.

– To pobicie nie ma żadnego znaczenia – powiedziała Eldrê s – bo nigdy się nie zdarzyło. Nigdzie nie znajdziesz o tym żadnej wzmianki. Widzisz, kiedy zdejmujesz z nitki jeden koralik czasu, w pewnym sensie tworzysz nowy, kieszonkowy wszechświat, w którym możesz być Bogiem. Możesz zabijać, okaleczać, palić całe miasta, robić wszystko, cokolwiek tylko przyjdzie ci do głowy, ale twoja moc jest ograniczona tylko do tego jednego koralika. W czym więc problem? Jakie ma to znaczenie, nawet z moralnego punktu widzenia? Przecież ten tutaj, to nie jest prawdziwy Franz Schubert. – Kopnęła go ponownie w brzuch. Z ust mężczyzny wypłynęła strużka krwi. – Ludzie w poszczególnych koralikach są jak marionetki albo androidy: tak naprawdę to w ogóle się nie liczą.

– W ogóle się nie liczą... – powtórzył głucho Carancino, przypatrując się agonii Schuberta. Dla niego wyglądało to jak najbardziej prawdziwie.

– Schubert z sąsiedniego koralika nie będzie wiedział o niczym, co tutaj robiliśmy. Nic się nigdy nie stało, nie ma znaczenia, nie złamaliśmy żadnych praw, nikogo nie skrzywdziliśmy. Moje sumienie nie ma sobie nic do zarzucenia, rozumiesz?

– Jasne – powiedział Carancino. Wiedział, że Eldrê s jest szalona. Nie miał najmniejszego zamiaru się jej sprzeciwiać. Żałował tylko, że w ogóle ją spotkał.

– Jimmy – rzuciła od niechcenia. Jej towarzysz przysunął się do Carancino, unosząc złowieszczym ruchem pistolet.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Carancino.

– Paradoks Dziadka – odparła Eldrê s. – Z Custerem i Schubertem to była tylko zabawa, teraz chodzi o ciebie. Za pięć lat poślubisz młodą kobietę imieniem Eleanore. Twój syn, John junior, weźmie za żonę dziewczynę o imieniu Catherine. Ich dzieckiem, a twoim wnukiem, będzie Jimmy. Jesteś jego dziadkiem. To szczera prawda, John. Jimmy chciał zobaczyć, co się stanie, jeśli zabije swojego dziadka. Dalej, Jimmy, strzelaj.

Carancino poczuł, że zalewa go fala lodowatego strachu.

– Poczekaj! To może nie mieć żadnego wpływu na Jimmy'ego, ponieważ...

– Ponieważ dla niego jesteś tylko koralikiem – dokończyła Eldrê s. – Zgadza się.

– Ale ja nie jestem koralikiem dla s i e b i e! – zaprotestował Carancino. Zatoczył ręką koło, pokazując gabinet Schuberta. – Może to jest przeszłość, ale jeśli chodzi o mnie, to jest moja teraźniejszość. Jeżeli mnie zabijecie...

– To będziesz martwy. Zgadza się. Ale w przyszłości, w kolejnych koralikach będziesz dalej żył, jakby nic się nie stało. Więc w rzeczywistości to się nie stanie, nie zginiesz z ręki Jimmy'ego. To tylko taka towarzyska zabawa.

– Ale sprowadza się do tego, że jednak będę martwy. Kto wróci z wami do dwudziestego wieku? Skąd weźmiesz następnego Johnny'ego Carancino, żeby żył dalej zamiast mnie? Jeśli mnie zabijecie, zginę!

– Jest was jeszcze cała masa – odpowiedziała ze zniecierpliwieniem Eldrê s. – Załatw go, Jimmy, żeby wreszcie przestał gadać.

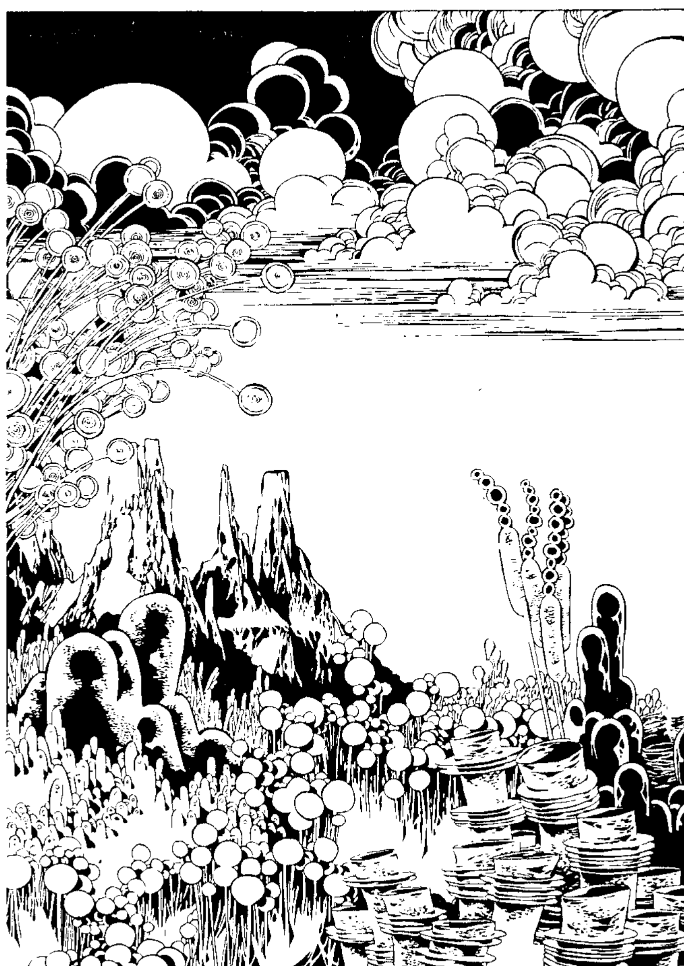
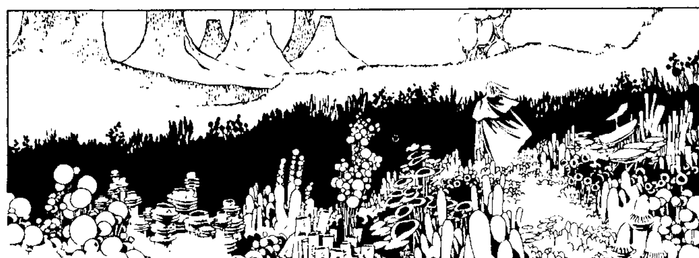
Jimmy uniósł pistolet i wystrzelił trzy razy. Martwy Carancino runął na podłogę. Jimmy spojrzał z uśmiechem na Eldrê s; rzeczywiście, nie wpłynęło to na jego istnienie.

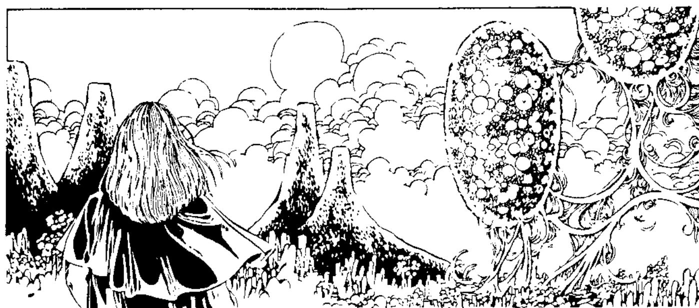
– Weź mnie za rękę i wracajmy do domu – powiedziała Eldrê s. – Dowiesz się, czyim dziadkiem t y jesteś.

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

Scenariusz i rysunki: Roberto Bonadimani

Wieczny





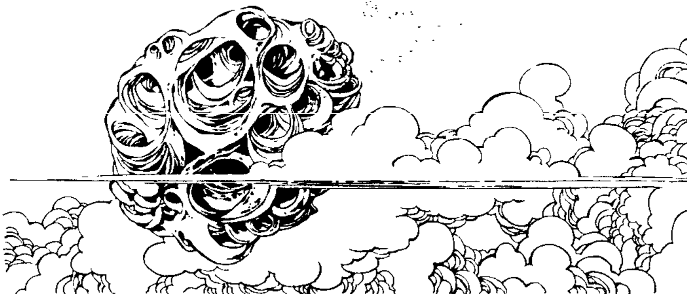


Wieczny



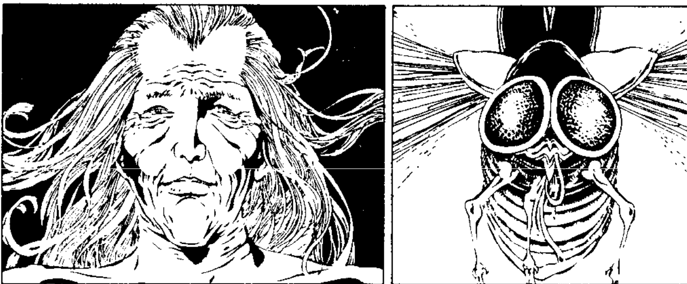












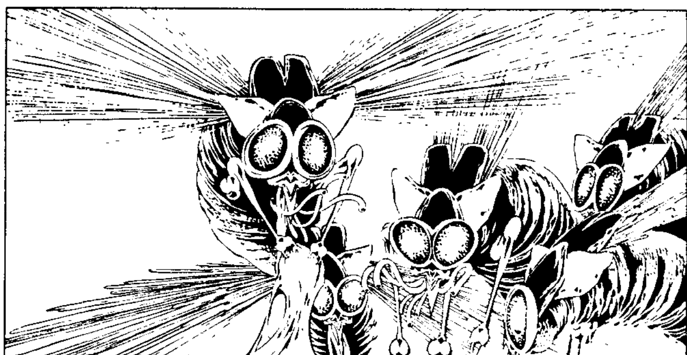


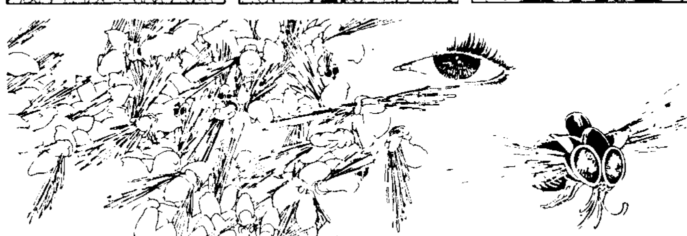




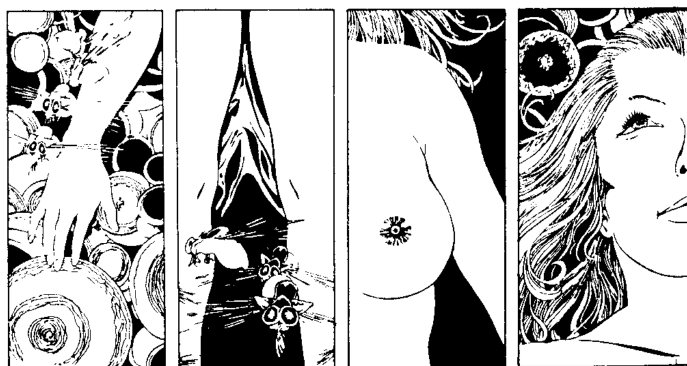
Wieczny



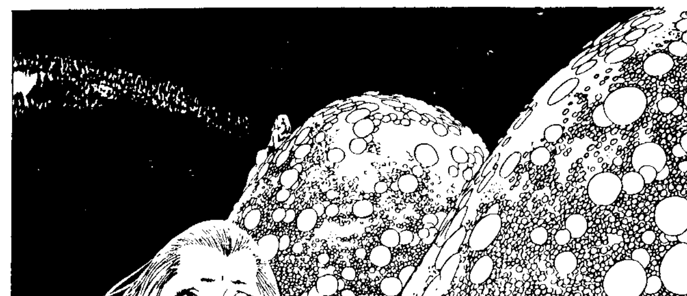






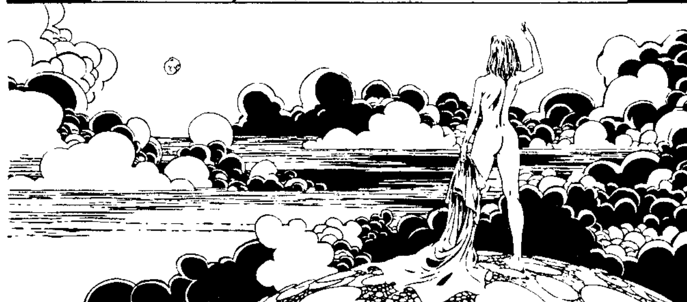


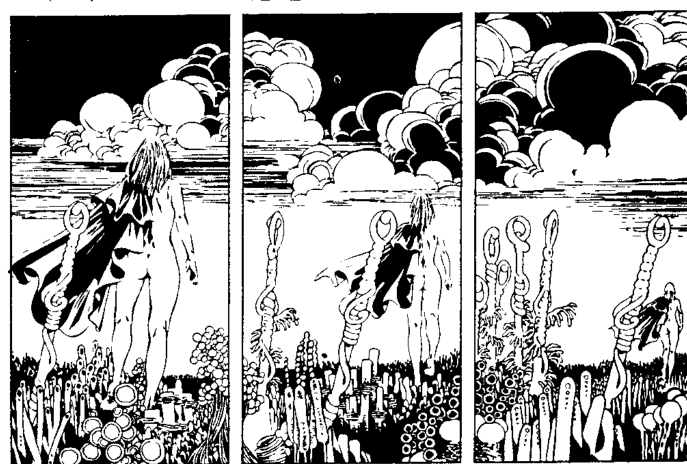


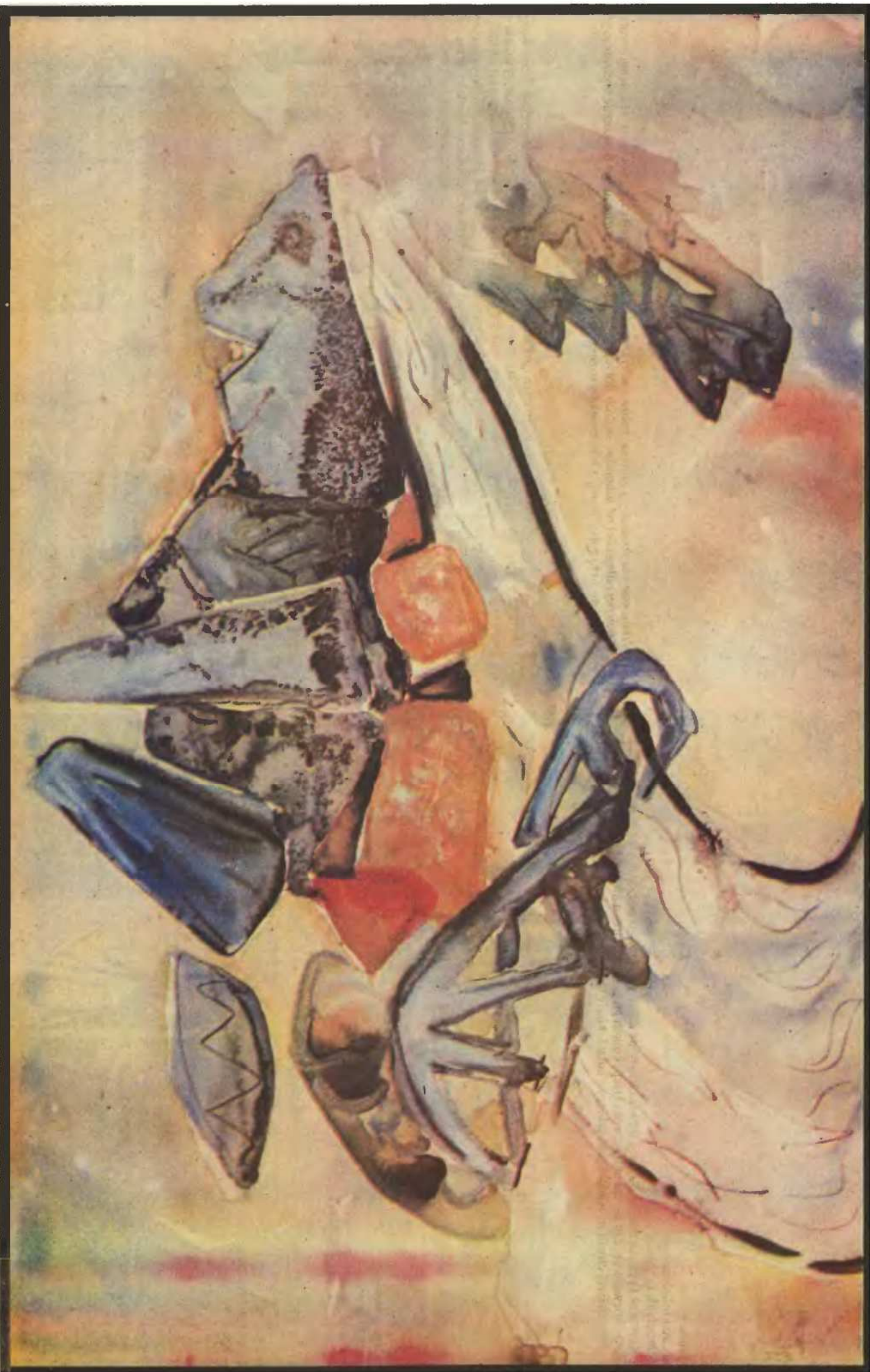












Roman Hennel



Piotr Pucek

Jacek Dukaj

Złota Galera

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy szef wywiadu Ziemi obficie pocąc się wyjaśniał Prezydentowi czemu nadal nie wie nic konkretnego, neosatanista Michael Condway odprawiał imash, zaś Złota Galera majestatycznie dryfowała na peryferiach ziemskiego imperium. Wtedy też w unoszącym się pięćset metrów nad ziemią, wysokim na trzy kilometry wieżowym budynku Błogosławionych Zastępów arch. Charles Radiwill, przechadzając się przed panoramicznym oknem, czekał na kierowników działów: trzeciego i czwartego.

Pierwszy przyszedł McSonn, który doprawdy miał powody do nadgorliwości, albowiem już od czterech dni bezskutecznie starał się wypełnić zadanie, za które Błogosławione Zastępy zainkasowały czternaście milionów. Od stu czterech godzin Dział Zleceń Rządowych harował bez wytchnienia wykonując jego nawet najbardziej idiotyczne polecenia.

McSonn bezszelestnie wsunął się do ogromnego gabinetu archanioła, bezszelestnie usiadł na jednym z foteli unoszących się dookoła konferencyjnego stołu, tradycyjnie wspartego na czterech nogach. Po czym nie odezwawszy się ani słowem wbił wzrok w krzyż wiszący nad drzwiami i znieruchomiał. Jego dusze przyjazne powiadomiły go, iż ma nadejść jeszcze Golloni, dodając przy okazji, że Radiwill rzucił już dzisiaj kilka klątw i jest w paskudnym humorze.

Kierownik Działu Zleceń Specjalnych nadszedł, jak zwykle, w starożytnym ubraniu hipisa. W odróżnieniu od reszty błogosławionych, którzy odziewali się tak, by jak najlepiej wtopić się w otoczenie, on zakładał stroje rzucające się w oczy, co najmniej dziwaczne, dzięki czemu nikt nie posądzał go o przynależność do Zastępów. Jako hipis prezentował się najefektowniej. Długie, rude włosy pozlepiane w strąki opadały na seledynową wypło-

wiałą kurtkę, z konieczności rozpiętą, bowiem nie posiadała ona niczego w rodzaju zlepu, zamku czy guzików. Spod kurtki wyzierała kudłata pierś z wytatuowanym krzyżem, w który Colloni zaklął swoje zdolności, co było o tyle sprytne, iż żeby go ich pozbawić, należałoby obedrzeć go ze skóry. Zamrażanie swych nadprzyrodzonych zdolności przynosiło wielkie korzyści i pomimo zakazu stosowali je wszyscy błogosławieni. Pochwę na rękojeść skrytą miał Colloni we frędzlach pokrywających prawie całe spodnie. Klejnot Przyjaciela nosił w gigantycznym kolczyku obciągającym lewe ucho.

Był to oryginał jakich mało, i nikomu nie śniło się, iż mógłby być zastępcą archanioła potężnych Zastępów.

– Pochwalony... – mruknął sadowiąc się w fotelu.

Radiwill wymamrotał coś w odpowiedzi i nie zadając sobie trudu delikatnego wprowadzania w sprawę szybko zarządził:

– Colloni przejmuje twoje zadanie, McSonn. Od zaraz. Zostało tylko trzy dni do terminu – przygryzł wargi i spojrzał na paznokieć. Cholernie mu się śpieszyło. – Zdajesz sobie sprawę, Colloni, czym byłaby porażka. Błogosławione Zastępy zawsze wypełniają powierzone im zadania. Masz pierwszeństwo. Bierz ludzi jakich chcesz, rób co chcesz, ale pamiętaj o terminie. Trzy dni, Colloni, trzy dni!

Dzień pierwszy

Odczekali aż za Radiwillem oddalą się jego dusze przyjazne i zgodnie odetchnęli.

– Gdzie on tak pognał? – spytał Colloni wyjmując skądś brunatny liść dajerru.

– Zdaje się, że ma spotkanie z szefem wywiadu.

Colloni gwizdnął nie przerywając żucia, co wprawiło w zdumienie McSonna. Przetrawił on swą klęskę z miną diabła topionego w święconej wodzie i podobnie jak Radiwill wściekał się na cały świat.

– Przestań – warknął. – Wyglądasz jak krowa.

– Krowa?

– Takie zwierzę.

Colloni wzruszył ramionami i żuł dalej.

– No, co jest? – zniecierpliwił się napoczynając drugi liść. – Charles chyba coś powiedział, nie?

Z kolei McSonn wzruszył ramionami. Wstał i podszedł do niewidzialnego pulpitu. W gabinecie zaległa ciemność a nad stołem pojawił się wycinek kosmosu z fragmentem odległego słońca.

– Altair – wyjaśnił. – Dziesięć dni temu, ni z tego, ni z owego zjawiło się tam... to!

W polu widzenia pojawił się dziób okrętu. Morskiego okrętu. Błyszczał żółtym blaskiem, cały jaśniejący, od masztów do nieheblowanych desek dna.

– Co za cholera? – Colloni gwałtownie odepchnął się od stołu.

– Za odpowiedź na to pytanie wywiad zapłacił czternaście milionów. Nam zapłacił. A my nadal nic nie wiemy. – McSonn smętnie pokręcił głową.

Nad stołem w całej okazałości lśnił teraz wielki statek. Zapewne takie jednostki pływały w odległych wiekach. Trzy żagle powiewały na nie istniejącym wietrze, na szczycie środkowego masztu, niczym małe słońce, jarzyła się czerwona lampa. Przed dziobem, zlepiona z kadłubem plecami, tkwiła rzeźba ludzkiej postaci.

Ujęcie z góry: pusty pokład, wzdęte płachty żagli.

– To ma być żart? – prychnął Colloni.

– Żart? Jeśli to żart, musiał kogoś drogo kosztować. Galera ma trzy tysiące kilometrów długości. I cała zrobiona jest ze złota.

– Przeliczyłeś ile to forsy? – wymamrotał Colloni.

McSonn popukał się w głowę.

– Z tobą coś nie w porządku.

Colloni otrząsnął się.

– Galera, powiadasz... a wiosła?

– Według najnowszych obliczeń jest ich około sześćset miliardów.

– Hę?

– Sześćset miliardów. Rzecz w tym, że o ile cały okręt jest zrobiony w straszliwym powiększeniu, to wiosła są naturalnej wielkości. Raczej trudno je dojrzeć.

– Halucynacja...? Klątwa...? Widmo...?

– Niestety, stary – McSonn uśmiechnął się krzywo i spojrzał na paznokieć. – Już za późno. Czas na mnie. Za dwie godziny mam lot na Lalande. Pochwalony.

– Chwalony... chwalony... – mruknął Colloni. Czuł w ustach gorzki smak porażki. Splunął i wyszedł z gabinetu.

Na korytarzu i w szybach wszyscy usuwali mu się z drogi. Tu szybko roznoszą się wieści. Zwłaszcza złe. Dotarł do pięter swojego działu, wprosił się do Stadochiego i kazał mu anulować cały harmonogram najbliższych dni. Potem, okazawszy wystarczającą ilość oznak złego humoru, by nikt mu nie przeszkadzał przez kilka godzin, zamknął się w swym ciemnym, małym pokoiku, sprawdził kto aktualnie dybie na jego duszę i podłączył się do mózgu.

Informacji na temat Złotej Galery zebranych przez McSonna nie było zbyt wiele. Dzięki trzem automatycznym sondom orbitującym w bezpiecznej odległości od statku, został od dokładnie obfotografowany, wymierzony i zważony. Nie wiedziano skąd przybył, albowiem pojawił się nagle i z całą pewnością nie wyszedł z antykosmosu (teleportacja?). Nie miał też żadnego napędu, a przynajmniej niczego takiego nie było widać. Galera dryfowała na obrzeżach układu gwiazdy Altair z prędkością piechura, czyli właściwie nie poruszała się. Co do jednego atomu składała się ze złota – łącznie z żaglami – za co specjaliści ręczyli głowami. Owa lampa na szczycie drugiego masztu istotnie była miniaturowym słońcem zamkniętym w klatce o kształcie ostrosłupa, cudem nie topiącej się. To dzieło sztuki wykonane było ściśle według średniowiecznych wzorców, co, jeśli brać pod uwagę wariant OBCYCH, dawało do myślenia.

W dwadzieścia cztery godziny po zjawieniu się Galery, kiedy zawiodły wszelkie próby porozumienia się z jej właścicielami, wysłano dwa desantowce komanda KSZ, które zbliżyły się do obiektu na odległość miliona kilometrów. Wkrótce potem z powodu utraty kontaktu z ludźmi, mimo sprawnej łączności, musiano je zdalnie ściągnąć do bazy. Załogi żyły, ale dotąd nie ocknęły się z letargu. Z wyjątkiem jednego człowieka, który oszalał. Colloni włamał się do tajnego mózgu KSZ i wyciągnął stamtąd charakterystykę tego pomyleńca. Jedno, co było w niej nietypowe, to jego przesadna pobożność. A poza tym był to człowiek, jakich miliardy.

Po nieudanym desancie komandosów spróbowano szczęścia z jednostkami bezzałogowymi. Pomimo najszczerszych chęci docierały na odległość pół miliona kilometrów i dalej za cholerę nie poszły. Mechanizmy odmawiały posłuszeństwa i koniec. Sześć dni wywiad męczył się z tym diabelstwem, aż wreszcie wybulił czternaście milionów i zrzucił sprawę na inne barki. Tak się złożyło, że były to barki McSonna, które ugięły się pod tym ciężarem. Siłą rzeczy spadł on na Colloniego.

Było wpół do drugiej, kiedy Colloni skończył studiowanie dokumentacji. Na samym końcu znajdowała się informacja, która nadeszła przed kilkoma minutami. Pochodziła z sond pilnujących Złotej Galery. Donosiły one, iż Galera zwiększała szybkość do czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę.

Następnie Colloni przejrzał listę poczynań McSonna i połowę z wyszczególnionych tam punktów razem z własnym komentarzem przebił na drugie ziarno. Przesłał je Stadochiemu z rozkazem powtórzenia tych operacji. Stadochi, który nie miał pojęcia o istnieniu Złotej Galery (informacja była ściśle tajna) a wiedział, że szef ma kłopoty, nie raczył się nawet zdziwić. Wykonał polecenie, ale obeszło się bez rewelacji. Trzeba przyznać, iż McSonn zrobił, co tylko mógł.

O 15.15 Colloni zdecydował się skonsultować z Przyjacielem.

Miskialiatol pojawił się wśród migotania nieziemskiej mgły, otoczony szafirowym blaskiem i siecią swych siwych, sięgających ziemi włosów. Lśnienie białej szaty raziło oczy. Obłok rozwiał się i Miskialiatol uniósł pomarszczoną twarz, spojrzał na zasępionego Colloniego i smętnie pokiwał głową, zupełnie jak McSonn.

– No i powiedz, co ja mam zrobić? Żadnego punktu zaczepienia, nic, zupełnie nic! – Colloni rozłożył ręce w geście beradności.

Przyjaciel, za pośrednictwem Klejnotu doskonale poinformowany o wszystkim, usiadł w fotelu po drugiej stronie biurka.

– Obejrzyj sobie dokładnie dziób Złotej Galery – powiedział zmęczonym, starczym głosem. – W tym hologramie zauważyłem coś niepokojącego. Niej zawsze mówił, że nie zwracasz uwagi na szczegóły. Ta rzeźba na przodzie... Jest w niej coś dziwnego.

Colloni przez chwilę huśtał się w fotelu porozumiewając się z przyjaznymi duszami, wreszcie westchnął i wywołał hologram. Powiększył dziób i oto na tle ciemnej otchłani błyszczała wielka, złota rzeźba.

– Niczego ci to nie przypomina?

– Chryste! – Colloni ruchem szybkim jak błyskawica zgasił obraz zabezpieczając się od automatycznego uroku. – To szatan!

– No właśnie. – Przyjaciel wstał. – Jeżeli ta sprawa należy do przeklętych, to chyba ty wiesz najlepiej co robić – oświadczył i zniknął.

Colloni zatarł ręce.

O 17.45 miał już gotowy plan.

O 18.08 wydawszy odpowiednie rozkazy wsiadł do stratu i odleciał.

O 19.53 nadeszła informacja o znacznym przyśpieszeniu Złotej Galery.

O 20.40 mknęła ona z prędkością 79 tys. km/s. Mknęła w kierunku Ziemi.

O 22.30 do budynku Błogosławionych Zastępów powrócił arch. Radiwill i rozkazał natychmiast odnaleźć Colloniego. Poszukiwania nie dały rezultatu.

O 24.00 szybkość Złotej Galery wynosiła 134 tys. km/s. Radiwill chodził i rzucał klątwy.

Dzień drugi

Środkowoeuropejski Rezerwat Krajobrazowo-Przyrodniczy był obszarem dość znacznym i bez specjalnej mapy trudno byłoby odnaleźć leśniczówkę, w której mieszkał jego nadzorca, niejaki pan Rosen. Przez niedopatrzenie, czy też zbytni pośpiech, Colloni owej mapy nie zabrał. Oczywiście mógł się połączyć z mózgiem Zastępów, lecz byłoby to równoznaczne ze zlokalizowaniem go przez zastraszonych błogosławionych. Do najbliższego ośrodka miejskiego miał pół godziny lotu, która wraz z powrotem dawała okrągłą godzinę. Krążąc nad rezerwatem Colloni ani myślał zawracać i głupio tracić cenne sześćdziesiąt minut. Węsząc za ciepłymi ponad normę punktami w leśnej głuszy, odpowiednio zaprogramowany autopilot zawiódł go nad trzy nielegalne ogniska. Poza spłoszeniem turystów żadnych korzyści z nocnego szybowania nad puszczą Colloni nie wyniósł. Straciwszy zaufanie do nauki, zawierzył swojemu instynktowi. Przerzucił się na sterowanie ręczne i po dwudziestu minutach błądzenia w ciemnościach, o 1.27 strat miękko osiadł na małym lądowisku położonym tuż przy unoszącym się sześć metrów nad ziemią budynku leśniczego.

Colloni włączył przeraźliwy sygnał alarmowy swej maszyny, którym zapewne obudził pół rezerwatu. Oraz pana Rosena.

Ciemny sześcian nagle wybuchnął światłem, z niewidocznych głośników wychrypiało:

– Co to za wygłupy, do jasnej cholery?

Colloni nie mniej donośnie wrzasnął przez tubę powietrzną w pokrytą milionami cieni puszczę:

– Panie Rosen...! Chciałbym z panem porozmawiać. Natychmiast.

– A idź pan do stu diabłów! Jest wpół do drugiej w nocy!

– To pilne! Przyleciałem tu specjalnie z Sydney. Jestem z Błogosławionych Zastępów.

– Co?

– Z Błogosławionych Zastępów!

– A... mógłby się pan pokazać?

Colloni żałując, że się nie przebrał, wyszedł ze stratu. Igły laserów o małej mocy a szerokim promieniu wyszukały go w mroku.

– Pan... pan jest z Zastępów? – leśniczy aż się zachłysnął.

– Już mówiłem! Muszę z panem porozmawiać. Teraz.

– Eee... – Rosen wyraźnie wahał się. – A znak?

Colloni wyciągnął z kieszeni plakietkę Zastępów. Trzymał ją w wyciągniętej niczym nie chronionej dłoni i jakoś nie trafiał go szlag. To ostatecznie przekonało Rosena.

Z budynku opuściła się mała platforemka i Colloni czym prędzej na nią wbiegł, bojąc się, że podejrzliwy leśniczy może zmienić zdanie. Wspaniała iluminacja nagle zgasła i Colloni na ułamek sekundy oślepł. Zaraz potem mózg przystosował oczy do ciemności i z powrotem do światła, albowiem platforemka bezgłośnie wsunęła się do wnętrza leśniczówki.

Pan Rosen był wyjątkowo nieufny i w przedsionku pełnym starożytnych poroży czekał z rdzewiejącym laserem w dłoniach. Nawet nie starał się go skryć, co zresztą byłoby trudne z uwagi na rozmiary zabytkowej broni. Zaprowadził Colloniego do pokoiku pełnego futer wypłowiałych, jak kurtka błogosławionego i usiadł w głębokim fotelu, wciąż ze spluwą w pogotowiu.

– Pan chciał o czymś porozmawiać – zauważył.

– Owszem. Półtora roku temu złożył pan zamówienie na sprzątnięcie jednego neosatanisty.

– A tak. I, niech was piekło, przez ten czas nikt się nie zjawił! – walnął wielgachną pięścią w poręcz, która niebezpiecznie zaskrzypiała. Leśniczy był małym, zaaferowanym człowieczkiem o wielkich dłoniach i ziemistej cerze. Przypominał oburzonego na wszystkich gnoma. – Jak wy traktujecie klientów?!

Kolejki do Błogosławionych Zastępów nigdy się nie zmniejszały i, pomimo ciągłych naborów, Zastępy były w tyle za terminami. Nie nadążali i już.

– Panie Rosen...! – rzekł z wyrzutem Colloni. – Przecież widzi pan, że jednak pofatygowałem się.

– Za to wam płacę. Pofatygował się. W środku nocy!

– Panie Rosen! – Colloni zdążył się zdenerwować. – Nie przyszedłem tu wysłuchiwać skarg. Albo mi pan pomoże, albo lecę zająć się czym innym.

Rosen spojrzał podejrzliwie.

– Pomoże? Co pan przez to rozumie?

– No... muszę przecież wiedzieć, gdzie on się ukrywa, czy ma jakichś kolesiów...

– a... to, to mogę panu powiedzieć – leśniczy uspokoił się. – Ale... chyba nie będzie pan na niego polował w nocy...!

– A dlaczego?

– Tego... Więc jak pan wyleci stąd na południe, to będzie tam taka rzeczka, dalej dolinka, druga rzeczka i strumień. Poleci pan z biegiem strumienia aż do wzgórz, przeleci pan na ich drugą stronę, tam jest taka duża polana, zauważy pan, to na północnym krańcu... tam go najczęściej widuję.

– Najczęściej? To znaczy, że bywa i gdzie indziej?

– No... nie.

– Na pewno jest sam?

– Nikogo innego nie widziałem.

Colloni wstał.

– Dziękuję. Postaram się zawiadomić pana jak już wykonam zadanie.

– Mógłbym wiedzieć ile wyniesie honorarium?

– Honorarium?

– No właśnie – Rosen oblizał wargi.

– Przyślemy panu ziarno rozliczeniowe.

Leśniczy podrapał się w głowę, wzruszył ramionami i podążył za błogosławionym, który dotarł już do przedsionka.

– Przepraszam, że pytam... ale... wy wszyscy chodzicie tak ubrani?

– A tak, wszyscy.

Colloni łagodnie spłynął w dół pozostawiając w jasnym kwadracie zdegustowanego Rosena. Zeskoczył z platforemki nim jeszcze dotknęła ziemi i podbiegł do stratu.

Lecąc według wskazówek leśniczego kilka razy pomylił drogę, lecz w końcu dotarł do owej wielkiej polany. Była za sześć trzecia.

Colloni posadził strat na wschodnim krańcu polany i błyskawicznie z niego wyskoczył. Skrył się za rozłożystym dębem i zza jego pnia obserwował maszynę, cichą i ciemną. Przeczekał kilka minut i kazał duszom spenetrować okolicę. Wróciły po chwili nie spotykając niczego niepokojącego poza zwłokami starego wilkołaka, nietkniętymi przez żadne zwierzęta. Colloni wciągnął powietrze. Dawał się wyczuć nikły zapach palonego klasszu. Tak jak mówił Rosen pochodził on z północnego krańca polany.

Błogosławiony przeżegnał się, spryskał święconą wodą ze srebrnego flakonika, ryzykując wystraszenie neosatanisty, jeżeli ten już całkiem zszataniał. Po czym rozmieścił wokół siebie dusze i ruszył brzegiem lasu na północ. Wiatr miał przeciw sobie i wiatr ten niósł intensywniejszą woń klasszu. Colloni wyciągnął rękojeść sprawdzając opuszkami palców, niejako z przyzwyczajenia, ustawienie poszczególnych przełączników.

Na miejsce dotarł o 3.35. Ognisko było zgaszone, szałas na wpół rozwalony przez ostatnią burzę, a neosataniście najwyraźniej nie chciało się go naprawiać. Był to raczej prymitywny i niedoświadczony czciciel zła. Colloni nie natrafił na żadne klątwy warunkowe ani bariery. Jedynie grudki starej zakrzepłej krwi noworodka strzegły szałasu. Colloni przez lata ćwiczonym ruchem ściągnął mięśnie lewej dłoni i gdy z każdego paznokcia wystrzelił w ciszy promień lasera, przeciął się on z innymi dokładnie na grudce krwi. W ten sposób błogosławiony wypalił sobie drogę i przyskoczył jak duch do szałasu.

Ale neosatanista nie dał się wziąć przez zaskoczenie. Wyczołgał się z drugiej strony kupy gałęzi i chrustu i ze starodawnym, lecz niewątpliwie skutecznym miotaczem skrył się za powalonym pniem. Colloni zdążył jeszcze skierować palcowy laser, ale spalił tylko korę z tego pnia. Satanista natomiast od razu puścił długą serię. Las zahuczał.

Jacek DUKAJ

Ma piętnaście lat, mieszka w Tarnowie, znajduje się obecnie w szponach ogólniaka i... nie chce zdradzić na swój temat żadnych dodatkowych szczegółów. Jego opowiadanie – kunsztowne, zabawne, przewrotne, przerażające – zjawiło się na kursie „Fantastyki" niespodziewanie, doprawdy jak ZŁOTA GALERA. Z satysfakcją prezentujemy je Czytelnikom.

(mp)

W tej samej nanosekundzie wegetatywny układ nerwowy Colloniego przejął funkcje układów obwodowego i ośrodkowego, i mózg, który w połowie był maszyną sprawił, iż błogosławiony zmienił się w automat. Przeciążając mięśnie i krwiobieg Colloni wykonał kilkanaście niewyobrażalnie szybkich ruchów. Dziesięć pocisków zdolnych zmieść z powierzchni ziemi dwudziestowieczny bunkier pomknęło wprost na błogosławionego i każdy z nich trafił w neutralizujące ostrze Miecza, który za przyciśnięciem odpowiedniego opalu momentalnie rozłożył się na długość dziewięćdziesięciu dwu centrymtrów. Świetliste rykoszety ze świstem zniknęły w ciemnościach puszczy.

Colloni, wykorzystując chwilowy spokój, złożył Miecz i skoczył za pień. Kopnięciem odrzucił nakierowywany na siebie miotacz i chwycił za gardło neosatanistę. Ten, wydając potępieńcze wycie, obnażył zęby i próbował ugryźć błogosławionego, równocześnie kopiąc, drapiąc długimi, ostrymi paznokciami i miotając się szaleńczo w uścisku Colloniego, który spiął mięśnie woru skórno-mięśniowego położonego przed nadgarstkiem, pod kością i na moment rozwierając prawą dłoń chwycił wyskakujący sztylet. Ścisnął go mocno i w efekcie ostrze bardzo malowniczo rozgrzało się do czerwoności tuż przed oczyma neosatanisty. Jeniec uspokoił się nieco.

Colloni wyciągnął z kieszeni srebrny flakonik i jednym ruchem spryskał satanistę. Więzień ryknął straszliwie, wyprężył się jak struna, a zaraz potem dziwnie zwiotczał i zzieleniał. Bezwładnie osunął się na ziemię. Błogosławiony węsząc w tym jakiś podstęp poczekał aż dusze przyjazne z całą pewnością stwierdzą, iż jeniec jest nieprzytomny. Potem wsunął sztylet do wora i spojrzał na paznokieć. Była 3.50. Pochylił się i zbadawszy neosatanistę orzekł, że ten jeszcze nie zszataniał.

Colloni nie widział więc potrzeby dalszego tracenia sił. Wyprostował się i uporządkował swój umysł. Piekielny ból mięśni, który dopiero teraz do niego dotarł, zwalił go z nóg.

Był już dzień, kiedy Colloni podniósł się z mokrej trawy. Po dłuższych akcjach zdarzało się, że okres rekonwalescencji trwał i kilka dni. Błogosławiony przeciągnął się i nakazał Przyjacielowi przyprowadzić strat. Dziesięć sekund później maszyna osiadła metr od Colloniego. Związał on satanistę i wrzucił do tylnego przedziału. Ignorując palące się od kilku godzin światło natychmiastowej łączności wystartował wgniatającą w fotel świecą. Nie zadał sobie trudu włączenia klimatyzacji pomimo odoru, jakim zatruwał atmosferę niedoszły diabeł.

O 11.16 kontroler ruchu służbowych stratów z jego działu, ujrzawszy go wywlekającego z maszyny satanistę, zdębiał, zakrztusił się katallą a potem odwrócił się i pognał gdzieś jak szalony. Colloni wzruszył ramionami, przywołał towarową platformę, rzucił na nią więźnia, wpisał w pilota docelowe pomieszczenie i nie przejmując się już windą poszedł coś przekąsić. Od dwudziestu godzin nie miał nic w ustach.

Radiwill dopadł go, gdy kończył posiłek.

– Colloni...! – zawołał z groźbą w głosie. – Ja dużo wytrzymuję. Wytrzymałem twoje konszachty z Obcymi, wytrzymałem zabójstwo Gwiazdy Przewodniej, wytrzymałem niesubordynację podczas akcji w Piekle, wytrzymałem twoje tajne klątwy, ale tego ci nie daruję. Odbieram ci tę sprawę i przywileje. Tym razem przesadziłeś.

Colloni ciężko westchnął, odsunął od siebie tradycyjne pojemniki na pożywienie i ironicznie spojrzał na uciekających czym prędzej błogosławionych. W kilkanaście sekund jadalnia opustoszała. Potem przeniósł wzrok na Radiwilla, chwilę przyglądał mu się jakby z wahaniem, wreszcie wstał i spytał pojednawczo:

– Po co te wrzaski? Nie masz się o co obrażać, Charles. Że zniknąłem na kilka godzin? Nie pierwszy raz i nie ostatni. Dobrze wiesz, że zawsze działam sam i twoje pierwszeństwa nie obchodzą mnie. Możesz je zabierać. Natomiast co do sprawy, to popełniasz duży błąd. Czasu jest coraz mniej i nie sądzę, byś znalazł kogoś, kto w dwa dni załatwi to, czego w cztery nie mógł załatwić McSonn.

– Chcesz powiedzieć, że tobie te dwa dni wystarczą?

– Dzień. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, to dzisiaj w nocy będę wiedział wszystko o Złotej Galerze.

– To teraz ja ci coś powiem. Złota Galera idzie w naszym kosmosie z prędkością piętnaście razy większą od prędkości światła, pchając przed sobą wał czasowy na trzy parseki. Idzie prosto na nas. Ten tchórzliwy Glas ogłosił pogotowie dla całej floty. Szef wywiadu nie schodzi mi z linii. Ciekawy jak cholera. Powiedz, co miałem mu mówić przez te trzynaście godzin, kiedy nie wiedziałem nawet czy żyjesz?

– Coś jednak mówiłeś – zauważył nie bez racji Colloni.

– Won! – Radiwillowi rzadko zdarzało się tak krzyczeć. – Won! Wynoś się stąd! Zabieraj tego śmierdzącego diabła i wynoś się! Już nie jesteś błogosławionym. Postaram się, żeby papież wyklął cię jeszcze w tym tygodniu!

Colloni wyszedł z jadalni z twarzą wykrzywioną w ironicznym grymasie. Nie pierwszy raz archanioł wyklinał go z Zastępów. Zawsze dwa, trzy dni po tym przychodził skruszony wysłannik Radiwilla i rzucając oczami po kątach prosił o powrót. Już w kilka godzin można się było przekonać jak niezastąpiony jest Colloni. Dział Zleceń Specjalnych bez niego właściwie nie działał. Po trosze było to zasługą wiernych podwładnych, po trosze jego samego. Nie było powodów do zmartwień.

Colloni uśmiechając się przepraszająco do swych współpracowników wspiął się piętro wyżej awaryjną wślizgnią. W ogóle Colloni uśmiechał się prawie zawsze, gdy nie był sam. Tak jak powinno być, satanista znajdował się w pokoju 657938 wciąż w szoku. Błogosławiony zabrał go razem z platformą do hali stratów prywatnych, załadował go do tyłu i odleciał do swej twierdzy.

Położona ona była na wysuniętym w ocean cyplu, całym obłożonym klątwą AIDS VI. Kończąc szeroki łuk skrętu strat wleciał do jaskini w urwisku graniczącym ze wzburzonymi falami. Mózg ssawki życia rozpoznał układ atomów będący Collonim i przepuścił go cofając MACki.

Colloni powierzył więźnia Strażnikowi nakazując wrzucić go do sali pokutnej, a sam udał się do pokoju łączności. Przywołując z powrotem uśmiech na twarz wywołał mgłę LottIny. Nie czekał długo. Spośród oparów, naprzeciw konsoli wyłoniła się sylwetka Kai.

– A, to ty Colloni – wszyscy nie wiadomo czemu uznawali jedynie jego nazwisko – znowu cię wylali, co? Z tobą nigdy nie dało się wytrzymać.

– Pół godziny temu powiedział mi to Radiwill.

– Wcale mu się nie dziwię. No... ale chyba nie po to bębniłeś, żeby użalać się nad swoim charakterem?

– Właśnie. Mam sprawę. Chodzi o klątwę warunkową. Specjalizujesz się w tym, prawda?

– Można by tak powiedzieć...

– A więc. Ma to być klątwa stała, ponadczasowa, wpisana w przedmiot, automatyczna ze wskazaniem. Na duszę. Coś ekstra. Sam wpiszę warunek. Prawdę mówiąc, chodzi o szkielet klątwy z mocą wykonawczą, ogólnymi prawidłami i karą. Kara, to cofnięcie pokuty. To musi być silne uwarunkowanie, przeklętym będzie neosatanista.

– Z tobą jest coś nie w porządku – warknęła LottIna nerwowo przeczesując palcami fioletowe włosy.

– Wczoraj dokładnie to samo powiedział McSonn.

– Widocznie nie tylko Radiwill ma coś w rodzaju mózgu.

– Możliwe... – Colloni machnął ręką. – Na kiedy będę miał tę klątwę?

– Nie przypominam sobie, żebym się zgodziła.

– Na kiedy będę miał tę klątwę?

– Mówisz poważnie?

– Chryste! Jestem taki poważny, że zdziwiłabyś się gdybyś tu była.

– Cholera, ty jak coś wymyślisz...

– No więc?

Wstała z wodnego tapczanu i zaczęła przechadzać się po salonie. Mgła podążając za nią ukazywała nowe fragmenty mieszkania Kai.

– Niech cię diabli, Colloni! Zawsze umiałeś popsuć komuś weekend. No dobra, jak dla ciebie to cztery dni.

– Przykro mi Kaa. Muszę to mieć najpóźniej o dziewiętnastej.

– O dziewiętnastej kiedy?

– O dziewiętnastej dzisiaj.

– Powinieneś się leczyć.

– Mówię to Radiwillowi od kilku lat... Jeśli nie postarasz się dla mnie, to dla pieniędzy.

– He, he, he.

– Będę szczery.

– Nareszcie.

– Zamknij się. Jest tak: Pięć dni temu wywiad zaproponował Zastępom pewien interes. W zamian za dość znaczną sumkę, błogosławieni mają postarać się o wyjaśnienie jednego faktu. Wiem, że nie wyjaśnią go, a przynajmniej nie w terminie. Notabene, termin ubiega jutrzejszej nocy. Jeżeli załatwisz mi tę klątwę, zdobędę to, czego nie mogą zdobyć Zastępy. Jak myślisz, co wtedy wywiad zrobi z dość znaczną sumką?

– Na ile znaczną?

– Na czternaście milionów.

LottIna przełknęła ślinę.

– Mmilionów?

– Milionów. Do podziału.

Kaa z powrotem usiadła na kanapie.

– Będziesz miał tę klątwę. Na dziewiętnastą dzisiaj.

– Pochwalony – pożegnał się Colloni.

Chris Achilleos





Wyłączył mgłę i odetchnął. Po chwili spostrzegł swą własną dłoń ocierającą pot z jego własnego czoła. Twardy Colloni na starość zaczynał się denerwować.

Neosatanista wciąż nieprzytomny leżał na marmurowym stole w sali pokutnej, już rozebrany, wymyty i zdezynfekowany. Colloni włamawszy się do zamkniętego również dla siebie banku informacyjnego Błogosławionych Zastępów, zidentyfikował jeńca. Był to niejaki Michel Condway. Lat trzydzieści dwa, od pięciu lat nie stawia się na okresowe święcenia. Poszukiwany przez Zastępy i policję. Na wykazie nie miał zbyt wielu przestępstw, ale i te wystarczały na karę śmierci. Przeciętny czciciel zła, tyle że samotny.

Przyjazne dusze ustaliły, iż ocknie się za około siedem godzin. Oczywiście można by próbować ocucić go wcześniej, nie było jednak żadnej gwarancji, że przeżyje taką kurację.

Colloni poinstruował dusze i uciął sobie drzemkę.

Obudziły go o 18.50. Wstał, zjadł coś, przejrzał ciężko strawny serwis informacyjny (ani słowa o Złotej Galerze), popił go Sardwayem 2086 i poszedł do stacji pocztowej mieszczącej się w najwyższym piętrze twierdzy. Błogosławiony był dumny ze swojej kryjówki. Właściwie to jej zawdzięczał życie. Według najnowszych danych, z jego śmierci ucieszyłoby się ponad sześć tysięcy ludzi.

Przesyłka nadeszła o 19.17. Był nią niklowy pierścień. Z napisem: „35%". Colloni uśmiechnął się do niego i zaczął wpisywać klątwę. Rozbolała go od tego głowa. Wsunął gotowy pierścień do kieszeni i spłynął do sali pokutnej, a właściwie do ganku wiszącego nad nią. Podłoga, ściany i sufit wyłożone były skomplikowanym układem luster zogniskowanych na marmurowym łożu. Leżący na nim, gdziekolwiek by spojrzał, widział jedynie siebie. Siebie, oprawców i to co z nim robiono. Strach był nieodłączną częścią pokuty.

Condway obudził się o 19.37. Raczej późno. Colloni natychmiast włączył tuby powietrzne.

– Witam, witam, Michel. Jak się spało?

Neosatanista syknął w odpowiedzi. Miał ciało objęte setkami elektrycznych igieł i każda z nich przy zmianie położenia zwiększała tortury.

– Dobrze, dobrze, pożartowaliśmy sobie, a teraz przystąpimy do konkretów.

Condway taktownie milczał.

– Wiesz bardzo dobrze, że twoje życie jest w moich rękach. Mogę cię zabić w każdej chwili i jeszcze mi podziękują. Gdybym cię teraz na przykład udusił, niewątpliwie dostałbyś się do Piekła, lecz nie jako diabeł. Muszę cię zmartwić, jeszcze nie zszatanizałeś. Zdajesz sobie sprawę co to dla ciebie znaczy?

Cisza.

– Wieczny trzeci poziom. Nie tego sobie życzyłeś szataniejąc przez te wszystkie lata. Na szczęście, na szczęście dla ciebie, nieoczekiwanie zmiękło mi serce. Mogę cię uratować.

– Jak? – wychrypiał Condway.

– Istnieje coś takiego jak pokuta, prawda? Oczywiście, normalna pokuta już się ciebie nie ima. No, ale ja, z nadzwyczajnymi błogosławieństwami papieża... – Colloni leniwym ruchem włączył oświetlenie sali pokutnej. – Widzisz te urządzenia? – Condway nie bacząc na igły nerwowo się rozglądnął. – Przy ich pomocy na pewno zdołasz odpokutować całe życie przez kilka godzin.

Michel zadrżał.

– Nie robię tego z litości. Coś za coś. Kiedy już odpokutujesz ile trzeba, wyślę cię na tamten świat. Dzięki tym maszynom nie ściągnie cię do Piekła, a przynajmniej nie od razu. Słuchaj uważnie. Zaraz po śmierci pomkniesz do gwiazdy Altair, całą drogę wszczepię ci pod hipnozą, i w tej okolicy odszukasz pewną rzecz, którą również ci wszczepię. Odszukasz raczej bez trudu, jako dusza mógłbyś odnaleźć mniejsze rzeczy. Zbadasz ją dokładnie i dowiesz wszystkiego, co możliwe. Musisz zdążyć zrobić to w ciągu najwyżej trzech godzin. Jeśli po tym czasie nie wrócisz i nie przekażesz informacji moim duszom przyjaznym...

– To co?

– Słyszałeś może o klątwach warunkowych? Zmyślne przekleństwa.

– Jako duszy nic mi nie zrobisz.

– Oczywiście, jako duszy nie, ale założywszy teraz warunek ponadczasowy, mógłbyś go uaktywnić już po śmierci. W ten sposób klątwa zadziała na ciebie – człowieka, żyjącego, materialnego i wstecznie wpłynie na ciebie – duszę.

– Gówno mi zrobi.

– Tak myślisz?

– Tak myślę.

– No to wyobraź sobie, że tej pokuty nie będzie, a raczej nie było. Automatycznie ściąga cię na trzeci poziom. Anulując pokutę kilka godzin wcześniej, tobie – człowiekowi, zmieniam przyszłość ciebie – duszy.

– Jaką mam gwarancję, że nie przestroisz klątwy po wykonaniu przeze mnie zadania?

– Nie masz żadnej gwarancji poza moim słowem, a wiedz, iż jest to słowo Błogosławionego Przez Świat. Wystarczy ci to?

– Wystarczy. Ale...

– Ale?

– Nie rozumiem jak może być uznana pokuta, której nie pragnie pokutujący.

Colloni uśmiechnął się.

– A ty jej nie pragniesz?

Condway otworzył usta i zaraz zamknął je. Więcej się nie odezwał.

Colloni wyłączył tuby powietrzne i sprawdził jak dalece Condway zszatanizał. Źle. Paskudnie. Michel był na skraju zszatanienia całkowitego. Przy najintensywniejszym programie tortur pokuta skończy się o trzeciej nad ranem.

Colloni włączył mózg kierujący torturami i poszedł spać. Tuż przed zaśnięciem posłał dusze, by sprawdziły czy Radiwill jutro zamierza go przeprosić. Radiwill zamierzał.

Dzień ostatni

Dusze obudziły go o 2.30. Wziął czystkę, przekąsił coś, pomodlił się, odebrał kilka zarejestrowanych mgieł z obłudnymi wyrazami współczucia i spłynął do sali pokutnej. Automaty i hipnotyzery wykonały już zadanie. Condway bardziej przypominał androida po ćwiczebnej sekcji, niż żywego człowieka. Właściwie powinien być nieprzytomny, lecz dzięki swej wierze w szatana, czy też dumie, był świadom wszystkiego co działo się wokół.

Gdy światła przygasły, odezwał się słabym głosem.

– Ty, błogosławiony, jesteś tam?

– O co chodzi?

– Przemyślałem sobie, to co mi naopowiadałeś i doszedłem do wniosku, że coś kręcisz.

– O, ciekawe. – Colloniego wręcz ogłuszyła wytrzymałość tego człowieka.

– O ile wiem, to wszyscy błogosławieni posiadają przyjazne dusze i Przyjaciół. Czemu ich nie wysłałeś do tego cholernego statku?

– Jesteś dobrze poinformowany. Jeśli chodzi o Przyjaciela, to jest on istotą materialną, okresowo bezpostaciową, zaklętą w dany przedmiot, zwykle klejnot. Praktycznie rzecz biorąc, ma takie same szanse dostania się do Galery jak każdy normalny człowiek. Co do dusz, to żyją one ze mną niejako w duchowej symbiozie. Wysłanie choćby jednej z nich dalej niż około sześćdziesiąt dwa kilometry, doprowadziłoby do mojej śmierci. Mówię ci to dlatego, bo i tak już z nikim się nie porozumiesz. W każdym razie zrozumiałeś, czemu zawdzięczasz swoje szczęście?

Condway wycharczał coś w odpowiedzi, ale Colloni pomimo licznych wzmacniaczy nie zrozumiał z tego ani słowa.

Wzruszył ramionami i wyłączył aparaturę.

Michel Condway umarł szybko, bez jęków i dramatycznych scen.

Uśmiech spełzł z twarzy błogosławionego, który nagle poczuł się dziwnie niepewnie. Zaklął i wyszedł na Sardwaya 2986.

A Condway, nareszcie wolny i bezcielesny, nie czując bólu, wzniósł się pod gwiaździste, gościnne niebo.

Chłodne powietrze przenikało go jak dym niewidoczny dla nikogo. Przestrzeń, która go otaczała znana mu była, jakby od lat nic innego nie robił tylko obserwował każde źdźbło trawy, każdy kamień, każdy pagórek, każde drzewo. Gdy zamknął oczy, których już nie miał, tak samo dobrze mógł polatywać nad ziemią, znając długo wcześniej drogę, którą dopiero przebędzie. Tak samo dobrze mógł wsłuchiwać się w szum nocnej ciszy, gdy nie miał już uszu. I zapachy wszelkie krążące po przeludnionej planecie czuł powierzchnią swego ciała. Ciała, którego nie miał. Którego nie chciał mieć.

Zapragnął odepchnąć od siebie ten ciężki, przygniatający umysł śmietnik. Wyprężył się, wysmuklał, jak orzeł gdy pikuje ujrzawszy ofiarę, chęć lotu – szybkiego, piorunującego zmysły – wezbrała w nim niczym lawa pod wulkanem, a gdy wybuchła... nagle... gorącem, chłodem, fontannami barw, jakich nigdy nie widziały jego martwe oczy, kaskadami dźwięków, jakich nigdy nie słyszały jego martwe uszy... Wszystkim tym, czego satanista nie zaznał za swojego przeklętego życia... Gdyby mógł, zaśmiałby się, zapłakał nad wszechświatem, co jest tak bezsensowny.

Piotr Pucek

I kiedy tak krążył dookoła słońca, zaledwie w sekundę po śmierci, w jego pamięć wtargnął sztuczny, wszczepiony obraz majestatycznej Złotej Galery. I zamarł Condway w swym tańcu żałobno-pochwalnym, zamarło jego serce, które było umysłem, ciałem, myślą i wolą, zamarła cała dusza neosatanisty Michela Condwaya.

Pokornie, jak pątnik, stłumił Condway swe uczucia, co rozszalały się na kilometry wokół. Jak pątnik, choć nienawiść, której się uczył niczym katechizmu przez lata całe, choć ta nienawiść paliła, piekła go... Och, shaaah, jakże nienawidził Colloniego. Nienawidził, bo odebrał mu szansę zostania szatanem. Nienawidził, bo upokorzył go po raz pierwszy od złożenia Przysięgi... upokorzył i przeżył. Nienawidził, bo zmusił go do zrobienia czegoś, czego teraz jako dusza... czego bał się, czego nie chciał zrobić! Nienawidził, bo sprawił on, iż jest czysty jak pobożny chrześcijanin, a nie wieloletni satanista. I wreszcie nienawidził go za to, że nienawidził i nie był w stanie nic mu zrobić.

Tą nienawiścią przepojony rzucił się w śliską drogę do dalekiej gwiazdy. Wiedział kiedy, gdzie mrugnąć chęcią, gdzie pchnąć niechęcią. Wiedział i ta znajomość trasy była mu tak samo wroga jak Colloni.

Mknął... mknął... mknął...

I zapragnął zatrzymać się i nie zatrzymał. Bo chęć jego znacznie później zaistniała niż byt w tym punkcie przestrzeni. Nie potrafił wyczuć czasu, który wszak powinien wlec się powoli. Pędził naprzód splątany w jego cofająco-postępujące węzły. A potem-przedtem wszystko skończyło się i jedynie Złota Galera pozostawała w dziwnie znanej, naturalnej i zwykłej pustce.

Condway usunął się i poszybował obok burty statku. Serce sprzeciwiało się temu, ale cóż może serce, gdy świat chce inaczej. Michela ścisnął strach, tym straszniejszy, że widoczny tak samo jak i Condway.

Lśniły kilometrowe drzazgi, błyszczało daleko, daleko, czerwone słońce. Cisza i podmuchy próżni doprowadzały satanistę do szału.

Nagle ruch jakiś wyczuł tuż przy sobie. Skierował pragnienie spojrzenia w górę i ujrzał niezliczone rzędy wielkich wioseł rytmicznie poruszających się, pchających okręt prosto ku Ziemi. Błyskały raz po raz zasłaniane i odsłaniane gwiazdy, łopotały żagle i załopotała śmiertelnie przerażona dusza Condwaya. Coś obcego, cuchnącego złem wkradało się w granice jego świadomości.

Zniewolony, zamrożony, zatrzymany w swym drugim istnieniu zachłysnął się Michel szatanem. Zachłysnął tym wszystkim, czego pragnął przez całe życie, a co dopiero teraz ukazało swe oblicze nie rozciągnięte w grymasie życzliwości, tak odmienne od wyobrażeń. Pancerz pokuty pękł pod naporem zła. W jednej setnej sekundy Condway zdumiał się potęgą szatana, przeraził się swoją wiarą i rzeczywistym diabłem, zdumiał się i przeraził, bo nagle, zupełnie wbrew jego woli coś w nim zawołało: „Ratuj, Panie!".

Zaśmiał się szatan pociągając go za sobą, w górę, na pokład i potem w dół, gdzie poruszano wiosłami. Michel wyrywał się, szarpał, lecz powoli chęć walki w nim umierała.



Chris Achilleos



W soczystych szponach Condway dyszał strachem słysząc coraz głośniejsze bicie w bębny, coraz przeraźliwszy krzyk:
– Raz... dwa... Raz... dwa...
W tym samym czasie Colloni odbierał mgłę wysłannika Radiwilla, bełkoczącego coś o poczuciu obowiązku.
Błogosławiony pociągnął wprost z butelki wiekowego Sardwaya i niecierpliwie machnął ręką.
– Dość tego! Radiwill bardzo dobrze wie, że i tak wrócę. Lepiej powiedz – uśmiechnął się kwaśno – jak wam idzie z Galerą.
Wysłannik widocznie był poinformowany o całej sprawie, bo tylko westchnął i zaklął.
– Eee.. – mruknął wreszcie poganiany przez Colloniego. – Radiwill sam się tym zajął. Szkoda gadać... Jak dotąd, znalazł coś w Księdze Proroctw Gwiazdy Przewodniej. Uczepił się tego i już od kilku godzin nie ruszył z miejsca.
– Księga Proroctw, powiadasz? – zainteresował się Colloni. – No nic. Znikaj.
Błogosławiony posłusznie zniknął.
Lekko zdenerwowany Colloni odłożył starożytną butelkę i wpłynął wyżej, do biblioteki. Wszelkie książki posiadał w tradycyjnej formie, co z biegiem lat coraz więcej go kosztowało. Podszedł do wielkiego regału i wyciągnął oprawną w skórę, raczej cienką Księgę Proroctw Gwiazdy Przewodniej.
Usiadł w zabytkowym, głębokim fotelu i zaczął kartkować książkę.
Pół godziny później, o 3.40, przeczytawszy pewien fragment poderwał się jak oparzony, rzucił Proroctwa w kąt i pogalopował do stratu.
Już w maszynie, ochłonąwszy nieco, lecąc z maksymalną prędkością w kierunku Sydney, połączył się za pośrednictwem przyjaznych dusz ze swoim mózgiem w Błogosławionych Zastępach. Natychmiast po uzyskaniu połączenia odszukał dane owego komandosa nie pogrążonego w letargu, oszalałego po kontakcie z Galerą i przestraszył się jeszcze bardziej. Określiwszy według jego parametrów przedział osobowy, nałożył nań charakterystykę ludzkości. Wynik był zatrważający.
Nie więcej jak pięćdziesiąt milionów miało szansę na przeżycie.
...i nadejdzie dzień, gdy spojrzawszy w niebo ujrzycie przeklęty statek na spotkanie z waszymi duszami pędzący, przez was pchany, ku waszej zagładzie. I nic nie będziecie mogli uczynić, jeno patrzeć i czekać, by szatan zabrał co do niego należy. Przejdzie jak rybak z siecią przez wasze potężne imperium, a zostawi tak nielicznych, że nie odnajdą się nigdy, przerażeni i zagubieni, rozrzuceni po pustkowiu...
W wielkim budynku Błogosławionych Zastępów nikt nie okazał zdziwienia na widok Colloniego pędzącego jak szaleniec, natomiast wielu zdumiało się spostrzegłszy drżenie jego rąk i błyski przerażenia w oczach. Kierownik Działu Zleceń Specjalnych minął ów dział i wpłynął wyżej, na piętro Radiwilla.
– Charles! – wrzasnął wbiegając do gabinetu archanioła. – Charles...!
– Co jest? – Radiwill właśnie obliczał coś na mózgu i nagłe wtargnięcie Colloniego, choć zapowiedziane przez dusze, nieco go zirytowało. Colloni nigdy się tak nie zachowywał. – O co chodzi?
– O co chodzi? – powtórzył z gorzką ironią błogosławiony i ciężko usiadł na jednym z dryfujących foteli. – Zbliża się koniec świata, Charles, koniec świata.
Radiwill wzruszył ramionami.
– Nie dla wszystkich. Będą tacy, co przeżyją.
– I ty mówisz to tak spokojnie?
– A jak mam mówić? Zresztą... to jeszcze nie takie pewne.
– Hę?
– Jeżeli czytałeś dokładnie, na pewno zauważyłeś, iż Gwiazda Przewodnia wspomina również o okręcie, który prawdopodobnie wyprzedzi statek szatana, lecz jedynie wystraszy ludzi.
– Tak myślisz? A ci komandosi?
– Są ludźmi i też mogą być elementami zastraszenia.
– Słuchaj... ja wysłałem tam na rekonesans duszę...
– Ty skończony idioto!
– Nie swoją przyjazną duszę. Duszę człowieka, który umarł niecałą godzinę temu. Kazałem mu przed śmiercią sprawdzić co jest grane i wrócić.
– Gdzie ty nagle znalazłeś umierającego człowieka?
– Sam go zabiłem.
– Można się było tego po tobie spodziewać.
– To był neosatanista. Wczoraj w nocy złapałem go w Europie.
– I masz pewność, że wróci?
Colloni wyjął pierścień.
– To jest klątwa warunkowa. Jeśli on nie wróci do piątej pięćdziesiąt osiem, zostanie cofnięta pokuta, którą mu zaaplikowałem.
– Jeżeli to statek szatana, to nie wróci.
– Właśnie... – błogosławiony skrył twarz w dłoniach. Palce drżały mu, choć ze wszystkich sił starał się opanować. Nerwowo kręcił głową, a włosy biły go po rękach. Skrył twarz w dłoniach, bo skóra zbielała mu, jakby miał zemdleć, wargi nerwowo coś szeptały, a łzy, o których zapomniał przed dziesiątkami lat, cisnęły mu się do oczu.
Radiwill zmarszczył brwi.
– Spokojnie. Nie jest tak tragicznie...
– Nie tragicznie...! – Colloni histerycznie roześmiał się.
Archanioł wstał i zaczął przechadzać się wzdłuż panoramicznego okna. Za nim zalegał półmrok rozjaśniany od czasu do czasu przez przelatujące blisko straty, których światła pozycyjne rozmazywały się w pędzie w zamglone różnokolorowe pasma. Stratgazy reklamowe biły w oczy jaskrawością swych barw. Błyskały wyładowania pola ochronnego budynku, gdy ktoś przejąwszy ręczne stery pozwalał sobie na niebezpieczne szarże prawie ocierając się o trzykilometrowy kolos. Na pobliskim kosmoporcie cięły mrok asekuracyjne lasery, kiedy jakiś potwór przestrzeni wzbijał się bezczelnie, uciekając grawitacji ze swymi milionami ton. Długie, gąsienicowe konwoje pędziły z ponaddźwiękową w swych fioletowych rynnach tuneli bezgrawitacyjnych znikających wraz z nimi. Gigantyczne, piękne w swej dostojnej a obcej sile życia powietrzne lilie dryfowały na dole, tuż nad ziemią, oddzielając pełne zgiełku życie od podarowanej przyrodzie powierzchni planety.
– Rozumiem cię – powiedział Radiwill cicho i spokojnie. – To straszne. Przez tysiąclecia budujemy wielkie imperium, miliardy ludzi są szczęśliwe. Chcą żyć. Wiedzą, że wciąż zagraża im szatan, ale przed szatanem bronimy ich my. I nagle... Jesteśmy bezradni. Nic nie możemy poradzić na to co się stanie. Ocaleją jedynie ci, którzy żyli zgodnie z wielkim Sumieniem. Może to egoizm z mojej strony, ale przecież my zostaniemy, więc wielkiego powodu do rozpaczy nie ma.
Colloni pokręcił głową, wolno jakby opuszczały go siły. Trząsł się cały, chodziaż z trupiobladej twarzy nie schodził mu znany wszystkim uśmiech. Strasznie z nim teraz wyglądał.
– Zostaniemy, tak? – próbował się zaśmiać.
– No... żyjemy zgodnie z Sumieniem.
Colloni rozciągnął twarz w jeszcze szerszym uśmiechu. Poderwał się z fotela, otworzył usta, zamknął je, usiadł, bezgłośnie zarechotał, znowu wstał i odrzucił głowę do tyłu, a po jego zarośniętych policzkach popłynęły łzy.
Radiwill podszedł do niego i jednym ruchem posadził go jak kukłę.
– Siedź – rzekł twardo. – Siedź i czekaj.
Potem spojrzał na krzyż wiszący nad drzwiami i powiedział:
– Może masz jeszcze jakąś szansę.
I czekali.
Znieruchomiały Colloni i ponury Radiwill wpatrzony w łunę miasta. Złota Galera pędziła ku Ziemi szybciej niż najszybsze ziemskie statki. Zbierała żniwo i z Mald, i z Katio, i z Jeonast IV, i z Rattona, i z Bed-tanu...
Wybiła godzina szósta i zmieniły się cyfry na paznokciach, a leżący na stole pierścień pękł z cichym trzaskiem. Już i w Układzie Słonecznym dusze opuszczały ciała. Mknęli porywani znienacka – kobiety, mężczyźni, dzieci...
...te miliardy dusz ludzi, którzy myśleli, że żyją dobrze, że żyją wspaniale, przyciśnięte teraz mocą ich zła do złotych wioseł... Myśli, które zapierają się z całych sił i pchają lśniący drąg, i ciągną lśniący drąg...
Pozostał jedynie krzyk szatana, głos bębnów, skrzypienie wioseł...
– Raz... dwa... Raz... dwa...
I nagle ciało Colloniego bezwładnie zwaliło się na podłogę. Szkliste, nieprzytomne oczy patrzyły w jasność nad miastem, w wielkie wschodzące słońce. W budynku Zastępów rozległy się wrzaski i pokrzykiwania. Ktoś przerażony jęczał: „Chryste!"
Radiwill miał właśnie zamiar podziękować Bogu, ale usta zastygły zamknięte, ręce zacisnęły się na poręczach fotela i opuściła go dusza.

lipiec 1989

Jacek Dukaj

SHORT STORIES PO POLSKU

Nie jestem antyfeministą, jak insynuują mi niektórzy. Dowodem kolejny zestaw short stories – wszystkie wyszły spod piór pań.

Wobec Honoraty Korpikiewicz (And), autorki z Poznania, zachowałem się niegodziwie. Wyjąłem mianowicie jedną smaczną scenkę z jej 25-stronicowej noweli o naukowcach, bo rzecz mnie urzekła, a całe opowiadanie już mniej.

Panią Teresę Truszkowską, znaną poetkę i tłumaczkę z Krakowa, prezentowałem na naszych łamach („Fantastyka" nr 9/86).

Pani Isabel Sabogal Dunin-Borkowska to gość w dziale polskim, który przybył do nas z dalekiej Ameryki Południowej. Jest dzieckiem z mieszanego polsko-peruwiańskiego małżeństwa, osobą dwujęzyczną. Jej opowiadanie „Dni poczęcia" ma charakter feministyczny; feministki, jak wiadomo, kontestują mężczyzn, a pierwszym mężczyzną świata, do którego mają największe pretensje o swą kondycję, jest... Osoba Boga. Myślę, że się Państwu spodoba (i nie wyda zanadto heretycka) ta miniaturka utrzymana w stylu realizmu magicznego, jako ciekawy komunikat z innego świata. Innego w sensie geograficznym, intelektualnym i oczywiście płciowym (około 90% czytelników „Fantastyki" to mężczyźni). (mp)



Isabel Sabogal Dunin-Borkowska

Dni poczęcia

Było to w dniach poczęcia. Nie wszystkie rzeczy miały już imię i trzeba było wskazywać na nie palcem, żeby je nazwać. Świat dopiero wyłaniał się z chaosu, dopiero zaczynał się odróżniać dzień od nocy, światło od ciemności, wody oceanu od twardej ziemi. Zwierzęta jeszcze nie rozumiały, że nareszcie istnieją, chodziły węsząc, przestraszone i pragnąc powrócić znów do snu wiecznego, skąd je nagle wyrwano. Nie rozróżniały się jeszcze, nie wiedziały kogo pożerać i komu dać się pożreć. Rośliny najprzeróżniejsze plotły się między sobą, rozwijały się i rosły w różne strony, nie wiedząc czy szukać światła czy cienia, suchości czy wilgoci. Pachniały mocno i tak upajająco, że same się między sobą zabijały. Pomruk zwierząt i poszum lasu nie dawały się rozróżnić od ciszy, tak wszystkie rzeczy były jeszcze ze sobą splecione.

Nie było prawie domów, oczywiste, wyłaniająca się natura napełniała sobą cały świat, a wśród niej mieszkali Pan Bóg i Aniołowie. Najświętsi pomagali Panu w dokończeniu świata, w nadaniu mu rzeczywistej formy, w wyłonieniu go z chaosu. Pracowali dużo, nie wiem ile dni czy nocy, nie dały się przecież jeszcze odróżnić, tak jak jeszcze nie odróżniały się godziny. Zmęczeni pracą wracali potem do swoich domków i odpoczywali, zjadając małe wieczerze. Panna Najświętsza, najpierwsza stworzona przez Boga, jeszcze przed stworzeniem aniołów, doglądała ich dzieła z daleka i opiekowała się nimi. Wystarczała jej delikatna i cicha obecność, by wypełnić wszystko wokół światłem, szczęściem i miłością. Gdy wychodziła spacerować, to nie Ona tworzyła świat, tylko świat tworzył się dla Niej. Wychodziły z głębi ziemi uwięzione kwiaty, ptaszęta dobijały się, by wyjść ze swych jajek, ziemie chciały się wyłonić spod oceanu, by Ją widzieć, taka piękna była Matka Najświętsza. W Niej wszystko było, nazwana już była Matką przed poczęciem Syna, a nazwana zarazem Panną, Służebnicą Pańską i Królową Najświętszą. Doglądała wszystkiego i ani jeden kwiatuszek, ani najmniejszy ślimaczek nie uciekał przed Jej miłościwym spojrzeniem.

Tak miały się sprawy gdy pewnego razu, o godzinie zbliżonej do wieczornej, pojawiła się przed domem Archanioła Gabriela chuda i bosa dzieweczka. Jako że Archanioł zrazu jej nie dostrzegł, stała cicho, oparta o drewniany płot, wsłuchana i wpatrzona w pulsowanie świata. Gdy nareszcie ją spostrzegł, wykrzyknął zdumiony:

– Kim jesteś i skąd się tu wzięłaś? Pan Bóg przecież jeszcze nie tworzył małej dziewczynki.

Dziewczynka nic nie odpowiedziała, cóż bowiem mogła powiedzieć. Nie miała imienia, nie miała domu, nie miała rodziców jeszcze, bo się to działo w dniach poczęcia. Archanioł przestraszony poleciał zawołać Pana Boga, podczas gdy zgłodniała dziewczynka wyjadała resztki z anielskiego talerza.

– Kto cię stworzył? – zapytał ze złością Pan Bóg, i ponieważ nie odpowiadała, zrozumiał, że stworzyła się sama, że wyłoniła się z chaosu bez Jego planu.

– Gdzie spacerowałaś? – zapytał wtedy Pannę Świętą. – Pewnie weszłaś pomiędzy małpy, do jakiegoś ich stada i uśmiechnęłaś się miłościwie do każdej?

– I owszem – odparła Matka Najświętsza. – I wtedy z małpicy wylęgła się ta dziewczynka, przywołana moją miłością. Jest jeszcze taka dzika! – I nachyliła się nad nią z czułością i pogłaskała jej długie paznokcie, jej twardą i brudną skórę.

Pan Bóg był wściekły.

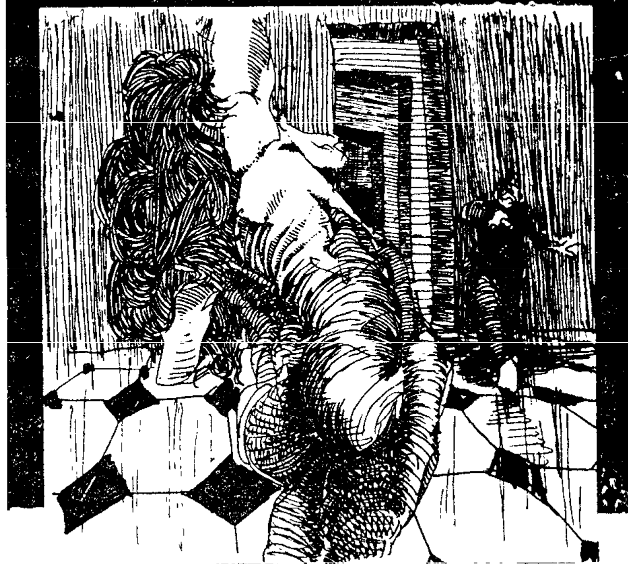
– Teraz – powiedział – zepsuły się wszystkie moje plany. Człowiek stworzony w ten sposób jest dziki, samaś to powiedziała, i pozostanie dzikim aż po wszystkie dni, bo takim został stworzony. Gdybym Ja go stworzył, stworzyłbym nie dzikiego, lecz porządnego człowieka. A teraz.

Anioły płakały ubolewając nad nieszczęściem, zapominając, że człowiek

choć dziki, sam się stworzył z miłości.

A Matka Najświętsza, aż po dziś dzień bardziej jest chwalona przez ród ludzki, niż sam jeden Pan Bóg Wszechpotężny.

Lima, listopad 1980 ■



Jerzy Domino

Honorata Korpikiewicz – And

Akademia Absurdu

– U nas był kiedyś niezły numer. Jeszcze zanim zacząłeś pracować w Akademii – Albert uznał za stosowne podkreślić, że ma dłuższy staż pracy niż kolega. – Wyobraź sobie, raz jeden facet, Zeix mu było, już go tu nie znajdziesz, chciał dotrzeć do granic poznania. Takie miał zboczenie, zamiast pracowicie zliczać, on chciał sięgnąć w głąb najdalej jak tylko można. Miał dostęp do multisignifikatora. Więc udało mu się obejrzeć atom... potem wnętrze atomu... jądro, te wszystkie... cząstki. Gdy dotarł do najmniejszej, podstawowej – kwinosa – zobaczył wzdłuż fali świetlnej cząstki taką maleńką tęczę. A że był dociekliwy, więc i w tę tęczę się zagłębił i tam dostrzegł ciemno świecący, ledwo zauważalny napis „made in Demiurg".

– Taaak? – zdziwił się Edwin. – Znaleźć metkę firmową na granicy poznania... To przykre. Nie chciałbym być w skórze tego Zeixa. I co się z nim stało?

– To jeszcze bardziej przykre. Wyrzucili go z Akademii, bo nie miał osiągnięć naukowych. ■

Teresa Truszkowska

Hotel

Przyjechałam do N. wieczorem. Nigdy dotąd nie byłam w tym mieście, choc słyszałam o nim od dawna. Jego nazwa rozbrzmiewała echem w mej pamięci, jakby to było miasto z książeczki z obrazkami oglądanej w dzieciństwie.

Słońce zachodziło płomieniście nad pochyłymi dachami i wąskimi uliczkami, odrealniając domy i ciemne sklepienia bram. Rzeka, przecinająca miasto, lśniła jak miedziana tarcza.

Postanowiłam zatrzymać się w małym niepozornym hotelu w starej dzielnicy. Mroczny westybul, właściciel hotelu z obrzękłą, senną twarzą – wszystko wyglądało tak, jak powinno w tym starym mieście i o tej porze roku. Idąc po schodach za chłopcem o zgarbionych plecach poddawałam się atmosferze emanującej ze starych murów i kurzu, pajęczyn i wilgoci. Wspinaliśmy się po wąskich schodach do pokoiku na mansardzie.

Gdy chłopak wyszedł, podeszłam do okna – odsłoniło się przede mną morze dachów połyskujących miedzią i czerwienią, koślawe pijane domy, puste ulice, kula słońca niknąca za horyzontem. Małe ogródki wtulone wśród zmurszałych murów, rachityczne łodygi narcyzów i jakichś kwiatów nie znanych mi nawet z nazwy. Wdychałam powiew wieczorny i zapach wilgoci. Za oknami powietrze szumiało niewidzialnymi liśćmi.

Postanowiłam wyjść na przechadzkę. Opustoszałe ulice. Cienie, które zaczynają się wydłużać w oczekiwaniu na nadejście nocy. Pełzną po murach domów i ogrodzeniach. Palczaste ręce cieni coś pokazują. Głowy cieni chwieją się jak baloniki na uwięzi.

Zmęczona spacerem, wróciłam do hotelu. Odnalazłam go z pewną trudnością. Ten sam westybul, właściciel z obrzękłą, senną twarzą. Portier wręcza mi klucz. Pogrążona w myślach zaczynam wolno wstępować na schody. Czerwony, zniszczony chodnik wyściela korytarz jak wszędzie, we wszystkich małych, tanich hotelikach w różnych europejskich miastach, lecz na mansardzie nie było mego pokoju. Otworzyłam przypadkowe drzwi – stare kufry pełne rupieci, nieokreślona duszno-słodkawa woń nigdy nie wietrzonego pomieszczenia. Weszłam na strych. Serce zamarło mi w piersi, gdy usłyszałam szelest. Deski podłogi zaskrzypiały. Nieruchomy zegar stał pod ścianą. Zatrzasnęłam drzwi strychu z ulgą i przeszłam drugą klatką schodową pewna, że już teraz odnajdę swój pokój.

Znowu drzwi opatrzone numerami, innymi niż ten, który był na mym kluczu. Czując narastającą panikę, zaczęłam przebiegać źle oświetlonymi korytarzami, przemierzać schody i w górę i w dół. Korytarze krzyżowały się i łączyły według praw, których nie mogłam żadną miarą pojąć. Logika wnioskowania zawodziła. Odsłaniał się przede mną coraz bardziej zawiły system okrążeń i skrótów – mapa labiryntu nie przystająca do rzeczywistości. Wiedziałam, że godziny nocy mijają, lecz nie byłam pewna, czy świt jest blisko. Lampy świeciły przyćmionym światłem. Opuszczała mnie nadzieja, że trafię do swego pokoju.

Słyszałam obce szepty i głosy za drzwiami, które mijałam. Stłumione szlochy i krzyki, litanijne wezwania jakby wypowiadane przez umarłych. Nie wiedziałam, czy sama jeszcze istnieję krążąc tak bez końca wśród wygaszonych cieni, w plątaninie struktur na zawsze mi obcych. Za wszelką cenę chciałam jednak dociec, na czym polega ten układ, gdzie coś łączy się lub zrywa. Powoli jednak ujawnił mi się antyświat, w którym poszczególne wycinki istniały paralelnie jak zamknięte enklawy, mające sens odniesienia tylko wewnątrz siebie samych. Musiałam przeskakiwać nie istniejące przęsła powiązań, zdana na bezustanną akrobatykę myśli. Poznawałam układ pozbawiony ciągłości, a przez to tym bardziej fascynujący przez niespodzianki i warianty przystosowań. Każdy poziom miał inną perspektywę i nie przystawał do następnego. Powrotne drogi zaczynały się na innym piętrze. Hierarchia pionu przesuwała się na obrotowych blokach czasu. Nic nie miało określonego miejsca w czasie ani w przestrzeni. Moje myśli przesuwały się stosownie do zachodzących zmian. Opuszczało mnie powoli przerażenie. Zaczęła się niefrasobliwa zabawa z czasem. Żonglowałam swym życiem coraz szybciej i zręczniej. Nie tęsknię już do swego pokoju, do miasta ani do poprzedniej egzystencji. Nie żałuję tego, co minęło, zawieszona w beztrosce, którą daje nietrwałość. ■

Pompa

Andrzej Urbańczyk

Czekaliśmy na nich od dawna, odkąd pierwszy raz srebro gwiazd przejrzało się w oczach Neandertalczyka. Czekaliśmy z wiarą, radością, nadzieją. Z lękiem zawodu, odkąd myśl człowiecza wymierzyła odległości gwiazd.

Czekaliśmy tytanów, gigantów mądrości i ducha. Herosów wzniosłych, odważnych i niezwykłych. Mieli być szczodrzy, wyrozumiali, bogaci, pełni pokoju – bowiem człowiek wyposażył ich w te cechy, o jakich sam marzył w gorzkim bólu.

Gdy dopełniły się lata i wreszcie nastał wielki dzień, bezmiar oczekiwań był tak ogromny, że trudno przyszło uwierzyć w jego prawdziwość. Ale oni przybyli naprawdę, tnąc sfery kosmosu na swych wspaniałych latających maszynach. Dumne były ich oczy, mądre czoła, gdy uśmiechając się wyciągali ku nam swe mocne dłonie.

Nazwaliśmy ich braćmi – choć nikt nie wiedział skąd przybywają i jaka moc pozwala ich wspaniałym latającym maszynom gubić, hen za sobą, promienie światła. Maszynom które, zapewne by nas nie zawstydzać, zostawili daleko, daleko od Ziemi.

Tak zaczęła się nowa era, bowiem wielki dzień odmienił życie każdego z Ziemian.

Witano ich szczerą dłonią i słowem braterstwa. Kobiety nie żałowały kosmicznym braciom kwiatów i swych ciał. Poeci rymów, myśliciele pochwały...

Usuniemy wszystkich tyranów, satrapów, krwiopijców. Zło wszystkie jakie niewidzialną nicią pęta wasze dni. Usunęli. *Wyplenimy z tkanek waszych choroby, ból, głód, ciemnotę i niewiedzę.* Wyplenili. *Zniknie niewola, nieszczęścia, smutek.* I tak się stało.

Pojaśniały wówczas ludzkie oczy, piękniej zaczęły bić serca. Nawet nasza stara Ziemia nabrała blasku, jak gdyby niewidzialna ręka przetarła pachnącą gąbką stary, zakurzony globus...

Nie dziękujcie – powiedzieli tytani. *By jednak nigdy więcej nie lęgły się złe myśli – pozwólcie dodać sobie do waszych pięknych fryzur po jednym włosie. Jednym maleńkim, niezauważalnym włosie...*

Ludzie nie mieli nic przeciwko temu. Włos był czarny dla tych, których natura obdarzyła kruczym skrzydłem. Złoty dla tych o spadającej na czoło strzesze barwy jarej pszenicy. Srebrny – jeśli los pozwolił dożyć sędziwej starości.

Włos, gdyby go włożyć pod mikroskop, miał w sobie cieniutki drut. Drut biegł do najniższych pięter mózgu. Niewidocznie, bezboleśnie, niewinnie. A wszystko to po to, by zło nie mogło ukryć się w żadnej z głów.

Możecie strzyc się jak tylko się wam podoba, drodzy bracia – powiedzieli. *Nasze odbiorniki przestrajają się same. Nie ma o czym mówić.* Tak oddaliśmy w zastaw swoje myśli...

By szczęścia zdroje stały się pełne, by zbiory żniw kosmicznej myśli dzielić pospołu, przybysze dali nam jeszcze jedną rzecz. Maleńką opaskę zakładaną na ramię. Jak by to opisać... – no, coś w rodzaju mankietu do mierzenia ciśnienia krwi. Oczywiście znacznie ładniejszego. Urządzenie było po pierwsze o wiele węższe i cieńsze. Miało kolor ciała – czy to mahoniowego Alego, żółtej Li, czy najzwyklej białego Staszka. Jeśli dodam jeszcze, że przylegało do skóry niezwykle mocno – nie trzeba objaśniać, że było prawie niedostrzegalne.

Czy nie uwierało? Ha, w tym cały dowcip, że choć zdawało się wpijać w ciało, nie czuło się go zupełnie. Ale do zamraczającej techniki Tamtych przyzwyczailiśmy się już od wielu lat.

Jeszcze bardziej niezwykłe rzeczy można było dostrzec, jeśli się popatrzyło – ot przez zwykłą lupę, na tę stronę mankietu, która normalnie kryła się pod ramieniem. Istna fabryka! Z małych, przezroczystych rureczek płynęły małe, niemal niezauważalne, przezroczyste kropelki spadając do nie grubszej niż igła probóweczki. Tych cienkich przewodów, rozrzuconych na obwodzie opaski, musiały być chyba tysiące...

Co zbierało się w mikroprobówce? Nikt tego nie wiedział. Nie była to na pewno ani krew, ani plazma, ani żaden znany nam płyn fizjologiczny – to fakt... Bo pewien profesor, biochemik zbadał ten dziwaczny ekwipunek – otworzył probówkę i przez kilka miesięcy usiłował zanalizować zbierany płyn. Bezskutecznie. O zdejmowaniu opasek napiszę wkrótce.

Co działo się gdy probówkę napełniła ciecz? Bo, domyślacie się oczywiście! Zabierano, wstawiając na jej miejsce nową. Żadnego kłopotu – bowiem Oni potrafili wszystko zorganizować tak, że nam się nawet nie śniło. Żadnego kłopotu, ot raz na rok odsyłało się w specjalnej zwrotnej kopercie napełniony mikropojemnik i wstawiało nowy. Raz na rok, bo, jak powiedziałem, to urządzenie to była cała fabryka – oczywiście jeśli się ją włożyło pod lupę. Ze spływających z ciała kropelek zawiłość niepojęcie małych retort, destylarek i wirówek gromadziła zaledwie miliułamek masy. Ot, tak na oko, jedną tysięczną. Pewnie samą, jak się to mówi, kwintesencję. Na co była im ta substancja, ba – co to w ogóle za płyn – nie można się było dowiedzieć nawet pchając ją pod najlepszy mikroskop.

No dobrze, ale powiedzmy gdyby ktoś nie odesłał napełnionej probówki? No, wtedy pojawiały się kłopoty, bo nie miał przysyłanej z kopertą następnej? No a jak nie miał następnej? Oj, niedobrze! Wtedy bowiem pojawiały się bardzo duże kłopoty...

Jak się to stało, że dziesięć miliardów ludzi dało się tak ujarzmić? No,

słownik autorów fantastyki

Urbańczyk Andrzej

(ur. 1936)
Inżynier, żeglarz, autor SF

Urodził się 1 marca 1936 roku w Warszawie. W 1960 r. ukończył Wydział Chemii na Politechnice Gdańskiej. Od 1970 r. przebywa w Stanach Zjednoczonych. Współbudowniczy próbników WIKING I i WIKING II. W 1981 r. kierownik polsko-amerykańskiej wyprawy na wulkany Meksyku. Żeglarz: 1978-1979 samotny rejs San Francisco-Jokohama-San Francisco na 7,5-metrowym jachcie NORD III (pierwsze polskie przejście Północnego Pacyfiku), 1983-1984 samotny rejs wokółziemski na 9,5 metrowym NORD IV w rekordowym czasie. „Żeglarz roku 1984".

Autor 15 książek tłumaczonych na 12 języków. Jako twórca SF debiutował w 1955 r. opowiadaniem „D-N-13" na łamach „Młodego Technika". Swoje teksty zamieszczał w „Horyzontach Techniki", „Młodym Techniku", „Fantastyce". W 1958 r. wydał zbiór **„Eksperyment profesora Kregera. Opowiadania fantastyczne"** (Prasa-Książka-Ruch, Warszawa, zawartość: DN-13, Eksperyment profesora Kregera, Przeklinam).

Opowiadania Andrzeja Urbańczyka, pisane w latach pięćdziesiątych, mówią o cudownych wynalazkach, paradoksach czasu, kontakcie z innymi cywilizacjami i stanowią typowy przykład technicznej science fiction. W późniejszych utworach dochodzą do głosu tematy socjologiczne, a zwłaszcza kwestia samotności człowieka w Kosmosie, w społeczeństwie oraz próby jej przezwyciężenia. Fantastyka naukowa staje się dogodnym sposobem obserwacji obyczajowej, refleksją nad zasięgiem twórczego założenia świata, ingerencji w prawa przyrody, natury, psychiki.

Andrzej Niewiadowski



Mirosław Sołtys

nieprosta sprawa. Po pierwsze co komu ta opaska szkodziła? Że oddawaliśmy (no po co zaraz pisać „Zabierano"...) coś, co chyba było człowiekowi zupełnie niepotrzebne? Proszę jednak pamiętać, że postawiono nam fabryki, jakich świat nie widział. Że nasze farmy rodziły nieprawdopodobnie. Że dbano o nasze zdrowie tak, iż ludzie zapomnieli co znaczyło być chorym czy cierpiącym. Że zniknęli tyrani, krwiopijcy i wszyscy ci dranie jacy rzekomo ofiarują swe życia dla dobra społeczeństwa. Pamiętajmy też, że dbali o nas samych – uczyli, przestrzegali, śpieszyli z pomocą. Zachęcali, by zakładać rodziny, mieć dzieci – wiele dzieci – bowiem dzieci są przecież szczęściem rodziców.

Skoro już o dzieciach – dodam, że opasek wcale nie trzeba było zmieniać. Raz założona, po urodzeniu, powiększała się stopniowo w miarę wzrostu niemowlęcia, by starczać do ostatnich dni.

Czy jednak, mimo wszystko, nie przyszła ludziom ochota się zbuntować? No powiedzmy, że przyszła. I co z tego? No co, jak można się zbuntować przeciwko tym, którzy nie mieli trudności wyperswadować czterem supermocarstwom by „dla ich własnego dobra i uniknięcia nieporozumień" oddać te wszystkie atomówki, lasery i anihilatory. Na mój rozum, jeśli ktoś odebrał generałom raj śmierci – to on potrafi wszystko i żadna siła się tu nie ostoi.

Zresztą, znali nasze myśli, najtajniejsze, których człek przecież nawet samemu sobie do końca nie wypowiada. I nic tu nie można było zmieniać, choćby człowiek i włosy rwał z głowy. Oczywiście, byli tacy, co buntowali się – bo zawsze znajdą się ludzie bezrozumni. No, ale ci...

Nie, skądże! Nie zapominajcie o Ich humanitarnym stylu, jaki szedł równym i szczerym krokiem z niepojętą techniką. Żadnych tam więzień, haków w ścianach, pałek przetrącających kręgosłupy. Żadnych egzekucji. Jeśli złe myśli zaczynały lęgnąć się pod uwierającymi czaszkami – ludzie tacy po prostu znikali. Znikali, jak gdyby nie istnieli nigdy.

A Tamci wiedzą przecież wszystko. Przemawiają do nich nie tylko nasze mózgi, ale twarze, oczy, uszy. Mówią nasze dzieci, drzewa, meble, guziki wytwornych ubrań, w jakie zostaliśmy odziani i tomiki poezji, te co wciąż jeszcze ustawiamy na półkach, niesłychanej gładkości.

Więc lepiej, tak myślę, nie zwracać uwagi na „pompę" jak pospolicie nazywa się niepojętą opaskę – bo przecież ani ona uwiera, ani przeszkadza, gdy człowiek kąpie się w kryształowej wannie, w której zaklęto tęcze muszli polinezyjskich atoli, ani gdy prowadzimy nasze niezwykłe pojazdy, szybujące bezszelestnie bez grama paliwa w kształtowanych dłutami arcymistrzów kadłubach. W pisaniu też nie wadzi – widzicie.

Tak samo lepiej, bo i po co, nie słuchać tych co – gdy im rozum się miesza – w głębinach najniższych, osłoniętych betonem podziemi, na migi – by ich nie słyszały nawet ściany, pokazują trwożnym gestem na opaskę, na swe kołaczące serce i czoło. Gest ten oznacza: „Ta aparatura wysysa moją duszę".

Co do mnie – to nie wiem czy Oni zabierają nasze, tak obficie rodzące się w nowych, wspaniałych miastach, dusze. Wiem jednak na pewno, że jest to rzecz wymiaru kosmicznego, coś co przerasta naszą wiedzę, ba, naszą wyobraźnię.

No dobrze, ale tak mimo wszystko – bo człowiek ma swoją przekorę, ma sprzeciw i bunt. Ma je, obojętnie jaka stoi za ich przełamanie kara... Czy nie można zdjąć, odciąć, zedrzeć tej makabrycznej opaski? Można – tak łatwo jak rozpoczyna się nowy dzień czy zwrotkę pieśni przy gnącym się, od dotąd nieznanych specjałów, weselnym stole. Wszystko można i wszystko wolno. Do diabła!

Można więc ściągnąć to draństwo, cisnąć na nie znający plam cedr parkietu i tłuc, tak twardym, że nigdy nie zdzierającym się, obcasem – aż przestanie działać. Na zawsze!

Tylko wtedy... Tylko wtedy następuje to, o czym lojalnie powiadomili nas Tamci. Wtedy przestaje działać człowiek. Na zawsze...

San Francisco, 1985

Jakkolwiek w ostatnich latach kwestionuje się pokrewieństwo literatury SF z baśnią, przypisując im zupełnie różne funkcje, trudno zaprzeczyć koneksjom baśni i fantasy – jej współczesnej, literackiej odmiany. Ażeby uniknąć nieporozumień, o których pisze Stanisław Lem w posłowiu do polskiego wydania „Czarnoksiężnika z Archipelagu", zarzucając amerykańskiej krytyce spłycanie problemu podziałów gatunkowych, najlepiej będzie przeprowadzić porównanie między baśnią a fantasy konfrontując poszczególne elementy świata przedstawionego i ich funkcję.

Magiczne zwierciadła baśni i fantasy

Grażyna Lasoń

Podstawowa zbieżność wynika już z faktu przynależności obu gatunków do fantastyki – w obu przypadkach więc całokształt zaprezentowanych zjawisk stoi w opozycji do utrwalonego społecznie sposobu rozumienia rzeczywistości.

Elementarną jednostką konstruującą świat przedstawiony każdego utworu są motywy. Baśń, będąca gatunkiem folklorystycznym, posiada wiele tak zwanych motywów obiegowych, wędrownych, powtarzających się w wielu różnych przekazach, a niekiedy i w różnych kulturach. Są nimi pewne zdarzenia, sytuacje lub przedmioty. W wielu baśniach przedmioty nabierają szczególnego znaczenia, stając się centralnym punktem akcji, jak choćby pantofelek w „Kopciuszku", czy wrzeciono w „Śpiącej Królewnie". To właśnie dzięki ich pojawieniu się w kulminacyjnym momencie opowieści następuje zwrot wydarzeń – pantofelek zostaje odnaleziony przez królewicza, co odmienia życie Kopciuszka, a wrzeciono powoduje stuletni sen królewny, dając jednocześnie szanse jej odczarowania. Rekwizyty mają więc ogromny wpływ na losy głównych postaci, a nie odwrotnie.

Inaczej rzecz wygląda w fantasy. Jako doskonały przykład posłużyć może jedno z arcydzieł tego gatunku, trylogia J. Tolkiena „Władca Pierścieni". Losy tytułowego Pierścienia uzależnione są tutaj od postaw i zachowań bohaterów. Mogą go zniszczyć lub rozporządzać nim na własny użytek. Sprawa komplikuje się tym bardziej, że magiczny pierścień działający na zasadzie czapki-niewidki wychodzi poza ramy zwykłego rekwizytu – jest symbolem zła, żyje jakby własnym życiem i stara się zaprząc na swoje usługi bohaterów.

Przedmioty w fantasy nie determinują akcji, choć często leżą u podstaw jej konstrukcji; jak w wymienionym przykładzie lub w innej książce tego samego autora: „Hobbit, czyli tam i z powrotem", gdzie motywem przewodnim jest skarb skradziony przez smoka, po którego odzyskanie wyprawiają się główni bohaterowie.

Do motywów występujących w obu gatunkach należą również posiadające szczególne znaczenie, cudowne wydarzenia. Najczęściej spotyka się zmianę postaci, obdarowanie przedmiotem posiadającym cudowne właściwości, korzystanie z zaczarowanego zwierciadła. Zmiana postaci pojawia się w różnych baśniach magicznych, nigdy jednak człowiek nie przekształca się dobrowolnie, ale zostaje w ten sposób ukarany. Forma egzystencji ludzkiej jest tu więc uznana za najlepszą z możliwych. Opisywaną umiejętność posiadają postacie fantastyczne, jak czarodzieje i wróżki, i wykorzystują ją zazwyczaj w złych zamiarach. Jest to jeden z tych baśniowych motywów, które budzą strach czytelnika, zwłaszcza dziecięcego, apelując do jego podświadomych lęków. Nawiasem mówiąc, folklorystyczny motyw przekształcania się zawsze budził ujemne emocje – przykładem słowiańskie wilkołaki.

W fantasy zmiana postaci zostaje pozbawiona wartościującego znaczenia, choć nadal nie każdy może jej dokonać. Ged – bohater książki U. Le Guin „Czarnoksiężnik z Archipelagu" – uczy się tej umiejętności przez wiele lat, a kiedy ją w końcu zdobywa, nie przestaje być ona ryzykowna. Zbyt długie przebywanie w innej postaci grozi utratą człowieczeństwa – nie można bezkarnie zmieniać się w coś innego, nie tracąc jednocześnie swej prawdziwej istoty.

Również motyw obdarowania cudownym przedmiotem występuje równolegle w baśniach dawnych i współczesnych, choć funkcjonuje na innych zasadach. W pierwszym przypadku otrzymanie zaczarowanego stolika, latającego statku, czy złotonośnej kury służy zaspokojeniu własnych pragnień i potrzeb bohatera. W drugim służy mu jedynie pomocą, wówczas, gdy człowiek okazuje się bezradny, jak cudowne szkiełko Galadrieli, w powieści Tolkiena, czy róg, który jest wszędzie słyszany w „Lwie, czarownicy i starej szafie" C. Lewina.

Posługiwanie się czarodziejskim zwierciadłem to motyw znany choćby ze „Śnieżki", wprowadzonej do kanonu baśni przez braci Grimm. Narcystyczne przeglądanie się macochy w lustrze nie budzi pozytywnej oceny czytelnika, gdyż wywołuje jej zazdrość o pasierbicę. Również wszelkiego rodzaju szklane kule, którymi posługują się czarownice, służą zazwyczaj złym mocom. Dzieje się tak być może dlatego, że już sam fakt podglądania zakodowany jest w psychice jako coś złego.

Korzystanie z czarodziejskiego zwierciadła w przytaczanej już trylogii Tolkiena nabiera nieco innego charakteru. Bohaterowie oglądają warianty przyszłości, nie wiedząc, który z nich się spełni; lustro ukazuje bowiem i te obrazy, które się nie urzeczywistnią, jeśli oglądający je będą próbowali temu zapobiec. Odsłanianie przyszłości jest tu więc pożyteczne – służy jako przestroga, napomnienie, stawia przed problemem wyboru drogi życiowej.

Ważnym elementem świata przedstawionego w utworze literackim jest bohater. Baśń charakteryzuje się daleko posuniętą typizacją bohatera, którą wyznacza jej konwencja; muszą tu istnieć postacie zdecydowanie złe i dobre, i musi dojść do konfrontacji między nimi, w efekcie której zwycięża oczywiście bohater pozytywny. Po obu stronach opowiadają się tak postacie realistyczne, jak i fantastyczne. Wśród tych ostatnich istnieje nawet pewien ustalony porządek; smok i olbrzymy zawsze bywają głupie i żarłoczne, a krasnoludki wytrwałe i pracowite. Bohaterowie fantastyczni obdarzeni są zawsze niezwykłymi cechami – mogą to być cechy zarówno fizyczne, jak np. wielki lub bardzo mały wzrost, nadludzka siła i szybkość, a także psychiczne – umiejętność czarów. Cały ten arsenał nadprzyrodzonych środków podobnie jak pojęcie sprawiedliwości są w baśni niezawodne. Czarodzieje i wróżki spełniają każde życzenie, a rycerze zawsze zwyciężają smoki i jak dowcipnie zauważa St. Lem w „Fantastyce i futurologii" nie zdarza się *żeby się dżin spóźnił, bo się czar popsuł*[1] lub *żeby smok zjadł w końcu rycerza i aby stało się tak jeszcze dlatego, ponieważ rycerz pośliznął się na łupinie banana*[2].

W fantasy pojawiają się postacie dobre, ale bezsilne wobec zła i bohaterowie, dla których istnieją, mimo czarodziejskiej mocy, rzeczy niemożliwe. Dobrym przykładem może być opowiadanie U. Le Guin „Magiczne słowo", gdzie toczą walkę dwaj czarodzieje, z których jeden, choć jest postacią pozytywną, przegrywa. Również Gandalf i elfy z „Władcy Pierścieni" nie są wszechmocni – boją się własnej słabości, nie chcą przejąć misji i zniszczenia Pierścienia.

W każdej baśni magicznej cechy postaci fantastycznych służą poczynaniom bohatera realistycznego i nie bywa tak, aby walczyły ze sobą dwie Baby Jagi i w dodatku w swojej sprawie. W fantasy, właśnie dzięki nadaniu ludzkich cech postaciom nadludzkim, może dojść do takiej konfrontacji. Ged – czarnoksiężnik z Archipelagu łączy w sobie cechy bohatera realistycznego i fantastycznego, ponieważ jesteśmy świadkami jego czarodziejskiej edukacji, obserwujemy ciężkie doświadczenia związane z wyborem drogi życiowej.

Znamienny jest fakt, że bohaterami dawnych i współczesnych baśni są zazwyczaj dzieci lub ludzie młodzi, zawsze ukazani w działaniu i bardzo często w walce. Regułę tę wyznacza temat wspólny dla obu gatunków – odwieczna walka Dobra ze Złem, zarówno w świecie zewnętrznym, jak i w samych bohaterach. Dlatego właśnie są nimi ludzie, którzy nie przekroczyli jeszcze progu dojrzałości, nie są ukształtowani, a tym samym podatni na oddziaływanie tych dwóch sił.

Życie baśniowych postaci nigdy nie jest ukazane w jakiejś konkretnej realności; nie spotykamy opisów krajobrazów, czy szczegółów codziennej egzystencji, jak toaleta, posiłki itd., natomiast bohaterowie fantasy nie tylko walczą w słusznej sprawie, ale i troszczą się, co będzie się dziś jadło, i czy wygodnie będzie się spało. W baśniach magicznych, jak słusznie zauważa Bruno Bettelheim, nie ma obserwacji młodego bohatera od wewnątrz, nie śledzimy jego stanów psychicznych, lecz jedynie ich efekty; Kopciuszek p ł a c z e na grobie matki, a nie t ę s k n i za nią, Jaś i Małgosia u n i c e s t w i a j ą czarownicę, a nie jej n i e n a w i d z ą. Ponadto żadna z tych i innych postaci nie jest mściwa, każda potrafi puścić w niepamięć czyny swego prześladowcy, choćby wcześniej dybał on na jej życie. Konflikt trwa tu tylko dopóty, dopóki nie zostaje rozwiązany i nigdy zło nie zostawia rysy na psychice pozytywnego bohatera.

W fantasy zarówno postacie realistyczne, jak i fantastyczne są wielowymiarowe, nie zawsze zdecydowanie złe lub dobre. Widzimy je w działaniu, ale również obserwujemy wewnętrzne rozterki, śledzimy wzloty i upadki. Elfy, fauny i czarodzieje rodem z fantasy odczuwają smutek, radość, zazdrość i inne stany właściwe ludzkiej naturze. Nie mniej ciekawym zagadnieniem wchodzącym w zakres świata przedstawionego jest czas i przestrzeń literacka. Czas baśniowych opowieści jest kategorią odległą i bliżej nieokreśloną, większość z nich zaczyna się od określeń „dawno, dawno temu", „pewnego razu" lub „przed laty", które sugerują czytelnikowi, że opisywane wydarzenia rozgrywają się w baśniowym „nigdy". Jed-

nym z najpiękniejszych sformułowań jest początek „Żabiego króla", baśni umieszczonej w zbiorze braci Grimm, a zaczynającej się od słów: *W dawnych czasach, kiedy życzenia jeszcze się spełniały*. Umieszcza on wydarzenia w baśniowym czasie, zgodnym z dziecięcym pojmowaniem rzeczywistości, kiedy to wszyscy jeszcze wierzymy, że życzenia właśnie kształtują nasze życie. Bruno Bettelheim twierdzi, że sytuuje on opowieści *nie w czasie i w miejscu, które odnoszą się do rzeczywistości zewnętrznej, ale w pewnym stanie umysłu – w duchowości młodej istoty ludzkiej*[3].

Czas baśni płynie szybko i jest podporządkowany poczynaniom bohaterów. Akcja opowieści rozgrywa się często w parę dni, a nawet jeśli Śpiąca Królewna pogrąża się w stuletnim śnie, to trwa on tylko tyle, ile potrzeba, aby przybył królewicz, który zdejmie zaklęcie. Nie ma natomiast relacji z wydarzeń, które rozegrały się w ciągu całych stu lat. Czas jest tu traktowany symbolicznie, umownie.

W fantasy przeciwnie, jest kategorią konkretną, namacalną. Opowieści zazwyczaj usytuowane są w przeszłości, choć niekoniecznie musi mieć ona odniesienie do jakichkolwiek znanych nam kalendarzy. Tak jest w przypadku twórczości Tolkiena; w świecie, który autor kreuje, wydarzenia rozgrywają się w okresie konkretnym, choć nie mającym historycznego odnośnika. W omawianej już trylogii czas fabularny ma znacznie szerszy zasięg niż czas narracji. Wychodzi on poza ramy relacjonowanych wydarzeń, rozrastając się do napisanego na ostatku „Silmarilliona" – książki, która wprowadza nas w okres odległy wstecz o tysiąclecia. Aby ukonkretnić swą opowieść, autor obdarza trzytomowe dzieło rocznikarskimi dodatkami, w których czas płynie jednak inaczej dla różnych plemion, liczony jest bowiem za pomocą różnych kalendarzy. Zaciemnia to organizację czasową książki, sugerując, że wydarzenia nie rozgrywają się „nigdy", ale mogą się dziać „zawsze"

Problem czasu rozwiązany zostaje w fantasy również w inny sposób; może on płynąć równolegle z naszym, w jakimś alternatywnym świecie, do którego przeniesieni zostają bohaterowie. Tak dzieje się w cyklu „Opowieści z Narni" C. Lewisa i w „Świecie czarownic" A. Norton. Bohaterowie utworów Lewisa krążą między Anglią a Narnią powracając zawsze do swojej realności w tym samym momencie, w którym ją opuścili. Czas w Narni – fantastycznej krainie, pełnej mówiących zwierząt i dzielnych książąt – płynie niejednakowo; to zwalnia, to przyśpiesza swój bieg. W przerwach między kolejnymi odwiedzinami mijają tam lata lub tylko jedna chwila.

Miejsce akcji opowieści baśniowych jest bliżej nieokreślone, bo znane „za siedmioma morzami, za siedmioma górami" lub „daleko, daleko" znaczą tyle co „nigdzie". W fantasy zmienia się ono nieustannie; przed oczami czytelnika wiją się kręte drogi wśród gór i nizin, płyną rzeki, archipelagi migają wśród mórz, a wszystko to może znajdować się po prostu „wszędzie". Aby jednak uprawdopodobnić opowiadane historie autorzy nadają miejscom akcji nazwy zazwyczaj nie mające rzeczywistego odpowiednika, chociaż fikcyjnych mapek i szczegółowych informacji geograficznych nie brakuje, jak u Lewisa i Tolkiena.

Świat elfów, hobbitów i krasnoludów umiejscowiony jest gdzieś na Ziemi, ale Ziemi innej niż ta, którą znamy. Przestrzeń narnijskiego świata sąsiaduje z naszą, ale wejście jest ukryte i ukazuje się tylko tym, którzy mają tam trafić. Może nim być obrazek wiszący na ścianie, stara szafa lub drzwi w szkolnym murze.

Baśniowy bohater boryka się z zaczarowanymi przeszkodami, ale nigdy nie miał kłopotów z pokonaniem trasy swej wędrówki, nawet


Mirosław Sołtys

jeśli była ona daleka. Często z pomocą przychodziły mu latające dywany, czy inne rekwizyty, a jeśli szedł o własnych siłach, to nigdy góry, lasy i morza nie stanowiły dla niego poważniejszej przeszkody. Postacie fantasy walczą nie tylko z czarną magią, ale i z naturalnym ukształtowaniem powierzchni geograficznej. Hobbici Tolkiena i dziecięcy bohaterowie narnijskich opowieści Lewisa opadają z sił w wędrówkach, wspinają się na szczyty, przedzierają przez bagna i niejednokrotnie muszą zawracać z obranej drogi.

Przestrzeń w fantasy staje się samodzielnym, konstrukcyjnym elementem utworu, kształtuje jego fabułę i nabierając znaczeń symbolicznych, również temat, bo czymże innym są ciągłe wędrówki bohaterów jak nie wiecznym poszukiwaniem celu w życiu, dążeniem do samookreślenia. Wiktor Woroszylski napisał kiedyś, że powieść Tolkiena traktuje o tym *co jest naprawdę – że świat jest rozległy i pełen tajemnic, że są w nim rozmaite drogi do przebycia i bezdroża też do przebycia*[4].

Problem tematu i odbioru baśni, przeznaczonej w przeciwieństwie do fantasy głównie dla dzieci, interesował krytyków już od dawna. Każdy czytelnik dziecięcy intuicyjnie, a dorosły świadomie, rozpoznaje w niej ten rodzaj twórczości, w którym, najprościej mówiąc, pisze się o czymś, chcąc powiedzieć o wiele więcej.

Baśń traktowano nie zawsze dobrze, raz zarzucając jej nadmierne okrucieństwo, innym razem szkodliwość z powodu rzekomo destrukcyjnego wpływu fantazji na psychikę młodego odbiorcy. W ostatnich latach jednak, szczególnie gdy w literaturę wkroczyła jej współczesna, literacka wersja – fantasy, zainteresowanie baśnią stało się ogromne.

Na gruncie polskiej krytyki rewolucję spowodowała wspomniana już tu książka Bruno Bettelheima, amerykańskiego psychoanalityka: „Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni". Autor pracy zrywa z dotychczasowym pojmowaniem baśni jako ucieczki od rzeczywistości, rozszerzając jej funkcję na kształcenie, wychowanie, a przede wszystkim psychoterapię. Każda baśniowa opowieść jest według niego opisem konfliktu wewnętrznego, który zostaje zintegrowany w pozytywnym zakończeniu. Treść ta jest oczywiście ukryta i odbierana przez dziecko w sferze nieświadomej. Trudno by było przypisać taką rolę fantasy, tworzonej przez Tolkiena, Lewisa, czy Le Guin.

I tu tkwi pierwsza i podstawowa różnica w odbiorze – baśnie magiczne wkraczają o wiele głębiej w psychikę odbiorcy, prawdopodobnie dlatego, że będąc wyrazem zbiorowej nieświadomości zawarły w sobie wiele podstawowych problemów egzystencjalnych. Zakodowane są one w omówionych już motywach wędrownych i głęboko ukrytej symbolice. Właśnie językiem symbolu, obrazu, a nie rzeczywistości przemawia do czytelnika baśń magiczna. Fantasy nie można interpretować psychoanalitycznie – o tyle tylko ociera się ona o podświadomość, o ile wykorzystuje znaczenie baśniowych archetypów. Przykłady symboliki tego typu można by mnożyć; będzie to ukryte znaczenie przedmiotów i zjawisk takich jak: jabłko, krew, las, zwierzę, śnieg itp. W fantasy wszelkie umowne formuły zastąpione zostają realnością, choć jest to rzeczywistość pełna czarów i magii.

Ponieważ adresatem baśni magicznej jest dziecko, opowieści konstruowane są zgodnie z jego predyspozycjami psychicznymi, stąd krótkie, proste zdania i zwięzła, jednowątkowa fabuła. Animistyczna wizja świata, a więc wszelkie rozumne zwierzęta i zjawiska, jak



słońce, czy księżyc, są właśnie odzwierciedleniem sposobu myślenia dziecka. Czytając utożsamia się ono z głównym bohaterem i w wyobraźni przeżywa z nim wszystkie przygody. Aby umożliwić pełniejszą identyfikację, początek każdej opowieści umiejscawia bohatera w jakiejś sytuacji realistycznej, później wkracza on w świat fantastyczny, by na koniec powrócić do rzeczywistości.

W fantasy pozbawionej funkcji dydaktyczno-wychowawczych, początek zazwyczaj przenosi nas od razu w fantastyczne krainy, pełne tajemniczych zjawisk, dobrych i złych mocy. Jednakże w obu przypadkach świat przedstawiony nie jest obiektywny, lecz ukazany z punktu widzenia postaci pozytywnej. Zło jest zawsze figurą zamkniętą i jednoznaczną, wiemy o nim tylko tyle, że istnieje, nigdy nie bada się jego źródła i przyczyny. Wiele baśni magicznych uczy sposobu rozpoznawania i zwalczania go, współczesne ukazują różne drogi walki, za żadną się nie opowiadając.

W fantasy nie znajdziemy jawnych tendencji moralizatorskich, które występowały w „Czerwonym Kapturku" i innych opowieściach. Dydaktyzm ogranicza się tu do stwierdzenia W. Woroszylskiego, *że są w życiu różne cele i konieczności, różna determinacja i wolność, że życie jest szukaniem siebie (w sobie i poza sobą), zmaganiem się z obcą potęgą i własną słabością (...), że wielki podział istnieje, ale nie zawsze łatwo rozpoznać strony, nie ulec pozorom, nie popełnić gorzkiego błędu*[5]. Wypowiedź ta dotyczy „Władcy Pierścieni", ale jednocześnie określa temat każdej wartościowej fantasy, która mimo wszystko nie jest tylko zabawą i relaksem dla czytelnika. Rezygnując z morału, uaktywnia odbiorcę, zmusza go do myślenia, oddziaływując nie tylko w sferze emocjonalnej, ale i intelektualnej.

Jednakże obie formy twórczości fantastycznej niewątpliwie kształtują psychikę czytelnika. Treść jednej z najstarszych baśni świata, opowieści ramowej z „Księgi tysiąca i jednej nocy", w której król przechodzi metamorfozę właśnie pod wpływem opowiadanych przez Szeherezadę baśni, jest więc wciąż aktualna.

Grażyna Lasoń

Przypisy

1. St. Lem, *Fantastyka i futurologia*, Kraków 1970, T. 1, s. 66.
2. Tamże, s. 66.
3. B. Bettelheim, *Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni*, Warszawa 1985, s. 131.
4. W. Woroszylski, *Droga do Ognistej Góry* (W:) Więź nr 10, 1982, s. 156.
5. Tamże, s. 156.

Bibliografia

1. Bettelheim Bruno, *Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni*, Warszawa 1985.
2. Grimm Wilhelm i Jakub, *Baśnie braci Grimm* Warszawa 1986
3. *Księga tysiąca i jednej nocy* (wybór), Warszawa 1982.
4. Le Guin Ursula, *Czarnoksiężnik z Archipelagu*, Kraków 1983.
5. Le Guin Ursula, *Wszystkie strony świata*, Warszawa 1980.
6. Lem Stanisław, *Fantastyka i futurologia*, Kraków 1970.
7. Lewis Clive Staples, *Lew, czarownica i stara szafa*, Warszawa 1985.
8. Lewis Clive Staples, *Podróż Wędrowca do świtu*, Warszawa 1985.
9. Lewis Clive Staples, *Srebrne krzesło*, Warszawa 1987.
10. Norton Andre, *Świat czarownic* (w:) „Fantastyka" nr 9, 1983.
11. Tolkien John R.R., *Hobbit, czyli tam i z powrotem*, Warszawa 1985.
12. Tolkien John R.R., *Silmarillion*, Warszawa 1985.
13. Tolkien John R.R., *Władca Pierścieni, Warszawa 1981.*
14. *Woroszylski Wiktor, Droga do Ognistej Góry* (w:) „Więź" nr 10, 1982.

To kiedyś musiało nastąpić. Tak długo zachwycaliśmy się polską SF socjologiczną (my, fantaści, bo oficjalna krytyka z różnych powodów nie nadążała), by doczekać się w końcu efektu bumerangowego. Widzieliśmy swojego czasu w tej fantastyce rodzaj emocjonalnego wentyla i szansę na modelową analizę polskich opresji. Teraz wypadnie nam słuchać wywodów o intelektualnych ograniczeniach nurtu i jego artystycznych niedostatkach (J. Inglot, „Dystopia: ucieczka od wolności?!", „F" 1/88/1990).

Z pozycji Małego Brata?

Maciej Parowski

Widzę w takim obrocie sprawy szansę dla wstępujących do pisania przedstawicieli nowych fantastycznych formacji i generacji. Jeśli już buntować się, a bunt jest solą literatury, to właśnie przeciw tym dokonaniom poprzedników, które przynajmniej przez chwilę miały swą wagę i prestiż. Nie warto kontestować poetyk mętnych, od razu w momencie powicia bladych i pozbawionych znaczenia.

Polska fantastyka socjologiczna (polityczna – określenie stosowane wymiennie w momentach, gdy cenzura traciła pazury) czeka więc na placu jako przeciwnik właściwie jedyny, bo stosunkowo młody, atrakcyjny i rozpieszczany sukcesami. Na rynku zjawiają się w dodatku wznowienia Zajdla, Oramusa, Wnuka-Lipińskiego... Swoją drogą ciekawa sytuacja. Nie tak dawno demaskowano w „Nowych Drogach"[1] wraże knowania Zajdla przeciw jedynie słusznej ideologii i porządkowi społecznemu; teraz będzie się tego Zajdla i adherentów oskarżać piórem Jacka Inglota o „ucieczkę od wolności"!?

Skąd moja złośliwość? Nic nie mam przeciw przewartościowaniom krytycznym, ale wolałbym, żeby to były przewartościowania przytomne. Jacek Inglot bierze wiele gładkich formuł od Ericha Fromma, autora znanego u nas także ze „Sztuki miłości" i „Zapomnianego języka". Otóż w „Ucieczce od wolności" analizuje Fromm zawiłą, pełną kompleksów, niedomówień i zakłamań psychikę jednostek i całych społeczeństw, które za cenę poczucia siły i odrzucenia egzystencjalnych niepokojów gotowe są zrezygnować z wewnętrznej wolności i podporządkować się totalitarnej idei oraz oddać we władanie wodza.

Praca Fromma ma znaczenie uniwersalne. Mówi o demonach masochizmu, małości i gotowości do poddaństwa, drzemiących w społeczeństwach i jednostkach, ale punktem wyjścia do autorskich rozważań było jednak specyficzne doświadczenie faszyzmu niemieckiego. Na czym ono polegało? Na tym, że po szoku porażki w I wojnie światowej, po wielkim upokorzeniu, jakim był dla Niemiec Traktat Wersalski, po kryzysie ekonomicznym, dochodził w Niemczech do władzy na drodze parlamentarnej (sic!) człowiek charyzmatyczny, choć szalony. Człowiek ten ucieleśniał kompleksy i resentymenty Niemców, i dawał im szansę rewanżu oraz niekłamanej wielkości. Bardzo wielu Niemców (choć też nie wszyscy) dało się więc nabrać Hitlerowi i poszło za nim, bo byli duchowo poranieni i chcieli, by ich nabrano.

Typ politycznego doświadczenia, któremu próbowała stawiać czoło polska SF socjologiczna (i które próbowało zmienić polskie społeczeństwo we wszystkie swe gorące miesiące w 45-leciu) – był znacząco odmienny. Polacy w większości jednak niedobrowolnie wzięli na plecy swoje polityczne nieszczęście. Toteż Polacy bardzo wcześnie i właściwie stale zaczęli nadawać artystyczne i socjologiczne sygnały, że ich narzucona rzeczywistość uwiera, że nie idzie im w smak, że utratę wolności na rzecz internacjonalistycznego ducha kolektywu, ożywionego materializmem dialektycznym, traktują jak wielki dramat. Nadawali te sygnały piórami autorów emigracyjnych, podziemnych i naziemnych. Aluzjami sączonymi w oficjalnie wydawanych wierszach oraz opowiadaniach i powieściach historycznych i fantastycznych. W filmach Szkoły Polskiej i w kinie moralnego niepokoju. W kościelnych kazaniach, studenckich kabaretach, w ojcowskich przekazach. W prasowych felietonach, w grafikach Mleczki, Czeczota, Sawki. W happeningach Pomarańczowej Alternatywy... Prawdziwa polska kultura polegała w dużej mierze na uświadamianiu sobie problemu i na szukaniu artystycznego języka, w którym można by ów problem wyrazić. To dlatego m.in. wszystkie poprzednie ekipy przywódców PRL narzekały, że tak trudno się nami rządzi.

Na takim tle, w okolicach roku 1977 (po rozruchach w Ursusie i Radomiu, po tajemniczej śmierci studenta Pyjasa w Krakowie) kilkunastu młodych polskich autorów SF odkryło dla siebie kolejny sposób opowiedzenia o tym samym – formułę nowelistycznej bądź powieściowej dystopii (antyutopii)[2]. Skonstruowali swe opowieści tak, że właściwie opowiadają one o jednostkach, ale odwołują się do milczącej wiedzy Polaków i traktują o opresji społecznej. I jako takie są przez czytelników, oraz przez przetrzymujących zrazu te teksty wydawców i cenzorów, odbierane.

Tymczasem Jacek Inglot z nosem zanurzonym w egzemplarzu Fromma używa jak gdyby nigdy nic na określenie tej skomplikowanej sytuacji sformułowań następujących: „święcie przekonani, że status quo jest najlepszym ze światów", „całkowite rozmycie znaczeń", „absolutnie nie czują się skrzywdzeni", „żadna ze stron nie jest zainteresowana zmianą", „obawa przez zmianą, wyborem", „przeciętny obywatel dystopii boi się wolności jak ognia"... Uważam, że są to sformułowania drastycznie nieadekwatne – i to zarówno w odniesieniu do sytuacji literackich, jak i życiowych.

Każda z książek, o których wspomina Jacek Inglot, ma swojego buntownika. Zwykle nie jednego. Przepełnia każdą z tych książek najpierw przeczucie, a potem uczucie nieszczęścia, zablokowania, zniewolenia i utraconych szans – do którego to rozpoznania bohaterowie dochodzą w sposób aktywny, i bywa, ryzykowny. A jeśli nawet niektórzy wyrzekają się walki o wolność, to nie dlatego że wybierają niewolę, lecz dlatego, że sytuacja ich przerasta bądź ustępują przed przemocą. Każda z tych książek (jest także kilkanaście nowel w nurcie, o których Inglot już nie wspomina)[3] stanowi zapis swoistej bitwy o świadomość. I jest zarazem głosem w bitwie o świadomość – stanowi alegoryczne NIE rzucone temu, co autorzy mieli za oknem.

Cóż było za tym oknem? Barwna fikcja lansowana w prasie, telewizorze, w audycjach „tu jedynka", w szkolnym programie historii i tresurze organizacji młodzieżowych. Byliśmy dziesiątą gospodarczą potęgą świata. Wokół nas trwała jedność moralno-polityczna wszystkich Polaków, ojczyzna rosła w siłę, ludzie żyli dostatniej a jedynie słuszny system ideologiczny bezczelniał i rozkwitał, posługując się z wielką sprawnością represjami policyjnymi i propagandowym kłamstwem... Było aktem w o l n e g o w y b o r u (i obywatelskiej odwagi, i pisarskiego ryzyka!) zaprotestować przeciwko takiej fikcji. Pokazać jednostkę szykanowaną, skołataną i obolałą. Pokazać społeczeństwo ufundowane na jakimś perfidnym sekrecie, nieszczęśliwe i jednak (w każdej książce są akty buntu) niepokorne. Pokazać państwo, mimo pozorów dostatku, ubogie, czasem wręcz rozsypujące się. Pokazać, że jeśli nawet nie wszyscy tak właśnie zdefiniowali sobie sytuację, jeśli nawet nie większość, to na pewno wielu.

To nie była ucieczka od wolności. To było stwierdzenie faktu niewoli. Sformułowane w języku i gatunku popularnym miało stanowić szok, wyzwanie i dostarczyć czytelnikom (zapewne także autorom) katharsis. Jedyny grzech tej metody – fantaści socjologiczni nie rezygnowali z legalności (Bóg jeden wie co każdy z nich dodatkowo kombinował po cichu), chcieli być czytani nad ziemią, wydawać w oficynach oficjalnych i w wysokich nakładach. Przemawiali językiem samoograniczającym się, a więc ezopowym. Ale... Ale gdyby to była metoda intelektualnie zupełnie jałowa, te książki nie przetrzymałyby roku 1980 (i 1989); nie byłyby czytane po Sierpniu i wznawiane po Okrągłym Stole. Gdyby to była metoda artystycznie bez wartości Inglot-krytyk wyperswadowałby zapewne Inglotowi-noweliście zastosowanie jej w zakończeniu opowiadanka „Sanctus Kobylarius magister" („Fantastyka" nr 6/89).

Nie jest dobrze kiedy krytyk nad prawdę, nad rzetelną celność diagnozy przedkłada wysiłek budowania zdań przede wszystkim paradoksalnych bądź efekciarskich: *Nie natknąłem się na dystopię, w której zwolennicy przemian odnieśliby satysfakcjonujące zwycięstwo – cudowną ingerencję Alicji w „Limes inferior" należy między bajki włożyć. Skądinąd jest to zgodne z logiką stosunków społecznych – przewrót mający przeciw sobie większość społeczeństwa naprawdę nie ma zbyt wielkich szans. Jedyną szansą byłoby stworzenie systemu, który by ową milczącą-przeciwną większość zmusił... do czego? Do posłuchu i przyjęcia naszych racji – w ten oto prosty sposób walcząc z dystopią budujemy już od początku jej własną wersję. Jak smutnie uczy nas historia, obrona wolności zawsze była najlepszym pretekstem dla najkrwawszych terrorów* – powiada Jacek Inglot, sugerując, że każda obrona wolności kończy się gilotyną bądź bolszewizmem. Oczywiście. Hitler o niczym innym nie myślał tylko o walce z dystopią. Stalin także. Z kolei popatrzmy do jakich to krwawych jatek i drastycznej przemocy doprowadziła obrona wolności, którą latami ciągnął np. „Tygodnik Powszechny", miesięcznik „Więź", NSZZ Solidarność (naziemna i podziemna) oraz Amnesty International.

Następny problem, z którym nie radzi sobie krytyk Jacek Inglot, to zakończenie „Limes inferior". Oto klasyczny przykład jak pisarz może wyprzedzić swój czas i zdublować swojego krytyka. Przy pomocy alegorycznej figury Alicji mówił Zajdel o obowiązku nadziei w istnienie energii i sił w pewnym sensie irracjonalnych, które w sprzyjających momentach poradzą sobie z szańcami i politycznymi ograniczeniami. Teraz, po Sierpniu, po Okrągłym Stole, po czerwcowych wyborach, po oszałamiającym exodusie obywateli NRD, po przemianach na Węgrzech – w dalszym ciągu będziemy powtarzać bzdury o bajkach? Albo weźmy treść i zakończenie „Drugiej jesieni" – agresywna, czerwona biomasa Żwikiewicza, kogo symbolizowała, no powiedz kogo, kotku? Lecz co dalej zrobił z tym fantem Żwikiewicz? – otóż pokazał, że także oprawca i agresor może się zmienić, że może wypowiedzieć posłuszeństwo swojej parszywej i złowrogiej kondycji. Czy takie przesłanie, sformułowane już w 1977 roku, potwierdza diagnozę Inglota, że *walcząc z dystopią budujemy już od początku jej własną wersję!?* A może w przypadku Zajdla i Żwikiewicza stosowniej byłoby mówić o nadziejach, które się ziściły, a więc o danym obu autorom przebłysku profetyzmu?

Rozumiem zastrzeżenia do „Pieśni dla Lyanny", do „Powrotu z gwiazd" – mnie też irytowała wymowa tych powieści. Ale choć Jacek Inglot pisał o dystopii w ogóle, to przecież najwięcej miejsca poświęcił w swym szkicu polskiej politycznej SF z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. I zwłaszcza temu prądowi nie oddał sprawiedliwości. Bo w utworach nurtu nie było miłości do Wielkiego Brata i nie było też zarażenia się jego ideologią. Było w nich rozpoznanie fałszu oraz rozpacz, ból i bunt wyrażone lepszymi lub gorszymi środkami artystycznymi. O owych środkach można oczywiście dyskutować, także krytycznie. Ale nie o filozofii, na litość Boską, a w każdym razie nie w kategoriach, jakie proponuje Jacek Inglot. Bo filozofia nurtu, uważam, mimo widocznych dziś ograniczeń, była i pozostała czysta jak łza!

W jednym tylko rozumiem i właściwie podzielam konstatacje Jacka Inglota. Nurt polskiej SF politycznej walczył o wolność, ale nie przygotował nas intelektualnie do zagospodarowania prawdziwej wolności. Nie stworzył spójnej wizji społeczeństwa praworządnego, wolnego, szczęśliwego. Nie dał funkcjonalnego projektu instytucji, które przerabiałyby ludzką różnorodność, nadzieję, energię, pracowitość, głód sensu i dobra (a także zwykły egoizm) na obfitość produktów i na tzw. kulturalne, spolegliwe życie. SF socjologiczna nie wymyśliła nowego (post-monteskiuszowego) podziału władz, który gwarantowałby pozytywne wzmocnienia dla anielskich stron jednostkowej i społecznej ekspresji, a jednocześnie blokował drzemiące w ludziach diabelstwo... Nie dość, że SF temu nie sprostała to jeszcze, co gorsza, bodaj nie stawiała sobie takich zadań. Na szczęście Senat z Sejmem, Premier z Rządem, Prezydent z Przewodniczącym, Kościół z Narodem, Związek (związki?) z Partią (partiami), Naukowcy z Publicystami – właśnie nad tym wszystkim pracują. Niestety, także mają olbrzymie trudności.

(październik – 1989)

PRZYPISY

1. „ND" 11/438/1985, „Książka i polityka" – dyskusja redakcyjna: „W literaturze fantastyczno-naukowej (...) mamy do czynienia z rozmaitymi popłuczynami postorwellowskimi, uzupełnianymi – na miarę erudycji autora – przez koncepcje innej proweniencji. Nakłady tej literatury są nieporównywalne z nakładami książek społeczno-politycznych, społeczny zasięg także. Czy można w takim razie mówić o wyizolowanym funkcjonowaniu książek filozoficznych, ekonomicznych, politologicznych... J. Zajdel najbardziej dziś chwalony autor książek SF operuje modelami społeczeństw, które nie mogą zaistnieć ani ekonomicznie ani socjologicznie. Równocześnie zaś, przy pomocy dość prostych chwytów przygotowuje czytelnika – młodego! – do interpretacji utożsamiającej kosmiczne potworności z naszą rzeczywistością. Nie jest wiarygodny socjologicznie, nie ma w jego książkach współcześnie pisanych prawdopodobieństwa (co było ogromną wartością jego poprzedniej twórczości), ale jest insynuacja, jest wiarygodność psychologiczna. I modele, które upowszechnia wchodzą w skład świadomości potocznej" (fragment wypowiedzi Włodzimierza Milanowskiego z ANS, str. 150).

2. Rozróżnienie między antyutopiami i dystopiami patrz „F" 6/33/1985, Antoni Smuszkiewicz: „W kręgu współczesnej utopii" (antyutopie polemizują z mglistym idealizmem społecznym, dystopie stanowią alegoryczny atak na autentyczne wynaturzenia w konkretnych społeczeństwach. Toteż polska SF socjologiczna ma charakter zdecydowanie dystopijny).

3. Z opowiadań powstałych przed Sierpniem mam tu zwłaszcza na myśli J. Nideckiej „Wilki na wyspie", „Solidarność"; D. Torunia „Historia z nieżyciowym zakończeniem", J.A. Zajdla „Wyższe racje". A z powstałych tuż po Sierpniu np. R. Ziemkiewicza „Władcę Szczurów", J. A. Zajdla „Utopia" itp., itd.

Prawo siły

Posuwanie się w historię człowieka – jako rasy – ma swoje granice materialne, ale i mentalne. Człowiek zmienia się wolno, a może nie zmienia się wcale, przeto i Kolumbowi, i Hannibalowi, i Hammurabiemu przypisujemy nasze własne intencje, widzenie spraw, by w ten sposób ogarnąć ich postępowanie. Aliści czujemy intuicyjnie, że moc metody słabnie w miarę posuwania się pod prąd czasu i w końcu nie zostaje z niej nic. Gdzie wyczerpują się resztki jej skuteczności? Gdzie – mówiąc inaczej – podobieństwo naszych dalekich przodków do nas samych okazuje się o tyle szczątkowe, że wytrwały badacz wchodzi w sferę nieoznaczoności, a historia, którą chce uprawiać, zamienia się w fantazję? Prawdopodobnie tą granicą jest epoka odległa dziś o marne 30–35 tysięcy lat, kiedy w rozsypkę szła pierwsza bodaj ogólnoplanetarna kolonia ludzka, cywilizacja człowieka neandertalskiego.

Pisarze naukowi, za jakich uznaję fantastów, wydają się bezwzględnie zafascynowani tym okresem, jego mrocznością, spowijającą go ciemną tajemnicą. Przyjmuje się, że wtedy właśnie pojawili się nie wiadomo skąd przedstawiciele Homo sapiens i bezlitośnie wytrzebili swych pobratymców klasy Homo sapiens neandertalis, polując na nich jak na zwierzynę. Jak to się stało, zapyta czytelnik, że rozumni dokonali eksterminacji innych rozumnych w czasach, gdy na Ziemi pełno było miejsca dla wszystkich? Jak to możliwe, że nie poznali w nich własnych braci, nie docenili tlącej się pod ich czaszkami iskry rozumu? Są to ciekawe pytania, a odpowiedzi na nie – bynajmniej nie oczywiste. Swoją powieść „Spadkobiercy" poświęca tej kwestii William Golding, angielski laureat Nagrody Nobla z 1983 roku.

Golding jest przykładem pisarza głównego nurtu, który nie przeląkł się malarycznego klimatu science fiction. Główny nurt desygnuje tutaj sporadycznie swych przedstawicieli, którzy zawsze, o ile swej śmiałości nie przypłacą życiem, dają w zamian dzieła odmienne od typowych produkcji SF, już przez sam ten fakt frapujące artystycznie. Golding od takiej wycieczki zaczął, publikując w roku 1954 „Władcę much" (miał wtedy 43 lata) i od razu zażywając rozgłosu. Rok później ukazali się właśnie „Spadkobiercy", powieść nie tak głośna, ale równie poruszająca. Pozostałe powieści mają charakter psychologiczny, dotyczą współczesności, lecz nie są wolne od swoiście rozumianej metafizyki w pojmowaniu człowieka, jego usytuowania w świecie.

Fabuła „Spadkobierców" da się zamknąć w jednym zdaniu: powracająca wiosną z zimowego leża w nadmorskich jaskiniach grupa neandertali natyka się na wyżej zorganizowanych i lepiej wyposażonych „nowych ludzi" i zostaje przez nich rozbita. Nic nie wiadomo o innych neandertalskich grupkach w tej okolicy, ale wygląda na to, że krajobraz zostaje tam oczyszczony z małpoludów. By dobrze oddać przeżywanie i tragedię losu neandertalczyków, Golding przez jedenaście rozdziałów ogląda zdarzenia ich oczami; dopiero ostatni, dwunasty rozdział pokazuje sprawy od strony przybyszów. Starcie rozegrało się za sprawą przypadku: uciekający morzem „nowi ludzie" wpłynęli w ujście rzeki i posuwając się pod prąd dotarli do wodospadu. Chcąc go sforsować musieli przenieść swe łodzie; podczas transportu wkroczyli niechcący na obce tereny i spowodowali konflikt.

Solidnie przygnębiające u Goldinga jest to, że grupa przybyszów jest jakby mikromodelem naszej cywilizacji współczesnej, z jej łatwością niszczenia, tendencją do parcia naprzód bez względu na koszty, do załatwiania prywatnych interesów pod płaszczykiem interesu ogólnego itp. Stojąc na wyższym szczeblu rozwoju pod każdym względem (technicznie, „gospodarczo", organizacyjnie, militarnie) nie wahają się ze swej przewagi skorzystać. Nie dotyczą ich żadne skrupuły moralne; w tamtych czasach, jak to znakomicie pokazał film Jacquesa Annaud „Walka o ogień", nie było czasu na wątpliwości, pół sekundy zwłoki w machnięciu maczugą kosztowało życie. Toteż nie ze stosowania zasady „uderz nim sam dostaniesz" należy być przygnębionym, a z tego, że zasada ta przetrwała po dziś dzień i nawet zamieniła się w symbol. Prawo jest po stronie silniejszego i po jego stronie jest życie; co słabe, wątłe i pełne skrupułów, musi zginąć.

Trochę razi mnie obraz neandertalczyków w tej powieści: są przedstawieni jako zapóźnione stwory z przeszłej epoki (brak broni, odzieży, narzędzi innych niż pasujące do ręki kamienie itp.), a jednocześnie dosyć dobroduszne (gdy wiadomo, że polowali nawet na mamuty, a nierzadko folgowali skłonnościom do kanibalizmu). Wegetując sobie nad wodospadem wykazują daleko posuniętą niefrasobliwość. Dookoła obfitość jedzenia, spotkania z drapieżnikiem da się uniknąć, zmieniają się pory roku, czasem ktoś w grupie umiera, ktoś inny się rodzi. Świat wydaje się oswojony i dobrze znany, więc żyją w tym swoim raju na poły luksusowo, na poły naiwnie. Z błogostanu wyrywa ich dopiero cios obuchem: przybycie „nowych", którzy nie respektują prawa gospodarzy do ich ziemi i zmiatają ich niejako po drodze, bez specjalnego zamiaru, mimochodem.

Tak pomyślana wersja kontaktu rozumnych powtórzyła się potem miliony razy. Pizarro zmiótł Inków, a ci Inkowie nie inaczej przecież traktowali własnych sąsiadów. Biały człowiek wymazał praktycznie z prerii północnej Ameryki cywilizację Indian. Sięgając bliżej: ciszej i mniej malowniczo, ale równie skutecznie zniknęło znad Bałtyku plemię Prusów. Byle podręcznik historii powszechnej dostarczy przykładów udanych przedsięwzięć tego typu. Można powiedzieć: barbarzyństwo, współczesność odżegnała się od tej formy dawno. Czyżby? We wrześniu 1939 roku Polska dostała się w obcęgi dwóch zaborców i naród polski miał obiecaną likwidację (co prawda nie on jeden). Dekadę temu ujawniono podobne zamiary Czerwonych Khmerów wobec ludności Kambodży. Obecnie obserwować możemy, jak postępuje jawna eksterminacja narodu tybetańskiego przez Chińczyków. Nihil novi sub sole.

Pytanie, które się nasuwa i które w pewnym sensie przewija się przez całą twórczość Goldinga, brzmi: jakie cechy człowieka powodują to straszne dziedzictwo? Czy człowiek jest zły sam z siebie, czy zło zawdzięcza swemu zwierzęcemu pochodzeniu? (Von Ditfurth sugeruje, że „zwierzęcość" zawdzięczamy śródmózgowiu, archaicznej części naszego mózgu, która ciągle funkcjonuje i wpływa na nasze zachowanie). Czy iskra Boża budzi się w nim na zasadzie incydentu, czy też Bóg obecny jest w nim w sposób trwały? Skąd w takim razie to nieustanne pasmo morderstw, ta rzeka krwi, w której taplamy się idąc przez dzieje? Zgoda, 30 tysięcy lat temu człowiek był istotą bardziej zwierzęcą, mniej boską. Cośmy przez te 30 tysięcy lat osiągnęli? Boskości nie narosło w nas grubiej, a zwierzęcość chyba przekształciła się w diabelstwo. Nie trzeba odwoływać się aż do epoki pieców, by się o tym przekonać, choć nie ulega wątpliwości, że XX wiek był wyjątkowo żyzny w hekatomby.

„Spadkobiercy" to książka pasjonująca, wywołująca wielkie wrażenie nawet u czytelnika dobrze oswojonego ze sztuczkami literatury. Golding ukazał naszych dalekich protoplastów w konflikcie spowodowanym z rozmysłem, przebiegającym okrutnie, dającym wypadkową w postaci tragedii, pełnej i całkowitej, człowieka pierwotnego. Znakomicie zapozorował szczątkowy język neandertalczyków, który jednak umożliwia porozumienie. Doskonale ukazane są trudności pierwotnych ludzi z kojarzeniem faktów, z ułożeniem jakiegoś planu, ze zrealizowaniem go. Pisarz wspaniale operuje niedopowiedzeniem, „Spadkobiercy" są właściwie pokazem, jak na terenie fantastyki, literatury przegadanych znaczeń, niedopowiedzenie odbiera czytelnikowi banalną pełność, każąc mu w o wiele większym stopniu utożsamić się z gehenną bohaterów. (A cierpienie istoty uznanej za niższą wcale nie jest mniejsze).

Pozostaje jeszcze sprawa tytułu, jego interpretacji. Kto ma być spadkobiercami – i kogo? Nauka, dążąc do wyjaśnienia zdominowania neandertalczyków przez człowieka współczesnego, wysunęła niedawno hipotezę, iż jest on „neoteniczną hybrydą neandertalczyka", jego młodzieńczym wizerunkiem utrwalonym w naszym kodzie genetycznym, w naszej posturze oraz fizjonomii. Sprawa nad wodospadem została więc załatwiona, by tak rzec, we własnym gronie. Nie zmienia to ani na jotę wymowy powieści: to my jesteśmy spadkobiercami bladoskórych najeźdźców, którzy przechodzą po wszystkim co żywe jak walec. Nasz świat w prostej linii pochodzi od tego obozowiska, gdzie wieczorem pije się na umór, pożąda i zdradza, w dzień zaś zabija, porywa i gwałci. Nasza skłonność do zamieniania Ziemi w krajobraz księżycowy to tylko spotęgowane działania neoantropów tamtych czasów. Nie ma między nimi jakościowej różnicy. Jeżeli więc racje silniejszego nie przestaną decydować o być albo nie być innych ludzi czy narodów, innych gatunków flory i fauny żyjących obok – człowiek ocknie się w końcu pośród zgliszcz, trawiąc swą straszliwą samotność, do której już otwierają się drzwi.

Marek Oramus

William Golding: *Spadkobiercy.* Tłumaczyła Ryszarda Grzybowska. Czytelnik, Warszawa 1989.

Świat w przesyceniu

Bywają książki zdecydowanie dobre i zdecydowanie złe, ciekawe i nudne, proste i niebywale złożone. Napisanie o nich paru zdań, sformułowanie jasno sprecyzowanych wniosków nie nastręcza w zasadzie większych problemów. Inaczej rzecz się ma, gdy lektura pozostawia nam wrażenia sprzeczne, wzajemnie się wykluczające. Jak pogodzić ze sobą zafascynowanie i znużenie, podziw i niechęć, zrozumienie z niejasnością? Trudno sobie wyobrazić, aby jasność i nieporządek, precyzja i chaos mogły znaleźć miejsce w jednej książce, ale tak właśnie prezentuje się powieść Anny Borkowskiej „Gar'ingawi Wyspa Szczęśliwa". Pomimo kłopotliwej sytuacji w jakiej stawia ten utwór osobę pragnącą napisać coś zdecydowanego i konkretnego na jego temat, jest „Gar'ingawi Wyspa Szczęśliwa" faktem ważnym i godnym odnotowania wśród polskiej literatury fantastycznej.

Debiut Borkowskiej nawiązuje do konwencji fantasy, która na świecie bije wszelkie rekordy popularności, natomiast w Polsce boryka się z niemocą wydawniczą i twórczą. Wydawnictwa nie nadążają za wymaganiami i zainteresowaniami czytelników, zawodzi również strona pisząca pozbawiona oryginalnych pomysłów i często podstawowych umiejętności warsztatowych. Choć jeszcze nie czas wydawać wyroki – materiału porównawczego mamy stanowczo za mało – parę opowiadań i zdecydowanie nieudane utwory w serii „Magią i mieczem".

Na tym tle książka Borkowskiej prezentuje się niebywale barwnie i ambitnie, wydaje się być pierwszą polską fantasy z prawdziwego zdarzenia. W totalności i komplikacji swej wizji Borkowska odwołuje się nie do tasiemcowych, schematycznych seriali fantasy, ale wydaje się inspirować samym niedoścignionym klasykiem gatunku – Tolkienem. Świat wykreowany przez autorkę zamieszkują rozmaite ludy o zupełnie różnym wyglądzie, usposobieniu i obyczajach. Tmutowie są na przykład kulfiści, a Fehine charakteryzują się pajęczynowatymi odnóżami. Literacką wizję dopełniają zamieszczone na końcu książki mapy oraz drzewa genealogiczne najważniejszych rodów występujących w powieści. Akcja utworu w najogólniejszym zarysie odwołuje się do schematu baśni, czyli przedstawia odwieczny proces ścierania się sił Dobra i Zła, tu upostaciowanych jako Wiatr Południowy (Jasny Brat, Or, Hallor) i Pan Północy (Ciemny Brat, Dir, Maldir). Na tym tle przetacza się cała lawina zdarzeń, wielkich, związanych z dziejami całego świata i tych małych, jednostkowych przytrafiających się poszczególnym bohaterom (choć jak to w baśni i fantasy bywa, to właśnie one okazują się wpływać na losy świata).

Gdyby jednak tylko te zdania napisać o „Gar'ingawi Wyspie Szczęśliwej" odbiegałyby one niezwykle daleko od powieści, gdyż właśnie w tym miejscu kończą się zbieżne cechy utworu Borkowskiej z konwencją fantasy. Pomimo niezwykłych i frapujących wydarzeń treść „Gar'ingawi Wyspy Szczęśliwej" jest poważna, o ładunku moralnym i filozoficznym niespotykanym w zasadzie w literaturze przygodowej. Trudno dokonać choćby pobieżnego przeglądu problemów w książce tej zarysowanych. Mowa tu o historii, o jej zwodniczych meandrach, jej zmienności i kaprysach. Autorka wnikliwie analizuje na tym tle proces alienacji władzy wraz z elementami towarzyszącymi temu zjawisku – zdradą, donosicielstwem, pychą, brakiem człowieczeństwa. Borkowska nie poprzestaje na ukazaniu negatywnych postaw, „Gar'ingawi Wyspa Szczęśliwa" to książka o etyce, wyznaczająca ścisłe i jasne normy postępowania, stwierdzające, że jest tylko jedna moralność tak jak i tylko jedna dobra droga. Żadne okoliczności nie mogą usprawiedliwiać złych wyborów, a cel nigdy nie uświęca środków. Takiego moralitetu literatura polska dawno nie wydała, zanik wartości i norm towarzyszący współczesności nie sprzyja konstruowaniu jasnych wzorców postępowania. Może dlatego swą pochwałę bezkompromisowości i czystości moralnej ukryła Borkowska w szatach fantasy?

Moralność świata Wyspy Szczęśliwej nierozerwalnie łączy się z wiarą, która jest w zasadzie głównym tematem książki – wiara głęboka i autentyczna oraz zaparcie się jej, zaprzedanie złu lub pokrętnym filozofiom. Borkowska przeciwstawia akt metafizycznej wiary relatywizmowi filozoficznemu przedstawiając konsekwencje tych postaw w świecie przez siebie wykreowanym. Jej religia przypomina nieco indyjską trójcę, gdzie Brahman jest głównym kreatorem świata, Wisznu ma ten świat zachowywać, a Siwa niszczyć. W świecie Megnitów, Dżugidów, Fehine bóstwem sprawczym jest Nienazwany, który stwarza cały wszechświat wraz z dwoma przecistawnymi mocami – Wiatrem Południowym (Hallor) i Panem Północy (Haldir).

„Hallor was szczęściem nawodni, Haldir was bólem przeorze" – mówi prastara pieśń śpiewana przez wtajemniczonych bardów. Ład i porządek rzeczy utrzymywany jest poprzez odwieczną walkę tych dwóch mocy. Choć obie są niezbędne, tylko jedna posiada pełną moc i potęgę, którą podtrzymuje dobro i brak grzechu. Dlatego w życiu istnieje tylko jedna pozytywna droga i jeden wybór – oczekiwanie na przybycie Ora. Zaprzedanie się złu, zwrócenie w stronę ulotnych wartości stawia Borkowska w opozycji do bytowania przepełnionego spokojnym szczęściem płynącym z wiary. Jest „Gar'ingawi Wyspa Szczęśliwa" książką niezwykle religijną, propagującą zapomniane często ideały – dzięki temu powoduje chwilę zadumy nad naszym życiem codziennym, zagubieniem w zmienności rzeczy i przyziemności. Główne przesłanie powieści Borkowskiej dalekie jest od eskapistycznych tendencji, o które pomawia się fantasy.

Wszystkie te ważkie myśli i problemy znajdują się w całości niezbornej i niespójnej. Książka Borkowskiej jest konstrukcyjnie osiągnięciem zdecydowanie nieudanym, sprawia wrażenie pękającego w szwach worka, którego przeładowanie przekroczyło już wszelkie granice. Waga poruszanych problemów przytłacza czytelnika i nie koresponduje z przyjętą konwencją literatury fantastyczno-przygodowej. Przeładowanie dotyczy wszystkich warstw utworu Borkowskiej, za dużo tu: problemów, przesłań, postaci, wydarzeń tych historycznych i tych jednostkowych, zwrotów akcji szczęśliwych i nieszczęśliwych, imion, nazw i określeń. Czytelnik brnie przez narrację z mozołem przewracając często kartki wstecz aby dopomóc swej niedoskonałej pamięci. Na pewno nie jest to lektura dla odbiorcy leniwego i nieuważnego. Akcja kluczy i wije się, ciągle zmienia miejsce i czas wydarzeń. Wśród niezliczonych postaci, zdarzeń i faktów pojawiają się i takie, których znaczenie trudno powiązać z całością powieści. Żeby wspomnieć choćby o zupełnie nierozwiniętej i niedookreślonej sprawie zdolności telepatycznych mieszkańców wyspy. Pewne niejasności nie niszczą jednak wrażenia rozległości i totalności, które pozostawia kreacja Borkowskiej. Pozytywne wrażenie z lektury skutecznej zaciera nieumiejętność prowadzenia narracji równoległej przez autorkę i wręcz przesycenie możliwości percepcyjnych odbiorcy rozmaitymi bodźcami. Może szkoda, że Borkowska napisała książkę tak krótką, może utwór znacznie obszerniejszy pomieściłby wszystkie jej kłębiące się myśli i pomysły. Ten wielki nadmiar nie może znaleźć pełnego odbicia w krótkiej recenzji, dlatego kończąc już szczerze polecam i szczerze odradzam zarazem lekturę „Gar'ingawi Wyspy Szczęśliwej".

Małgorzata Skórska

Anna Borkowska: *Gar'ingawi Wyspa Szczęśliwa*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988. Cena 850 zł.

Prekursor science fiction

Przeczytawszy z wielkim zainteresowaniem najnowszą biografię Edgara Allana Poego pióra J.W. Kowalowa, który z pasją demaskuje czarną legendę o tym wielkim poecie i prozaiku amerykańskim I połowy XIX w. (odrzuconą zresztą już w 1941 r. przez A.H. Quinna), zajrzałem do „Noty" zamieszczonej w opublikowanych przez Wyd. Literackie „Opowieściach niesamowitych" i cóż w niej znalazłem? Sformułowania: nałóg alkoholizmu, narkomania. Rzeczywiście – niezwykle żywotna okazała się czarna legenda Poego, spreparowana po jego śmierci przez R. W. Griswolda, skoro przetrwała ponad stulecie i nie obaliła jej nawet autoryzowana monografia pióra Franciszka Lyry (Wiedza Powszechna 1973). Z tym większym uznaniem należy powitać nową biografię Poego. Dla miłośników science fiction najistotniejszy będzie obszerny rozdział pt. „Naucznaja fantastika", stanowiący blisko jedną szóstą tekstu. Autor wyróżnia dwa kierunki SF: inżynieryjno-technologiczny, którego głównym przedstawicielem był Verne, i socjologiczno-futurologiczny, zainicjowany przez Wellsa. Jednak za prekursora literatury fantastyczno-naukowej uznaje Kowalow w ślad za Verne'em i Wellsem właśnie Poego, który będąc romantykiem interesował się jednocześnie postępem naukowo-technicznym. Połączenie fantazji z problematyką naukową dało, dzięki niewątpliwemu talentowi Poego, nową odmianę literatury zwanej dziś science fiction. Tak to widzi Autor biografii, który ponadto zadał sobie trud wyróżnienia czterech głównych kierunków w twórczości fantastyczno-naukowej Poego, a mianowicie: opowiadań popularnonaukowych (z elementami fantastyki), fantastyki technologicznej, satyry fantastycznej i fantastyki „metafizycznej". Utwory uznawane obecnie za fantastyczne bądź niesamowite (jak „Ligeja" czy „Zagłada domu Usherów") autor biografii określa mianem prozy psychologicznej, poświęcając jej osobny rozdział.

Na najnowszą biografię Poego winni więc zwrócić uwagę nie tylko miłośnicy fantastyki naukowej, ale przede wszystkim krytycy literatury. Stanowi ona ważny przyczynek do badań nad historią SF.

T. Zbigniew Dworak

Jurij Witaliewicz Kowalow: *Edgar Allan Poe. Nowellist i poet.* Wyd. „Chudożestwiennaja Literatura", Leningrad 1984.

Daj mi jedną komórkę swego ciała, a będę wiedział kim jesteś **– tak mógłby dziś powiedzieć biolog, spec od inżynierii genetycznej i byłoby w tym tylko trochę przesady. Zdumiewające, jak dużo można powiedzieć o człowieku analizując mikroskopijną cząstkę jego organizmu, jakikolwiek biologiczny ślad, gdziekolwiek pozostawiony.**

Oczywiście, nie można jednak powiedzieć wszystkiego i wątpię, czy będzie to kiedykolwiek możliwe. Całe szczęście: wyobraźmy sobie świat, w którym z analizy genomu człowieka (czyli jego materiału genetycznego) można się dowiedzieć o fizycznych cechach tego człowieka, jego predyspozycjach, zdrowiu, chorobach, może nawet o właściwościach umysłu, zdolnościach, albo o zapisanym w genach kresie jego życia!

Z tamtej strony lustra

Księga śladów

Maciej Iłowiecki

Wiemy, że genom, czyli pełny „zapis struktury" każdego organizmu, mieści się w jądrze każdej komórki tego organizmu; mając zatem do dyspozycji jedną tylko komórkę, można taki zapis spróbować odczytać. Dziś jest to możliwość teoretyczna, nikt też nie wie ile da się naprawdę zrozumieć z zapisu genetycznego – nawet wtedy, kiedy by się udało całkowicie go poznać. Niemniej nikt nie wątpi, że dałoby się odczytać bardzo dużo, a poznanie całego genomu jest już bliskie.

Mam nadzieję, że nikomu nie sprawi trudności rozróżnienie między „odczytaniem" a „zrozumieniem"? Możemy posłużyć się analogią: genom jest jakby przeogromną księgą, z której udało się odczytać dopiero kilka kartek. Odcyfrowano już litery nieznanego alfabetu, ustalono główne reguły gramatyczne, odczytano niektóre zdania – i nawet uchwycono ich sens. Wydaje się pewne, że ostateczne ustalenie, co jest słowem, co sensownym zdaniem, co znakiem przestankowym lub innym i jaka jest tego wszystkiego kolejność – jest tylko kwestią czasu. Wówczas księga będzie przeczytana do końca – ale nie oznacza to, że będzie do końca zrozumiana, że obcy język uda się przełożyć całkowicie, a nawet, jeśli się uda, czy będziemy w stanie pojąć zapisane tym językiem treści.

Wiemy przecież, jak wiele na temat stanu zdrowia i dyspozycji do chorób genetycznych każdego człowieka można się już dziś dowiedzieć z analizy jego genów; znamy też przypadki, iż niektóre firmy próbowały żądać takiej genetycznej analizy od ludzi starających się o pracę... Formalnie chodziło o profilaktykę – żeby osoby o skłonnościach do pewnych chorób nie pracowały w warunkach, sprzyjających ujawnianiu się tych chorób. Ale łatwo dostrzec inne zastosowania takich metod; dziś ludzi z jakąś genetyczną wadą chce się odsuwać od pracy, jutro ktoś może wpaść na pomysł zabronienia im posiadania dzieci (po co mają swoją wadę powielać w potomstwie?), pojutrze ludzi „z niedobrym DNA" może zechce ktoś w ogóle „eliminować"? Wydają się takie pomysły niemożliwe, zbyt ponure – ale może warto sobie uświadomić, iż ludzie są do takich pomysłów zdolni, a precedensy już były, w hitlerowskich Niemczech po prostu zabijano ludzi upośledzonych umysłowo... Nie chodzi mi o straszenie a o wskazanie wszystkich możliwych konsekwencji, nawet tych najmniej prawdopodobnych. W każdym razie chyba dzisiaj widać już dość jasno, jakie możliwości i jakie zarazem dylematy moralne powstaną w miarę dalszego odczytywania tej najbardziej tajemniczej księgi we Wszechświecie – księgi ludzkiego genomu.

Skoro nadal trzymamy się analogii z księgą, idźmy dalej: otóż tyle jest (było i będzie) różnych ksiąg, ilu jest (było i będzie) ludzi na świecie, ponieważ każdy ludzki genom jest troszkę inny. (Zajmujemy się teraz ludźmi, więc tylko dla porządku trzeba dodać, że dotyczy to wszystkich żywych istot, ale w różnym stopniu; im bardziej złożony ogranizm, tym bardziej złożony i zindywidualizowany jego genom – i odwrotnie. Dlatego indywidualne różnice między genomami zwiększają się, w miarę zbliżania się do szczytu drabiny ewolucyjnej, czyli do człowieka, u którego osiągają szczyt „różności").

Można to ująć tak: księgi-genomy są tak różne, jak różni są ludzie i po prostu nie ma na świecie dwóch absolutnie identycznych genomów; nawet u jednojajowych bliźniaków, które otrzymują te same zestawy cech dziedzicznych, te same genomy, nie są one jednak całkowicie, absolutnie takie same, choć są niesamowicie podobne. Skoro nie ma absolutnie identycznych genomów, nie ma też absolutnie identycznych ludzi.

Nie będę próbował zestawiać tutaj różnic indywidualnych między ludźmi, bo musiałbym napisać wiele tomów, ale przypomnę, że nie ma na świecie dwóch ludzi, którzy mieliby na przykład takie same fałdy w uchu, taki sam układ żył pod skórą na grzbiecie dłoni, albo takie same odciski palców czy stóp (to znaczy taki sam wzór listewek skórzanych, tzw. linii papilarnych). Nie ma też dwóch ludzi, którzy mieliby jednakowy dźwięk głosu, takie samo pismo, taki sam elektrokardiogram czy elektroencefalogram, taki sam zapis ruchu gałek ocznych w czasie snu, taki sam zapis nawet... ruchu robaczkowego jelit lub taki sam zestaw związków chemicznych wydzielanych w pocie!

Każdy z nas ma zatem pewne cechy absolutnie własne, pewną biologiczną jedyność, którą można rozpoznać (nie mówimy tu o jedyności psychicznej, która razem z biologiczną składa się na niepowtarzalność każdego człowieka – to sprawy jeszcze głębsze i jeszcze ważniejsze).

Jak dotąd, niepowtarzalność pewnych biologicznych cech ludzkich najlepiej wykorzystała kryminalistyka a obok śladów krwi lub innych płynów ustrojowych, włosów czy fragmentów innych tkanek, wręcz symbolem w tej mierze stał się odcisk palca. Najnowszym jednak „hitem" kryminalistyki stał się tak zwany odcisk genetyczny.

Po angielsku nazywa się to „odcisk palca DNA" (DNA-fingerprinting) i jest to po prostu zostawiona na miejscu przestępstwa komórka z ciała przestępcy (wystarczy jedna komórka!). Z takiej komórki wydobywa się właśnie DNA, słynną spiralną, drabinkowatą cząsteczkę kwasu dezoksyrybonukleinowego (ang. deoxyribonucleic acid, stąd skrót DNA) zawierającą chemiczny zapis informacji genetycznej. Pewne fragmenty tego zapisu są jedyne na świecie i mogą pochodzić tylko od jednego na świecie człowieka.

Jak to bywa, fragmenty te odkryto w czasie badań, nie mających nic wspólnego z kryminalistyką; były to badania podstawowe (ich celem było poznanie, a nie konkretne zastosowania), prowadzone przez zespół Aleca Jeffreysa na Uniwersytecie w Leicester, w Anglii. Uczeni wykryli w ludzkim DNA pewne fragmenty charakteryzujące się „hiperzmiennością międzyosobniczą", co przełożone na ludzki język oznacza, iż właśnie te fragmenty długiej cząsteczki DNA różnią się szczególnie u różnych ludzi, czyli u każdego człowieka są troszkę inne. Bardzo ważne okazało się kolejne spostrzeżenie: że owa „inność" podlega regułom dziedziczenia, to znaczy różne „kawałki" (różne, jak to się określa, sekwencje DNA), odziedziczone po rodzicach, były u potomków w odpowiedni sposób poukładane, w sposób właśnie zgodny z wspomnianymi regułami.

Mniejsza o te reguły (bardzo skomplikowane), o laboratoryjne metody oznaczania sekwencji i ich położenia w cząsteczce DNA, czy wreszcie mniejsza o budowę samych sekwencji – dla nas ważniejsze są wnioski. A są one takie:

Po pierwsze, że rozpoznane „kawałki" DNA są różne u różnych osób (nawet u blisko spokrewnionych). Są to różnice na tyle wyraźne, by można było ustalić, czy próbka DNA pochodzi od jednej osoby, czy od dwóch różnych osób;

Po drugie, że te „kawałki" (dla uproszczenia można je właśnie zwać (odciskami genetycznymi) są dziedziczone i wobec tego poznawszy ich układ u różnych ludzi można stwierdzić, czy ludzie ci są spokrewnieni czy nie i nawet – jak bliskie jest ewentualne pokrewieństwo;

Po trzecie wreszcie, ważną zaletą tej metody jest możność dokonania analizy mikroskopijnego nawet śladu materii biologicznej – byleby ten ślad zawierał cząsteczkę DNA.

Kiedy prof. Jeffreys ogłosił o swym odkryciu, w Wielkiej Brytanii toczyła się właśnie sprawa pewnego chłopca, który chciał wyjechać z Ghany do Anglii na stałe, tłumacząc, że w Anglii mieszka jego matka, obywatelka brytyjska. Z pewnych względów dowody prawne tego pokrewieństwa były niepełne i niepewne, władze imigracyjne nie chciały więc chłopca wpuścić. Zespół z Leicester University zbadał wtedy DNA chłopca i DNA jego domniemanej matki; okazało się, że chłopiec i kobieta mają 25 identycznych sekwencji w odpowiednich fragmentach cząsteczek swego genetycznego kodu.

Prawdopodobieństwo, że dwie niespokrewnione osoby mają przypadkowo 25 takich samych „kawałków" DNA (czyli

taki sam „odcisk genetyczny") jest tak małe, iż coś takiego mogłoby się zdarzyć raz na dwa tryliony ludzi ($2x10^{15}$), a przecież dziś na Ziemi żyje ponad 5 miliardów ludzi... Zatem istnieje prawie całkowita pewność, że chłopiec jest bardzo blisko spokrewniony ze wskazaną kobietą, że właśnie jest jej synem. Cała historia skończyła się dobrze, chłopca wpuszczono do Anglii; jeszcze parę lat temu nie miałby takiej szansy.

Sądy już dostrzegły możliwość zastosowania „odcisków genetycznych" w ustalaniu ojcostwa. Przypomnę, że stosowane dotąd metody, biorące pod uwagę cechy genetyczne krwi, mogły w określonych przypadkach wykluczyć ojcostwo, ale nie zawsze mogły je z całą pewnością potwierdzić. Odcisk genetyczny daje możność potwierdzenia ojcostwa już bez wątpliwości: ojciec i dziecko muszą mieć identyczne pewne cechy swoich cząsteczek DNA. Kiedy nowa metoda się rozpowszechni, nikt już nie będzie mógł zaprzeć się swego ojcostwa, ale też nikt nie będzie musiał płacić alimentów na nieswoje dziecko.

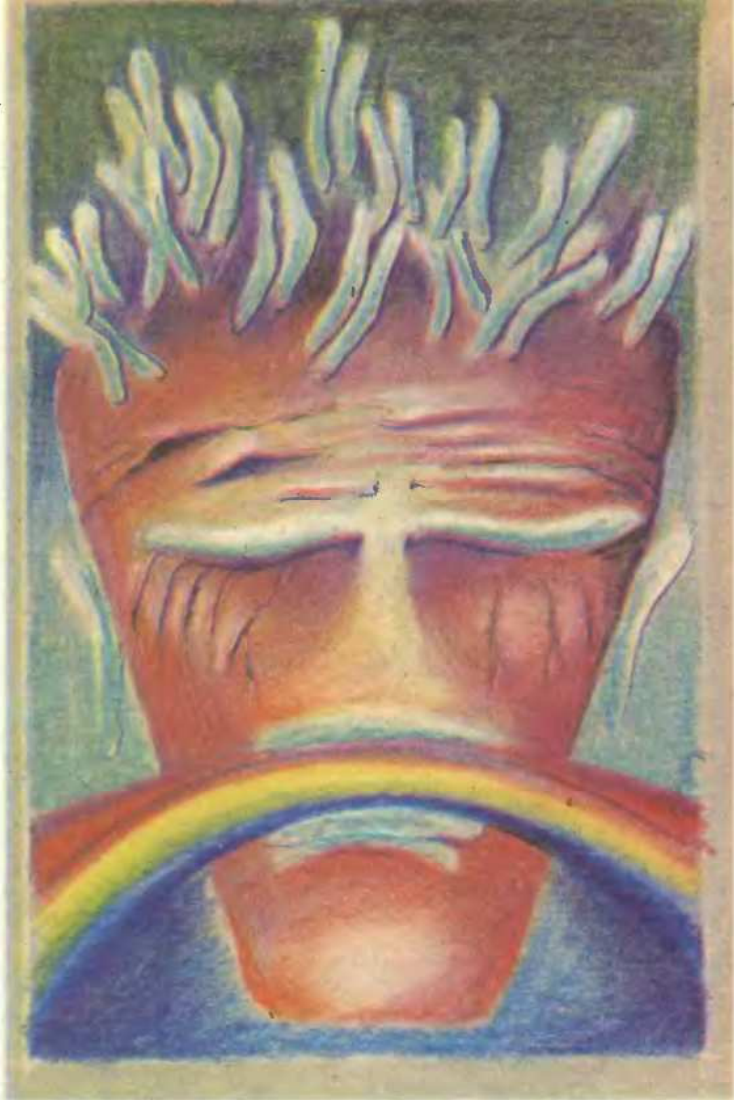
„Dowód z DNA" akceptowało jako pierwsze sądownictwo brytyjskie; nic dziwnego, skoro Wielka Brytania jest ojczyzną nowej metody. W Anglii też zdarzył się pierwszy w historii kryminalistyki wypadek wykrycia przestępcy na podstawie odcisku genetycznego.

Jesienią 1987 r. piętnastoletnia uczennica Dawn Ashworth z walijskiej wioski Enderby padła ofiarą gwałtu; jedynym znalezionym śladem gwałciciela były krople jego nasienia. Zbadano plemniki i zawarte w nich DNA; potem zbadano próbki DNA (z krwi) aż 5311 mężczyzn z okolicy, którzy nie mieli dobrego alibi, a z różnych względów mogli być podejrzewani o przestępstwo. Wśród 5311 odcisków genetycznych jeden był identyczny z odciskiem z miejsca gwałtu (to znaczy z DNA z plemników gwałciciela). Ten jeden należał do niejakiego Colina Pitchworda, piekarza z sąsiedniej wsi. Gwałciciel przyznał się i został ukarany.

Wkrótce potem (albo trochę przedtem, nie ma tu w końcu znaczenia rzeczywiste „pierwszeństwo" w rejestrze zbrodni) tą samą metodą wykryto w brytyjskim Bristolu kolejnego gwałciciela, Roberta Meliasa, a od tego czasu genetyczne odciski pozwoliły już ustalić bez wątpliwości tożsamość wielu innych gwałcicieli i morderców, nie tylko w Anglii.

Genetyczne odciski udało się odczytywać nie tylko ze świeżych plam krwi lub innych wydzielin – plamy mogą pochodzić sprzed lat. Najstarsze dotąd tego rodzaju ślady, jakie udało się odczytać, miały 4 lata, ale granica stale się przesuwa.

Odcisk genetyczny DNA jest nowym, niezwykle precyzyjnym orężem kryminalistyki, najlepszym z możliwych (bo jednoznacznym) śladem, jaki mogą zostawiać przestępcy. Ale zastosowanie odcisków DNA stale się poszerza. Oto w Zakładzie Genetyki Uniwersytetu w Cambridge (W. Brytania) opracowano metodę pobierania próbek DNA z... żywych wielorybów. Z odległości 30 metrów można cieniutkim harpunikiem pobrać płynącemu olbrzymowi malusieńki wycinek skóry; wielki ssak w ogóle tego nie poczuje, nic mu się nie stanie, a z komórek skóry uczeni wydobędą wielorybi DNA i z analizy próbki wyciągną wiele wniosków. Będą mogli określać tożsamość osobnika (jest to więc coś podobnego jak obrączka na nóżce ptaka: pomaga śledzić losy pojedynczych osobników), ocenić stan jego zdrowia, poznać tzw. strukturę genetyczną całych stad i ró ne ważne dane na temat ich rozrodu i zmian osobniczych. Wszystko to można było dotąd uzyskać z wielorybów martwych – teraz od żywych, bez szkody dla nich. Naturalnie, metody takie znajdą zastosowanie w badaniach także innych dzikich zwierząt... i może przyczynią się do ich lepszej ochrony.


L'Angelo Misterioso

Najbardziej może niezwykły jest pomysł badania „odcisków DNA" z istot zmarłych przed tysiącami lat – jeśli tylko próbki ich DNA zachowały się do dziś. Oczywiście – komórki wraz ze swoim DNA zachowały się w egipskich mumiach (a także w zmumifikowanych zwłokach ludzi, utopionych w bagnach przed tysiącami lat). Jednym z pierwszych, który próbował zbadać fragmenty genomu mumii egipskiej, był szwedzki biolog molekularny Svante Pääbo z Uniwersytetu w Uppsali. Pobrał on komórki skóry z mumii rocznego chłopca (mumia znajduje się w berlińskim Muzeum Starożytnego Egiptu) i udało mu się ustalić charakterystyczne cechy genomu Egipcjanina, żyjącego dwa tysiące czterysta lat temu! Od tego czasu zbadano już DNA wielu innych mumii; można mówić o tworzeniu się nowej dziedziny nauki, archeologii molekularnej.

Badania takie mają ogromne znaczenie poznawcze – pozwolą określić zmiany genetyczne ludności Egiptu w ciągu tysiącleci, zbadać ruchy (migracje) tej ludności, jej choroby genetyczne, a także relacje pokrewieństwa w rodzinach władców (ma to ogromne znaczenie historyczne i biologiczne także). Można też badać wirusy sprzed tysiącleci, zachowane w zmumifikowanych tkankach ludzkich.

Zaczęto też w różnych ośrodkach badać DNA zachowany w resztkach ludzi i zwierząt zmumifikowanych w bagnach lub zamrożonych w starych zlodowaceniach (napiszę o tych fascynujących pracach innym razem).

Myśli się o zbadaniu DNA, który zdołał przechować się w tkankach kostnych przodków człowieka współczesnego. Być może, uda się odczytać fragmenty genomu Neandertalczyków – wówczas wyjaśni się tajemnica pokrewieństwa tej gałęzi rodziny człowieczej z człowiekiem rozumnym (Homo sapiens), który pojawił się około 40 tysięcy lat temu i przez pewien czas współżył z człowiekiem neandertalskim (Homo neanderthalensis) na jednych obszarach. Neandertalczycy nie byli bezpośrednimi przodkami współczesnego „człowieka mądrego" i właściwie nie bardzo wiadomo kim byli i dlaczego znikli z dziejowej sceny.

Jak widać, księga-genom zawiera też informacje z odległej przeszłości.

Możemy jeszcze pozwolić sobie na wypad do krainy naukowej fantastyki i zapytać, czy możliwe byłoby odtworzenie i ożywienie DNA, zawartego w komórkach mumii czy w resztkach kości sprzed tysięcy, tysięcy lat. Otóż teoretycznie jest to możliwe, a postęp inżynierii genetycznej jest taki szybki, że... Można sobie w każdym razie wyobrazić, że udaje się ożywić genom z mumii na przykład faraona egipskiego – i co dalej?

Następnym krokiem mogłoby być wszczepienie tego DNA do ludzkiej komórki jajowej i spowodowanie jej rozwoju (czyli klonowanie).

Gdyby coś takiego się udało, powstałby człowiek, identyczny z faraonem sprzed kilku tysięcy lat. Na razie, powtórzę – na razie, jest to czysta fantazja. Nie mówiąc już o etycznej stronie takich doświadczeń... czy mielibyśmy w ogóle do nich prawo?

W cząsteczkach DNA kryje się więcej tajemnic, niż można by ich wymyślić i wcale nie jest pewne, czy chcielibyśmy je odkryć wszystkie. ■



Pogromcy publiczności

Polacy uwierzyli ostatnio, że wolny rynek jest lekarstwem na wszystkie bolączki i problemy. Na szczęście coraz częściej słychać też głosy, że wolna gra kapitału powinna mieć miejsce tylko tam, gdzie wartością w rozgrywce jest kapitał. Zysk nie może być jedyną miarą do oceny, na przykład dzieł kultury. Już dzisiaj widać skutki komercjalizacji w naszej rodzimej kinematografii.

Problem ten skądinąd nie jest oczywiście polski. Wszędzie znajdzie się publiczność chętna do konsumpcji tandety. A wtedy też niedługo trzeba szukać i producenta gotowego ją dostarczyć.

Przykłady takiej konfekcji filmowej z dziedziny SF można by niestety mnożyć i mnożyć. Ostatnio choćby pisałam („Fantastyka" nr 12) o filmie „Moja macocha jest nie z tej Ziemi". I chociaż staramy się Państwu prezentować raczej wybitne (czy przynajmniej dobre) obrazy SF, tym razem znowu parę słów o filmie słabym. Niestety tych ostatnich jest znacznie więcej. A przy tym często są one popularne, we wszystkich znaczeniach tego słowa, przynoszą zyski, inwestowane z kolei w produkcję kolejnych odcinków filmu, który kiedyś tam spodobał się widowni (a propos, właśnie weszła na ekrany kin zachodnich piąta część „Gwiezdnej wędrówki": „Star Trek V: The Final Frontier"). Typowym tego przykładem jest powstanie drugiej części filmu „Pogromcy duchów" („Ghostbusters"). Pierwsza część powstała w 1984 roku, reżyserem i producentem filmu był Ivan Reitman, a tytułowych poskramiaczy sił nadprzyrodzonych grali Bill Murray, Dan Aykroyd, Harold Ramis i Rick Moranis. Główną rolę kobiecą kreowała Sigourney Weaver. Film odniósł duży sukces. Dla tych, którzy nie pamiętają dobrze o co chodziło, albo nie widzieli pierwszej części „Pogromców" (dostępnej tylko na kasetach wideo) parę słów przypomnienia. Trzech parapsychologów zatrudnionych na uniwersytecie nowojorskim przeżywa w publicznej bibliotece spotkanie ze zjawą. Kiedy wstrząśnięci wracają do laboratorium, dowiadują się, że fundusze na ich badania zostały obcięte. Postanawiają więc założyć prywatny interes, stając się właśnie tytułowymi „pogromcami duchów". Ich pierwszym klientem jest Dana Barrett, której kuchnię upodobały sobie duchy. Wreszcie okazuje się, że Dana mieszka w budynku skonstruowanym przez wyznawców sumeryjskiego bożka. Dom zaczyna działać jak antena, wyzwalając złe siły, w tym samym czasie pogromcy lądują w więzieniu i tylko zwolnienie ich w ostatniej chwili ratuje Nowy Jork od całkowitego zniszczenia przez bożka.

Jak już powiedziałam, „Pogromcy" odnieśli sukces, a Columbia zarobiła na tym filmie więcej, niż na jakimkolwiek wcześniej przez siebie wyprodukowanym. Nic więc dziwnego, że zdecydowano się część owych zysków zainwestować w „Pogromców duchów II". W czołówce filmu figuruje ten sam reżyser i ci sami aktorzy, miejscem akcji jest ten sam Nowy Jork. Minęły cztery lata, w czasie których małżeństwo Pany rozpadło się. Teraz Ona wychowuje sama małego synka, Oskara. I to właśnie jej znowu wchodzą w drogę istoty z zaświatów, które powtórnie zadomowiły się w Nowym Jorku. Władze miejskie nie bardzo kochają pogromców (poprzednim razem udało im się wprawdzie uratować miasto, ale przy okazji zniszczeniu uległa cała dzielnica), będą więc im przeszkadzać jak tylko można. Scenariusz wykorzystuje wszystkie pomysły, które sprawdziły się już uprzednio, różnice są naprawdę mało istotne. A więc nie areszt, tylko szpital dla wariatów (jako miejsce zamknięcia głównych bohaterów, jak zwykle tuż przed kulminacją akcji), nie potwór z ciasta tylko Statua Wolności (krocząca po ulicach Nowego Jorku). Poza tym scenariusz bez przerwy wykorzystuje obecność dziecka, przyjmując za pewnik, że zagrożenia czyhające ze wszystkich stron na małego Oskara na pewno wzbudzą szlachetne uczucia w sercach widzów. Resztę miał dokonać naturalny humor naszych czterech pogromców i uroda Sigourney. No i nic z tego. Film budzi przede wszystkim irytację, począwszy od pierwszych ujęć jadącego samotnie wózka z niemowlęciem w środku (scena, która pojawiała się wielokrotnie w filmach; ostatnio wykorzystał ją na przykład Brian De Palma w „Nietykalnych", przy czym tam, choć również irytująca – cały czas bowiem zdajemy sobie sprawę z manipulacji dokonywanej na nas przez reżysera – była przynajmniej znakomicie rozegrana) po ostatnie sekwencje tłumów bratających się na widok maszerującej przez miasto Statuy Wolności. Pomiędzy tymi dwiema scenami Nowy Jork zalewany jest potokami obrzydliwego, różowego kisielu. Pogromcy duchów miotają się po ekranie jakby niepewni, czy występują w komedii, horrorze czy też melodramacie. A wszystko to sięga szczytu gdy „czterej rycerze" szukając w nowojorczykach pokładów dobra mającego przynieść ratunek miastu, polewają różową mazią symbol wolności.

Więcej tego samego nie zawsze jest receptą na sukces. Na pewno nie jest nią tym razem.

Dorota Malinowska

GHOSTBUSTERS II (Pogromcy duchów II). Reżyseria: Ivan Reitman. Obsada: Sigourney Weaver, Bill Murray, Dun Aykroyd, Harold Ramis, Rick Moranis, Peter MacNicol. USA, 1989.

Chris Achilleos



NAJLEPSZE W „FANTASTYCE" 1982-1984
* GLOB-1990 *

Karlgoro godzina 18.00

* Najciekawsze polskie opowiadania z pierwszego, heroicznego okresu „Fantastyki" powstałe wkrótce po ogłoszeniu stanu wojennego!
* Ekspansja nowych autorów i nowoczesnego rozumienia fantastyki i science fiction! – sensacja, aluzja, miłość, magia, metafora, mroczna przepowiednia, tajemnice wszechświata, baśń!
* Dziesięciu autorów, jedenaście opowiadań, a wśród nich uznane i nagradzane perełki gatunku jak „Wynajęty człowiek", „Zabójca czarownic", „List z Dune", „Hieny cmentarne", „I noc jest prawem", „Co większe muchy"...
* Pierwszy tom cyklicznej antologii miesięcznika „Fantastyka" (wstęp, posłowie krytyczne, noty o autorach).
* Przekonacie się – polscy fantaści piszą już inaczej niż Lem i nie gorzej niż najciekawsi Amerykanie czy Rosjanie!
* Pytajcie o antologię już teraz we wszystkich ksiegarniach Polski i świata.
* Uwaga! W druku następne tomy:

WEEKEND W MIEŚCIE 1985-1986 (GLOB)

PLANTATORZY WYDM 1987-1988 (KiW)

Okładkę do tomu „Karlgoro godzina 18^{00}" wykonał Przemysław Kaleński.